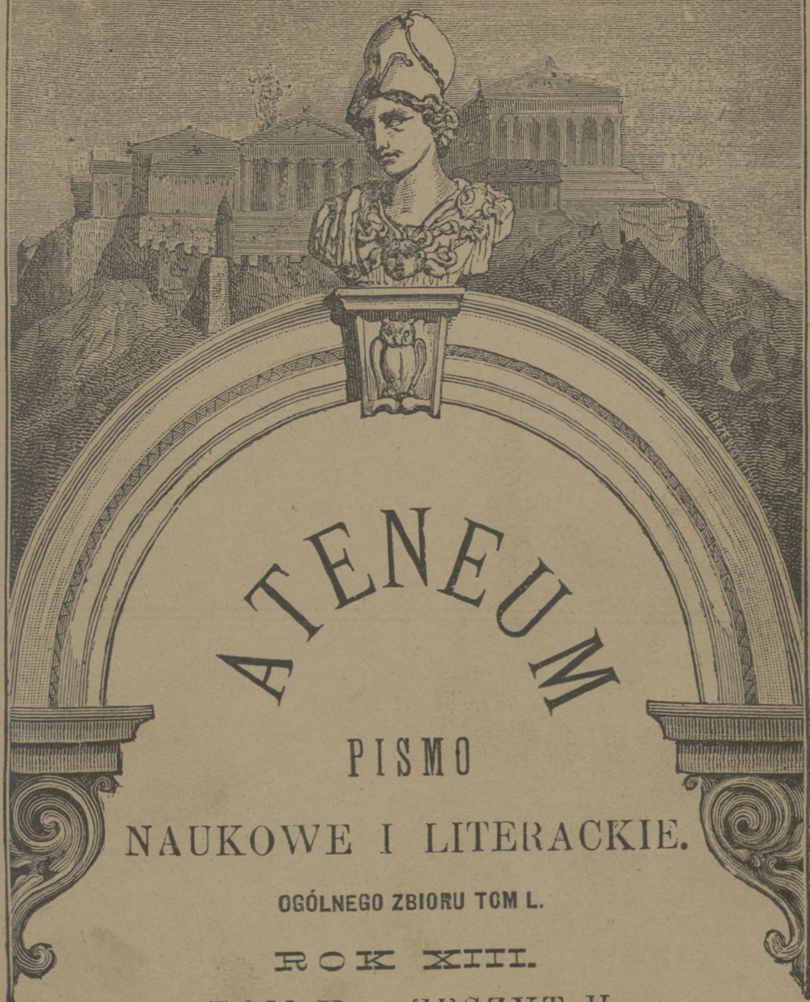


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM L.

ROK XIII.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 4 Maja 1888 r.



SPÓŁCZYNNIKI NASZEGO BYTU.

Każda społeczność osiadła, mniéj lub więcéj ucywilizowana, zajmuje pewną przestrzeń ziemi, którą uważa za swoję własność i najgłówniejszy warsztat pracy ekonomicznéj. Od geograficznego położenia téj przestrzeni i natury gruntu, zależy kierunek pracy ekonomicznéj, a od téj znowu reszta objawów życia społecznego. Ziemia leżąca nad brzegami mórz i oceanów, lub otoczona wodą, zmusza osiadłą na niéj ludność do żeglugi i pobudza do handlu; otoczona górami, wśród których ciągną się wąskie pasy gruntu zdatnego do uprawy, skłoni mieszkańców do hodowania przeważnie trzód, a w mniejszéj mierze do rolnictwa; ziemia obfitująca w węgiel pozwoli ludności rozwinąć wielki przemysł fabryczny; nareszcie obszerne niziny, poprzerywane rzekami, skazują ludność przeważnie na zajęcia rolnicze. Jakkolwiek dzisiaj środki komunikacyjne wielce ułatwione nie pozwalają na takie jednostronne wyosobnienie się jednego społeczeństwa od drugiego; jakkolwiek potrzeby ekonomiczne bywają zaspokajane wymianą płodów krain najodleglejszych i tém samém prowadzą wszystkie narody kuli ziemskiéj do wzajemnéj zależności: jednak natura ziemi, na któréj siedzą, zmusza je do pracy w oznaczonym przeważnie kierunku. Ale jakakolwiek byłaby natura ziemi, będzie ona zawsze pierwszym i najważniejszym spółczynnikiem w rozwoju społeczeństwa; od niéj zależną będzie fizyognomia stosunków, jakie się z czasem wytworzą.

Społeczeństwo nasze wskutek geograficznego położenia przestrzeni, którą zajmuje, i natury ziemi, na któréj siedzi, zdala od mórz, na nizinach, skazane było i jest do pracy na roli; wielki przemysł, rozwijający się w nielicznych gniazdach, powstał dopiéro za

dni naszych, ale nie naszemi kapitałami, ani w naszych rękach; wiele nań liczyć nie możemy, bo już kole w oczy sąsiadów i powoli zaczyna się przenosić na wschodnie kresy: słowem, życie jego jest sztuczne i łatwo może być podkopane, a my będziemy może zmuszeni poprzestawać na tém, co nam da ziemia. Zostanie ona tedy i nadal nie jedynym, ale głównym warsztatem pracy ekonomicznéj.

Otóż, ażeby jaknajkorzystniéj używać warsztatu, trzeba się z nim umiejętnie obchodzić, czyli znać go we wszystkich szczegółach. Czy go znamy dostatecznie? Niestety, nie znamy go prawie wcale. Wiemy ogólnikowo, że tu jest okolica piasczysta, tam pas czarnoziemny, indziéj sapowaty, że w jednéj stronie płacą włókę po tyle a tyle, w drugiéj znacznie niżéj; ale o umiejętném poznaniu źródła dochodów rzadki właściciel myśli. Puszczają się niektórzy na eksploracye wybrzeży afrykańskich, ba, inni studyują bruki paryskie, rzymskie lub wiedeńskie: tylko swojego zagonu nie znają. Prawda, że umiejętne poznanie kraju wymaga i specyalnego uzdolnienia i środków pieniężnych dość znacznych, na które ledwie rządy zdobyć się mogą; jednakże i prywatni, gdyby naprawdę ziemię swoję kochali i własny interes rozumieli, zdołaliby ile tyle przyczynić się do lepszego poznania przestrzeni, na któréj siedzą. Tymczasem, jeżeli się ktoś zdobędzie na poważniejszy fundusz konkursowy, to najczęściéj pragnie, żeby mu napisano komedyą, wymalowano obraz, narysowano plan do pomnika; jesteśmy narodem artystycznym w łachmanach. Albo, wychodzi pismo zbiorowe poświęcone zbadaniu ziemi, tego, co się w niéj i na niéj znajduje; niech ono się nazywa „Pamiętnikiem fizyograficznym.“ Czy dużo liczy prenumeratorów? Stukilkudziesięciu, i to w kraju rolniczym, na ziemi, któréj miłość, jak mówią, obywatele jéj wyssali z mlekiem. Tymczasem wobec grożącéj ruiny gospodarstwa rolniczego, byłoby zapewne dla rolników pożądaną rzeczą poznanie tych zasobów, jakie mieści ziemia, ażeby nie potrzebowali ograniczać się samą produkcyą ziarna. Owszem, byłoby to dla nich rzeczą konieczną wobec zbożowéj konkurencyi amerykańskiéj, zalewającéj zbożem i mąką rynki Zachodu, dokąd się nasz wywóz przez wieki kierował.

Ale, oprócz tych względów, niezmiernie ważnych dla ludności rolniczéj, a przez nią dla wszystkich obywateli kraju; umiejętne poznanie ziemi budzi interes specyalny, co do jéj wydajności i rodzajności wogóle — innemi słowy, co do jéj wyczerpania. Jest-to techniczna strona kwestyi, któréj w tém miejscu ani umiemy, ani możemy rozwiązywać. Godzi się wszakże zwrócić na nią uwagę i chociaż pokrótce wyjaśnić, o co chodzi: może specyaliści dadzą dpowiedź.

Zdawałoby się, że ziemia, byle ją należycie uprawić i zwrócić jéj w postaci nawozu pierwiastki wyczerpane przez ziarno, może rodzić w nieskończoność i to tém obficiéj, im uprawa i nawóz były lepsze. Otóż, gdy Ameryka zaczęła Anglią zalewać swojém zbożem, rolnicy angielscy nie mogąc wydobyć z ziemi dawniejszych dochodów przy wysokich kosztach produkcyi, zwrócili się do parlamentu i nauki o radę. Wyznaczona komisya pytała wielu gospodarzy i specyalistów, którzy prawie jednomyślnie odpowiadali, że w ostatnich latach zbiory zboża nietylko zmalały co do ilości, ale że oraz straciły na jakości. Zmniejszenie ilości ziarna z oznaczonéj przestrzeni pochodzi, zdaniem świadków, ze zmniejszenia nawozu, czyli co jedno znaczy z braku pieniędzy. Ale, co wpłynęło na pogorszenie jakości ziarna? Jeden z pytanych przez komisyą, odpowiada, że na tym samym gruncie gospodaruje od lat 38, i że jednakowego zawsze używał nawozu. W ostatnich 18 latach produkcya jego wynosiła przez pierwsze 6 lat po $37\frac{1}{2}$ buszla, przez drugie szcześciolecie po $35\frac{3}{8}$ buszla, a w trzeciém już tylko po 26 buszli z akra. Co się tyczy produkcyi w całym kraju, tenże gospodarz obliczał ją średnio w peryodzie 1854—1874, na 28 buszli z akra, a za ostatnie sześć lat, na $24\frac{1}{2}$ buszla. W końcu dodał, że zdaniem jego, ziemia dużo na żyzności straciła.

Ogólny rezultat badań, jeden z komisarzy, Little, uchodzący za powagę w téj materyi, tak streścił: Ziemia, przez nadmierne użycie sztucznego nawozu została wyczerpaną; zbiory w porównaniu z poprzedniemi laty zmalały. Toż samo powtarzano na zebraniach rolników-dzierżawców; takież zdanie otrzymano z najlepiéj zagospodarowanych okolic hrabstwa Kent; do takiéj saméj konkluzyi doszły specyalne dzienniki rolnicze, mianowicie, że wogóle zmalała ilość i pogorszyła się jakość zbiorów pszenicznych głównie, ale i innego ziarna podobnie.

Za przyczynę pogorszenia się jakości podają badani niemal jednozgodnie, że ziemia angielska nie zawiera obecnie téj saméj ilości materyi żywiących roślinę, co przed 15 laty, i że to pochodzi z bezmyślnego użycia nawozu. Barclay, wice-prezes związku dzierżawców, dodał, że gospodarze zawiele poprzednio używali guana i sztucznych nawozów, co wprawdzie przez kilka lat dawało dobre zbiory, ale w końcu doprowadziło ziemię do ruiny (*Die ländliche Arbeiterfrage*, 1887, str. 58—68).

Czy nasi gospodarze nad tą stroną kwestyi czynili jakie doświadczenia, nie wiemy; to pewna, że do odpowiedzi potrzeba próby dokonywanéj z ziemią rozmaitych okolic, i to nie przez empiryka i na oko, lecz przez chemika: trzeba znać swój warsztat.

A skąd wziąć pieniędzy na takie próby? Dajcie tani kredyt; próby odbędą się latem u wód, albo w Monte Carlo.

Cokolwiek tu i niżéj się powié o stosunku warstw rolniczych do ziemi, ma być rozumiane z pewném zastrzeżeniem. Rozumiemy dowolność uogólnień tendencyjnych, opartych na niewielkiéj liczbie postrzeżeń, jakie każdy z nas w życiu zbiera; cyfr statystycznych nie mamy, a przeto i wnioski mogą być łatwo kwestyonowane. Tyle jednak na ich usprawiedliwienie można przytoczyć, że je opierano na większości faktów powszechnie wiadomych.

Nietylko nie znamy naszéj ziemi, ale jéj nie kochamy; dość posłuchać rolników, żeby się o tém przekonać. Narzekają oni na swój stan gorzéj może od mieszkańców miast. Najprzód brak im kredytu; a chociaż ziemia odłużona do $^9/_{10}$ swojéj wartości, oniby gotowi tę resztę odłużyć, ażeby zawisnąć w powietrzu. Powtóre, stosunki są nieznośne, służebności nieuregulowane, podatki coraz większe, nie można wyciągnąć na opędzenie należności skarbowych a zwłaszcza procentów; o sobie ani myśléć. Jakoż czytamy przerażające cyfry majątków wystawionych na sprzedaż przymusową przez Towarzystwo Kredytowe, rozmaite banki i lichwiarzy. Nawet ci, których długi nie zmuszają do pozbycia się ziemi, puszczają w dzierżawę dobra lub je sprzedają, ażeby uciec z nieznośnych, jak nazywają, warunków i biadać nad swoją niedolą w Odessie, Kijowie, Petersburgu i Warszawie.

Nie chcemy przeczyć, że warunki, w jakich się znajdują nasi rolnicy, są bardzo ciężkie; ale najprzód nietylko nasze, lecz w całéj Europie przechodzi rolnictwo w obecnéj porze groźne przesilenie; jednak nie słyszeliśmy, ażeby się Niemcy np. tak jak nasi obywatele pozbywali ziemi i uciekali do miast dla przeżycia resztek fortuny i zwiększenia proletaryatu miejskiego. Daléj, pomimo nieznośnych warunków, znamy gospodarzy pracujących na 15—18 włókach nietylko niezadłużonych, lecz jeszcze odkładających coś na czarną godzinę, na wyposażenie córek i edukacyą synów. Ziemia ich wcale nie czarna, ale ręce i twarze poczerniałe; rano wstają, późno spać się kładą, w karty nie grają, do wód nie jeżdżą, ani swoich magnifik nie wysyłają: słowem, żyją skromnie lecz dostatnio, a co ważniejsza, mówią, że mają 6 procentów na czysto i na tém poprzestają.

Powiedzą nam: to są wyjatki. Zapewne. Ale te wyjątki dowodzą, że upadkowi rolników winne są nie same warunki zewnętrzne lecz że główna wina leży w nich samych. Czyż bowiem narobione długi przez dziadów, ojców i synów poszły na melioracye gruntów, na kupno lepszego inwentarza, na edukacyą dzieci? Setny może i tak użył kredytu, ale znaczna ilość posiadaczy ziemskich zmarno-

wała go po wszystkich stolicach europejskich, przy zielonym stole, na przysmaki dla wszystkich zmysłów. Patryotyzm i miłość dla ziemi żywicielki pozostały w deklamacyi lub sielance.

Teraz pytanie, kto wchodzi w posiadanie ziemi, wychodzącéj z rąk dotychczasowych właścicieli? Żydzi, a w małéj cząstce włościanie. Gdyby nowonabywcy izraelscy gospodarowali sami, a do tego lepiéj od poprzednich posiadaczów, rzecz dałaby się przeboléć: kto miał mało, a nie umiał robić, słusznie mu podobno odjęto a dano temu, kto z przyrobkiem gospodarzył. Wszakże, doświadczenie co innego pokazuje: Izraelscy posiadacze ziemi rzadko gdzie sami gospodarują; oni tylko doglądają, ażeby im profit nie przepadł.

Tym sposobem w naszych oczach odbywa się rugowanie przez kapitał ruchomy dawnych posiadaczy, którzy jeżeli nie wszyscy i nie najlepiéj, gospodarowali przecież sami i nadawali odmienną fizyognomią i ziemi i stosunkom towarzyskim, od téj, jaka się obecnie wytwarza, i niezawodnie coraz bardziéj i radykalniéj zacierać będzie rodzime rysy naszego kraju.

Mówiąc o braku znajomości i miłości swojéj ziemi, jako najpierwszego spółczynnika w naszym bycie społecznym, mieliśmy na myśli tę grupę ziemiaństwa, którą nazywają większymi właścicielami. Inaczéj ma się rzecz z dawniejszym mieszczaninem-rolnikiem i niedawno uwłaszczonym chłopem. I oni nie znają swojéj ziemi, ani jéj granic, ani przeszłości, a témbardziéj jéj natury. Rzadki z nich bywał daléj jak w powiatowém miasteczku z podatkiem—do Częstochowy nawet nie każdy pielgrzymował; ale za to przywiązania do gruntu, owszem łakomstwa na zagon, na skrawek zagonu, nikt im nie odmówi. Robota ich około ziemi jeszcze niezdarna, uprawa pierwotna, działki niewielkie i drobniejące coraz bardziéj skutkiem wyposażania dzieci; za to trzymają się jéj dotychczas niemal zębami, póki ich lenistwo a częściéj lichwa nie oderwie i nie rzuci w szeregi proletaryatu wiejskiego. Ta grupa rolników chętnieby nabywała ziemię, gdyby jéj otwarto sprawiedliwy kredyt, bo ona lepiéj, choć instynktownie czuje, że ziemia jest najpewniejszym fundamentem pod nogami, że póki ta matka żywicielka w jéj ręku, póty społeczeństwo nasze, jako odrębny organizm żyć jeszcze może.

Przyjrzyjmy się teraz drugiemu spółczynnikowi naszego bytu, który stanowi Ludność.

Jakąkolwiek byłaby ziemia, na któréj pewne społeczeństwo osiadło, czy więcéj lub mniéj żyzna, byleby klimatyczne *maxima* i *minima* nie przewyższały granicy pozwalającéj na życie człowieka, zawsze losy téj ludności będą zależne głównie od niéj saméj, od jéj energii. Wiadomo np. co zrobiła ludność skandynawska lub holen-

derska z ziemią niezbyt wdzięczną, albo chińska w pasach bardzo mało podatnych do uprawy. Chodzi więc o energią przyrodzoną i wyrobioną w pewnéj grupie ludzi. Zaimprowizować i nakazać jéj nie można; jest ona wynikiem, jak się zdaje, rasy, następnie odziedziczania pewnych cech dodatnich i ujemnych po przodkach, a nareszcie dłuższéj lub krótszéj cywilizacyi. Rasa, do któréj etnograficznie należymy, nie odznacza się w żadnéj ze swoich grup narodowych wielką przyrodzoną energią, taką jaką np. spotykamy w rasie germańskiéj i jéj odmianach zarówno w Europie jak i w Ameryce. Ani w pracy umysłowéj, ani w materyalnéj rasa słowiańska nie okazała dotychczas ducha wynalazczości i przedsiębiorczości, decydujących o losie grup ludzkich w walce życiowéj. Taką znamy ją w historyi, na takąż patrzymy obecnie. Czy dalsze życie i porządniejsza kultura wyrobi z niéj lepszy materyał dziejowy, nie myślimy ani twierdzić, ani przeczyć. Nasza specyalnie grupa lechicka podziela cechy wspólne rasie, a oprócz tego ma swoje właściwe, wyrobione kolejami historycznemi. Odziedziczyliśmy po przodkach dużo fantazyi i ruchliwości, wielką dążność i zdolność do naśladownictwa, zamiłowanie półdzikiéj swobody, brak karnego posłuszeństwa prawu, brak ducha asocyacyi, pochopność do rozpraszania się na partye i partyjki. Trafnie określił nas kiedyś, gdyśmy byli sobą, jakiś Niemiec: *in diesem Lande herrscht Freiheit ueber die Einheit.*

Nie zamierzam wcale pisać wykazu naszych cnót i występkow, zalet i wad charakteru; tylko rozważając ludność, jako spółczynnik naszego bytu, nasunęło mi się mimowoli to, co uderzało i swoich i cudzoziemców—a co w przeszłości i obecnie decydujący wpływ wywiera na ukształtowanie się naszych stosunków społecznych i ekonomicznych: tém coś jest brak energii i wytrwałości w jakiejbądź, prywatnéj czy publicznéj pracy. Ktokolwiek i z jakąkolwiek wystąpi inicyatywą, wnet opuszcza ręce, widząc, że z takiéj gliny, jak nasza, niepodobna niemal nic ulepić.

Inny, niemniéj ważny szczegół uderza nawet powierzchownego obserwatora w badaniu naszéj ludności; jest nim brak zespolenia, zasymilowania rozmaitych grup etnicznych, które dotychczas byłoby się znacznie posunęło naprzód, gdyby tego naturalnego biegu rzeczy nie była zahamowała katastrofa przeszłowieczna. Ludność nasza, jak zresztą każda inna, nie rozwinęła się z jednéj rodziny, lecz powstała z rozmaitych grup tegoż samego lub różnego pochodzenia. Nie sięgając czasów przedhistorycznych i tego momentu dziejowego, w którym się plemiona lechickie ukonstytuowały w luźną jeszcze całość polityczną; widzimy w dalszym rozwoju historycznym immigracyą Żydów i Niemców, rządzących się różne-

mi prawami i stanowiących przez całe wieki elementa bardzo odskakujące od ludności krajowéj. Późniéj, federacyjny prąd pod wpływem wspólnego niebezpieczeństwa, do tych żywiołów dodał inne, zkąd się wytworzył konglomerat ciał rozmaitych, nie mających innego pierwiastku wspólnego oprócz chwilowych interesów politycznych. Zważywszy nadto, że ówczesne rządy ani u nas, ani nigdzie do absolutnego zniwelowania różnic narodowościowych nie dążyły: zrozumiemy dlaczego ludność nasza nie mogła zasymilować tych różnorodnych, a często odśrodkowo działających czynników. Niemniéj fakt pozostał faktem, którego dysputowaniem zatuszować nie podobna. Stanowi on wielką słabiznę naszego organizmu społecznego i niezabliźnioną szramę, jątrzoną przez spekulujących pismaków, szczujących przeciw Żydom i Niemcom.

Oprócz tych luk, świecących między żywiołami etnicznemi, są inne, wynikające z antagonizmów klasowych. Do świadomości interesów klasy doszły w dawniejszych czasach zaledwie szlachta i duchowieństwo. Mieszczanie, o ile stanowili żywioł napływowy, wcześnie także zrozumieli wspólne swoje interesa, ale przewaga stanu rycerskiego nie pozwoliła im skonsolidować się i wystąpić jako klasie, w obronie władzy centralnéj; przeciwnie, w drodze prawodawczéj, a często gwałtem szlachta paraliżowała rozwój mieszczaństwa, którego dzisiaj prawie nie mamy. Mieszczaństwo nowe, w takich punktach, jak Łódź, Ozorków, Sosnowiec itd., jako wyrób czasów nowszych i produkcyi kapitalistycznéj, znajduje się zaledwie w pierwszém stadyum swojego rozwoju, a czując się obcém po większéj części wśród tubylczéj ludności, tém mniéj ma pobudki w solidaryzowaniu się z jéj interesami.

Uwłaszczeni zaledwie od ćwierci wieku włościanie wprawdzie nie doszli jeszcze ani u nas, ani gdzieindziéj do świadomości wspólnych interesów i nie poczuli się klasą zsolidaryzowaną (1): niemniéj jednak antagonizm między nimi a większymi posiadaczami tkwi w naturze stosunków ekonomicznych i sztucznie bywa podsycany przez odłamek prasy. Zajęcie się klasą włościańską zarówno przez nowszą beletrystykę jak i przez dziennikarstwo godne jest wszelkiego uznania, byle w chłopach nie widziano ludzi idealnych, wymanierowanych podług recepty doktrynerskiéj, i dążono nie do zwaśnienia warstw społecznych, gdyż i bez tych sztucznych poddmuchów same interesa ekonomiczne dostatecznie zaostrzają przeciwieństwa klasowe.

---

(1) Nie mówimy tu o robotnikach wiejskich, ci bowiem strejkują w Anglii tak samo jak i fabryczni.

Ludność, jako spółczynnik bytu nie żyje darmo ani samém powietrzem, lecz ma potrzeby wszelkiego rodzaju. Potrzeby te są albo fizyczne, albo umysłowe i moralne; pierwsze zaspakajają dobra materyalne, drugie—dobra umysłowe i moralne, wszystkie zaś otrzymujemy głównie przez pracę około materyi, lub przez pracę nad sobą: dobra te więc możemy nazwać trzecim i czwartym spółczynnikami bytu naszego.

Nie potrzeba dowodzić chyba nikomu, że dobra ekonomiczne są fundamentem najprzód czysto fizyologicznego a następnie politycznego, umysłowego i moralnego bytu jednostki i społeczeństwa. Lecz chociaż sama ta prawda zdaje się być oczywistą, jednak nie dawnemi jeszcze laty nie brakło rozmaitych nestorów i nestorek literackich, biadających na zmateryalizowanie społeczeństwa naszego; dziś nawet często się spotkać można z narzekaniem, zwłaszcza przeciw młodzieży uniwersyteckiéj, że goni za chlebem nie za ideałem, że nie ma tych porywów romantycznych, jakie ożywiały jéj ojców. Są to treny bez żadnéj ceny. Nie osłabiać w społeczeństwie pragnienia materyalnéj egzystencyi majakami idealizmu, lecz przeciwnie budzićby należało w młodém pokoleniu ducha przedsiębiorczości, inicyatywy, energii do pozyskania trwałéj podstawy ekonomicznéj. Nigdyśmy się nie odznaczali wielką pracowitością i dlatego zawsze byliśmy ubogimi, a przez to słabymi do podjęcia jakichkolwiek robót publicznych na większą skalę; dzisiaj, gdy chodzi o założenie szkoły, o utrzymanie jakiéjś „Macierzy", o wydawnictwo kosztowniejszego dzieła, biadamy i w istocie, nie jest to tylko obojętność i ciemnota, lecz w największéj części biéda materyalna: jesteśmy bardzo ubogimi.

Wprawdzie tu i owdzie jeszcze się znajdzie jakieś głośniejsze nazwisko historyczne w połączeniu z większą fortuną, lub obywatel świeży, *homo novus* zatrudniający kilka tysięcy robotników w swoich warsztatach; ale ogółem biorąc zarówno właściciele ziemscy więksi jak i drobniejsi, niedawno uwłaszczeni, sa ubogimi. Ztąd-to cały kraj nasz wygląda jak pustkowie: lud drobny, zapyziały, obdarty, ciemny, fizycznie mizerny, bo źle żywiony; pola licho uprawne, sprzężaj podobny do ludzi; zabudowania przypominające dzikich, okropnie brudne i niechlujne, słowem, wszystko świadczące o braku energii, cechującym rasę słowiańską, o lenistwie i konieczném ich następstwie, t. j. nędzy materyalnéj. Patrząc na te objawy bagnistéj stagnacyi i porównywając je z wprost przeciwnemi objawami chociażby w sąsiednich Niemczech, doznaje się bolesnego upokorzenia i zawstydzenia; chciałoby się wlać do żył tego udu trochę krwi i energii, ażeby zamiłował pracę wytrwałą i syste-

matyczną, ład i porządek, byt dobry po ludzku, rozumnie uszlachetniony. Jest to bowiem niewątpliwém i teoretycznie uzasadnionėm i historycznie stwierdzoném, że dopiéro wtenczas ludzie pragną dóbr wyższych, oświaty, sztuki, znośniejszych warunków życia publicznego, gdy się wzmoże zasobność materyalna; owszem, nietylko pragną, ale dopiéro wtenczas m o g ą posunąć się na wyższy szczebel uobyczajenia. Za materyalnym dostatkiem idą nauka i cnota ludzka prawie zawsze; drwiny z s y t é j cnoty i w y p ł a c a l n é j moralności jeszcze nam nie przystały.

Utrzymuję daléj, że nasze zacofanie umysłowe, zanik gruntownéj nauki i umiejętności pochodzi głównie z ubóstwa ekonomicznego. Nie mówię, że wyłącznie z tego źródła, ale głównie z niego. Jakoż, każdemu, kto się umiejętności na seryo oddał, wiadomo jakich-to środków materyalnych potrzeba do uprawy pewnéj gałęzi wiedzy; ile kosztują wyższe zakłady specyalne, muzea, laboratorya, podróże; jakich sum potrzeba na szkoły średnie i elementarne: otóż, społeczeństwo ubogie, nawet gdyby mu było wolno, nie potrafi takim wydatkom podołać. Wprawdzie część tych wydatków z konieczności musi skarb ponosić; ale fatalne położenie polityczne i międzynarodowe pozwala europejskim państwom zaledwie okruszyny budżetu na cele edukacyi i nauki poświęcać, tak, że wszędzie widzimy bardzo znaczny spółudział gmin i osób prywatnych w podnoszeniu oświaty publicznéj. Co my możemy na ten cel przeznaczyć, będąc ubogimi? Nawet ofiarność nasza, gdyby zawsze była bezpieczna i przeznaczenia swego dochodziła, nie mogłaby rozproszyć, tych ciemności egipskich, ponieważ ofiarność ubogich jest kroplą tyko w sumie kosztów, jakich wymaga nauka i oświata społeczeństwa. Być może, iż téj ofiarności zamało, żeśmy nie zrobili tyle, ile np. nie bardzo od nas bogatsi Czesi; jednak nie wiele więcéj moglibyśmy zrobić, bo nie mamy z czego. Trzeba się przyjrzéć, z jakim to wysiłkiem nasz włościanin, mieszczanin, urzędnik, a nawet szlachcic wioskowy posyła dziecko do szkoły; ile to co półrocze nieopłaconych wpisów szkolnych, jak to się ludzie ciągną na tę odrobinę oświaty, ażeby zrozumiéć, iż źródło naszego umysłowego zacofania leży przedewszystkiém w nędzy materyalnéj.

Zdaje mi się, że temu związkowi między naszym bytem ekonomicznym a stanem oświaty nikt chyba nie zaprzeczy, jest on bowiem jasny i jak na dłoni leżący. Ale ubóstwo materyalne nie jest tu wszystkiém; pominąwszy bowiem okoliczności i warunki od nas niezależne, a mocno paraliżujące pracę umysłową wogóle,—jest jeszcze pewien ujemny rys w zbiorowém usposobieniu plemienia, który je zatrzymuje na nizkim szczeblu oświaty. Tym rysem ujem-

nym jest jakiś nieprzezwyciężony wstręt do nauki. Każdy rozumowany artykuł pisma peryodycznego, każda książka poważniejsza, wymagające trochę myślenia, nazywają się suche i nudne. Przed 25 laty spotykałem w domach szlacheckich całe stosy „Roczników“ Tow. rolniczego nietknięte, z nierozciętemi kartkami; tak samo dziś spotykam u antykwaryuszów liczne tomy i zeszyty „Biblioteki warszawskiéj“, „Ateneum“, w których tylko powiastki są porozcinane. Czemu? bo reszta jest nudna i sucha. Wszystko, co nie jest powieścią, nudzi nas, a to tak dalece, że nawet te pisma peryodyczne, które nie spekulują na prenumeratę, muszą zamieszczać powieści, ażeby tą przynętą zwabić czytelnika i przeszwarcować jakiś artykulik rozumowany, lub choćby tylko historyczny. Niektórzy pocieszają się tém, że dobrze, iż ludzie przynajmniéj powieści czytają, bo w przeciwnym razie zapomnieliby zupełnie czytać. Może to i prawda, ale pociecha mało pocieszająca. Byłoby wszakże niesprawiedliwością wyrządzoną ogółowi naszych czytelników, gdyby kto twierdził, że go tylko powieść bawi; jest jeszcze inny dział literatury cieszący się liczną choć szczuplejszą klientelą niż powieść, mianowicie polityka: tę już studyują sami sensaci. A dziesięć tysięcy „Senników“ egipskich i drugie tyle kalendarzy oraz kantyczek? Nic-że to nie znaczy? Wartoż przedrwiwać epokę Sasów? Nie narzekajmy, że o nas w Europie zapomniano; nie przynosimy nic do skarbca wiedzy europejskiéj, a jeżeli przynosimy, to znów powiastkę, którą gdy przetłómaczą Węgrzy lub Czesi, nie ma końca radości naszéj. W dzienniki wstępuje szlachetna duma, jak niegdyś w Reja: A niechaj narodowie wżdy postronni znają, że Polacy nie gęsi i „Pana Wołodyjowskiego“ mają.

Zwracając się do innego czynnika, stanowiącego o etycznéj wartości społeczeństwa, możnaby przeprowadzić bardzo interesujące studya naszéj moralności. A jakiéj moralności? Ewolucyjnéj, czy mieszczańskiéj, zwanéj *die satte Tugend und zahlungsfähige Moral*, sytéj cnoty i wypłacalnéj moralności? Jakiéj chcecie; okazałoby się bowiem z takich studyów, że pojęcia etyczne, krążące wśród publiczności, nietylko odpowiadają stanowi ekonomicznemu, jak głosi etyka materyalistyczna, w każdéj epoce ewolucyi ekonomicznéj, lecz stanowią coś specyalnie naszego. Stanąć na termin z umówioną robotą lub zapłatą, dotrzymać słowa choćby Żydowi, powiedzieć prawdę z narażeniem popularności osobistéj — to ptaki nadzwyczaj u nas rzadkie. Mamy na użytek Delfina etykę własną, przykrojoną do prowincyonalnych lub powiatowych, stanowych lub klasowych wymagań. Podobno spółczesne nam pokolenie jest moralniejsze od ojców ojczyzny z końca przeszłego wieku. Jeżeli to

prawda, to cóż musiało być w tych starych, tak jeszcze niedawnych czasach!

Widzę wszakże, iż gotówbym wpaść na modne dziś regestrowanie tylko ujemnych stron społeczeństwa i popełnić przesadę, jak to uczynił pewien galicyjski konferencyonista, wcale nie facecyonista, który budował swoich słuchaczów porównaniem P. Boga z cesarzem austryackim, a spowiednika z namiestnikiem Galicyi. Morał jest niesmacznym pokarmem, chociaż moralność jest dojrzałym owocem i rezultatem wszystkich stosunków, tak ekonomicznych jak i prawnych i politycznych — jest wykładnikiem całkowitéj wartości społeczeństwa. Byłoby w istocie krzywdą dla swoich, gdybyśmy zamykali oczy na tę odrobinę dodatnich stron naszego bytu, jakieby się okazały z porównania i z obcymi i z naszymi ludźmi dawniejszych czasów; niemniéj pozostaje nam do zrobienia tak dużo we wszystkich kierunkach życia społecznego, iż najdzielniejszym opadają ręce — a mimo tego opaść nie powinny pod groźbą zagłady. Pańszczyzny już nie ma, święci téż nie zstąpią i nie będą za nas robili; historya tylko część winy w niepowodzeniach tłómaczy okolicznościami, resztę działaczom słusznie przypisuje.

Wybornie! — zawoła może jaki kolega po piórze, — jużeśmy tę melodyą słyszeli: nie znamy ziemi swojéj, ludności swojéj, jesteśmy ciemni, zacofani, ale jaka na to recepta? Gdybym znałj taką uniwersalną i doraźnie działającą medycynę, jeszczebym jé nie wskazywał, bo kolega po piórze dlatego, że to lekarstwo z obcéj apteki, gotówby położyć swoje *veto*, na przekór właśnie, ale w duchu naszéj tradycyi.

K.





WSPÓŁCZESNY RUCH TEOZOFICZNY

W ANGLII, AMERYCE I INDYACH WSCHODNICH.

W Anglii i Ameryce dziwny panuje ruch na polu przekonań religijnych i filozoficznych. Potrzeba przekonań religijnych daje się uczuwać z taką siłą, że mnóstwo ludzi przystępuje do jakiejkolwiek sekty, aby tylko wyjść z nieznośnego stanu obojętności i niepewności. Niektóre z tych sekt, pomimo bardzo niezadawalniającego rozwiązania zagadek bytu i życia, liczą poważne zastępy zwolenników, jak np. armia zbawienia; inne do kilkunastu zaledwie ograniczają się parafii; wszystkie zaś rozwijają działalność niepospolitą propagandy i „nawracania". Jest to objaw, który bardzo na uwagę zasługuje i świadczy o tém, że gdy z pomocą cywilizacyi materyalne wygody jednéj części ludzi dojdą do takiegoż wykwintu i przepychu, jak życie innych do nędzy, gdy różnice między warunkami życia różnych ludzi wyraźniéj się zarysują, wtedy także myśl ludzka więcéj jest czynna w kierunku zagadek samego żywota i więcéj przystępna dla nowych rozwiązań tych odwiecznych zagadek. Takie okoliczności 18 wieków temu panowały w państwie rzymskiém, i wydały ówczesny Chrystyanizm. Dziś już religie pochodzące od Chrystusa wielce straciły na sile i nie zadawalniają wszystkich; za wiele zawierają mitów, i za wiele téż się oddalają od pierwotnéj nauki Mistrza. Trzeba więc nowéj ewangelii do nowych ludzi zastosowanéj, i ztąd się tłómaczy ten ruch religijny w społeczeństwie, które naszéj cywilizacyi europejskiéj przoduje. Z jednéj strony sekty różne przeżuwają biblią, z drugiéj ludzie myślący utworzyli „Towarzystwo dla badań psychicznych" *Society for psychical research*, aby przez badanie objawów duchowych dojść do pewnych wniosków o naturze człowieka. Tacy uczeni jak Crookes

nie wahali się poświęcić swego czasu i pracy na poznanie objawów spirytystycznych i fotografowanie „duchów“. Fotografie „Katie King“, upiora czyli ducha, publicznie się sprzedają w Anglii wraz z opisem okoliczności, wśród których została odfotografowaną ta kobieta z innego świata. Czytelnik, który nie może zwrócić się aż do oryginalnych sprawozdań z doświadczeń Crookes'a, łatwo może zasięgnąć informacyi z dzieła dra Paul Gibier: „*Le Spiritisme*“, które niedawno wyszło z druku.

Wszystko to świadczy o potrzebie rozszerzenia naszéj wiedzy o nas samych, i zwrócenia badań naukowych w tym kierunku, który dotąd był uważany za wyłączną dziedzinę religii i mitologii: życia ludzkiego przed urodzeniem i po śmierci ciała, oraz własności duszy naszéj, od ciała niezależnéj. Rodak nasz Ochorowicz w wyśmienitém dziele swém „*Suggestion mentale*“ przytacza zjawiska, z których mamy prawo wnosić, że wola jednego człowieka może mieć na wolę drugiego wpływ, od ruchów ciała niezależny.

Jednym z objawów głęboko odczutéj potrzeby rozwiązania zagadek bytu jest Towarzystwo teozoficzne, założone w Nowym Yorku 12 lat temu, a zawdzięczające głównie swoje istnienie kobiecie, pani H. P. Blavatsky (Jelena Pietrowna Bławatskaja). Dziś towarzystwo to ma już gałęzi we wszystkich częściach świata, szczególniéj w posiadłościach angielskich, ale także we Francyi, w Niemczech, w Rosyi itd. Zadaniem towarzystwa jest: 1) utworzenie ogólnego braterstwa ludzi; 2) studyowanie i rozpowszechnianie wiedzy o dawnéj aryjskiéj cywilizacyi i filozofii; 3) poznanie i rozwój niektórych władz duszy, dotychczas u większości ludzi nierozwiniętych.

Najważniejsze znaczenie ma dla członków towarzystwa teozoficznego punkt drugi, tylko że główni przedstawiciele tego towarzystwa studyum cywilizacyi aryjskiéj inaczéj pojmują niż uczeni europejscy. Nas studyum zamarłych cywilizacyi zajmuje jedynie dla tego, że w historyi minionych epok odnajdujemy początki wszystkiego tego, co dziś się rozwinęło—same zaś te początki bezwątpienia niżéj stawiamy niż późniejszy ich rozwój. Innego zupełnie zdania jest pani H. P. Blavatsky i założyciele „Towarzystwa teozoficznego“ (*the Theosophical Society*). Pani H. P. Blavatsky, żona wysokiego urzędnika rosyjskiego, kilkanaście lat spędziła w Indyach Wschodnich i Tybecie, i zdołała pozyskać zaufanie tych nielicznych mędrców wschodnich, którzy dotąd w największéj tajemnicy utrzymywali ezoteryczne nauki budyzmu. Poznawszy je, doszła do przekonania, że zarówno sam Buddha, jak i jego poprzednicy posiadali znajomość przyrody również jak i człowieka, przedewszystkiém zaś duszy ludzkiéj dokładniejszą, niż my dzisiaj posiadamy. Kierunek

ich badań i nauki był pod wieloma względami wprost przeciwległy kierunkowi naszych usiłowań naukowych, i dla tego dla Europejczyka trudne, są do osiągnięcia i zrozumienia wyniki badań indyjskich.

Trudne do osiągnięcia, gdyż mędrcy wschodni utrzymują swe nauki w największéj tajemnicy, tak jak dawniejsi mędrcy perscy, magowie, wyższe kapłaństwo greckie i egipskie. Mają oni exoteryczne wykłady dla wszystkich wierzących, z celami religijnemi, ale wiedza ezoteryczna jest tylko ustnie przekazywana wśród szczupłego grona wtajemniczonych, i nawet najpracowitsze badania uczonych europejskich nie wykryły tych tajemnic, tak starannie strzeżonych. Dopiero teraz, i to z własnéj woli, postanowili niektórzy mędrcy wschodni odsłonić Europejczykom część swych tajemnic—dla czego—nie wiadomo; być może pod wpływem charakteru publicznego nauki europejskiéj, być téż może w celach zyskania liczniejszego grona uczniów. W tym celu założyli za pośrednictwem pani H. Blavatsky i amerykańskiego pułkownika Olcotta towarzystwo teozoficzne, udzielając niektórym jego członkom obfitych materyałów do dzieł o indyjskiéj wiedzy, którą zowią po angielsku „*Occult science*", ze względu na jéj dotychczasowy tajemniczy charakter. „Nauka tajemna", jakkolwiek głównie wypracowana przez budyjskich kapłanów i mędrców, nie ma charakteru wyznaniowego, ani téż nawet religijnego—posiada tę samę uniwersalność, co i nasza nauka, chociaż nieco inne metody. Towarzystwo teozoficzne wydaje dzieła, udziela wskazówek tym, którzy chcą przedmiot głębiéj zbadać, a nawet niektórych wspiera materyalnie. Ma kilka wydawnictw, jak np. *The Theosophist, a Monthly Journal devoted to Oriental Philosophy, Art, Literature and Occultism, embracing Mesmerism, Spiritualism and other Secret Sciences, Conducted by H. P. Blavatsky.—Proceedings of the General Convention of the Theosophical Society, Madras.—Transactions of the London Lodge of the Theosophical Society* (Teozofista, pismo miesięczne, poświęcone wschodniéj filozofii, sztuce, literaturze i tajemnéj wiedzy, uwzględniając mesmeryzm, spirytyzm i inne nauki tajemne.—Sprawozdanie z zebrania Towarzystwa teozoficznego w Madrasie.—Sprawozdania londyńskiéj loży Towarzystwa teozoficznego)—oprócz tych wydawnictw inne w Ameryce, Francyi i Niemczech, które się szybko mnożą. Jednak cała ta nauka wschodnia, pomimo tego, że dziś już przystęp do niéj jest nam ułatwiony, pozostaje i pozostanie bardzo trudną do zrozumienia, gdyż wielce się różni w metodach swych od naszych nauk. U nas wszystkie nauki prawie tyczą się zjawisk i wnioski nasze czynimy z wrażeń, jakie zjawiska wywierają na naszą

świadomość. Cała wiedza przyrodnicza w ten sposób się rozwinęła, a także i nauki filologiczno-historyczne na tę drogę weszły. Prawie cała nauka u nas opiera się na indukcyi, u wschodnich zaś mędrców ma ona ten charakter, co mają nasze pewniki matematyczne. Ilość tych pewników nasi uczeni wprawdzie zawsze usiłowali zmniejszyć, ale nikt zaprzeczyć nie może istnienia takich pewników, które uznajemy nie na mocy żadnego dowodzenia, ani doświadczenia, tylko wskutek bezpośredniego zrozumienia prawdy. Otóż ten charakter bezpośredniéj intuicyi rozciągnęli mędrcy wschodni na cały zakres swych badań: jest to metoda wprawdzie nam nie obca, ale mało u nas używana. Dziwném się na pierwsze wejrzenie wydaje, jak mogą istniéć pewniki po za matematyką, i jak można przyrodę badać dedukcyjnie, ale wszak i u nas, tam, gdzie z pomocą matematyki badamy przyrodę, nauki przyrodnicze stają się dedukcyjnemi. Zresztą także i przedmioty nauki wschodniéj inaczéj są uporządkowane niż u nas. U nas od zjawisk zaczynamy i nawet siebie samych uważamy za zjawisko: twierdzenie Kanta, że nigdy wiedza nasza nie przejdzie po za zjawiska i nigdy nie pozna *„das Ding an sich"*, tak silnie się zakorzeniło wśród uczonych, że powszechna panuje nieufność do teoryi bez eksperymentów. Jest to konieczném i naturalném o tyle, o ile nauka jakaś na badaniu zjawisk tylko się opiera. Ale wszak ten sam Kant już przyznał, że zjawiska są wywołane przez rzeczy, tylko samych rzeczy w świecie nie dostrzegł. Inni filozofowie uzupełnili ten brak, domyślając się, że człowiek sam w własnéj świadomości swego własnego ja za proste zjawisko uważać nie może, tylko za rzecz istniejącą. Któż wątpi o swém własném istnieniu? Skoro zaś oprócz zjawisk znamy rzeczy, a przynajmniéj rzecz jednę, nasze własne ja, to ja może stać się przedmiotem nauki, charakteru zupełnie odmiennego od nauk, które się tyczą zjawisk. Tak samo jak przez obserwacyą zjawisk możemy dojść do wniosków o naszém ja, jak widzimy w spółczesnéj psychologii doświadczalnéj, tak samo przez poznanie własnego ja możemy dojść do wiedzy o innych rzeczach istniejących po za zjawiskami, do téj wiedzy bezwarunkowéj, o któréj istnieniu Kant wątpił, a któréj małą próbką są pewniki matematyczne.

Po téj drodze — według mniemania angielskich teozofów — doszli też mędrcy wschodu do wiedzy rozległéj o człowieku i świecie, i chętnie jéj udzielają, ale nie można jéj udzielać w ten sposób, jak udzielamy wiedzę naszych nauk, za pomocą dowodzeń i eksperymentów. Tamta wiedza tyczy się nie zjawisk, tylko rzeczy, a percepcya rzeczy jest tak mało u nas europejczyków rozwinięta, że zbadawszy cały świat zjawisk, odkrywszy złudzenie, które wszyst-

kim zjawiskom towarzyszy, to „nieuchronne i niezbędne złudzenie“, Kant zapomniał o tém, że dla siebie samego on zjawiskiem nie był, i zawyrokował, że rzeczy rzeczywistéj żadnéj nie zna.

Otóż w tém cała trudność jest zawarta, że nasza dusza w innym kierunku, a mianowicie w czysto-umysłowym kierunku rozwijała swe siły, i dlatego najczęściéj bywa niezdolną do uchwycenia prawd duchowych. Trzeba odróżnić tę władzę duszy, za pomocą któréj porządkujemy zjawiska, od téj, która nam służy do bezpośredniego poznania prawd. Nazwijmy pierwszą umysłem *(intellect)*, a drugą duchem *(spirit)* dla odróżnienia, i zastanówmy się, jaki jest zakres czynności ducha w naszym wieku i naszéj cywilizacyi, przy naszym rozwoju. Zakres ten, według umowy, jest zakresem wszelkiéj bezpośredniéj intuicyi prawdy, niezależnéj od rozumowań i wnioskowania, które jest dziełem umysłu. Na pozór szczupłym jest zakres ducha, bo w nauce zaledwie matematyczne pewniki i podstawy logiczne mają ten charakter bezpośredni, jakiego wymagamy od prawd duchem pojętych. Ale téż wiele najważniejszych prawd we wszystkich naukach, nim zostały przez umysł dowiedzione i zrozumiane jako ogniwa łańcucha całéj wiedzy, wprzódy były pojęte duchem bezpośrednio. Te akty bezpośredniego uchwycenia prawdy są zwykłém działaniem g e n i u s z ó w, umysłowe zaś opracowanie, dowiedzenie i uprzystępnienie prawd odbywa się przez ludzi u t a l e n t o w a n y c h. Bywają ludzie bogaci duchem a mniéj uposażeni umysłowo, którzy wprawdzie miewają wielkie idee i pomysły, ale ich zastosować i przeprowadzić nie umieją.

Oprócz prawd naukowych jest cały olbrzymi szereg prawd niewątpliwych, które u większości ludzi tylko duchem bywają pojęte, mianowicie w zakresie dobra i piękna. Dlatego to umysłowa czyli racyonalna, czy téż naukowa estetyka i etyka były zawsze tak trudném zadaniem dla ludzi, nawet najbardziéj umysłowo rozwiniętych. Wielu ludzi myśli, że prawdy w zakresie sztuki lub moralności nie mają tego charakteru bezwzględnego co w nauce, ale jest to tylko mylne pojmowanie zarówno prawd moralnych, jak i prawd naukowych. Wszak i w nauce, z postępem rozwoju, prawdy ulegają przemianom znacznym, co nietylko widać w rozwoju historycznym nauki, ale także w rozwoju pedagogicznym dziecka. To samo dziecko, które uczy się w gimnazyum, że linie równoległe są liniami prostemi, które jakkolwiek przedłużone, nigdy się nie przecinają, dowiaduje się późniéj, że linie równoległe się przecinają w nieskończoności. Nauka liczb ujemnych, a potém urojonych jest zupełnym przewrotem w pojęciach dziecka, które się tylko uczyło

arytmetyki. Tak samo w nauce historyi wiele faktów inaczéj się przedstawia umysłowi dziecka niż dojrzałego człowieka.

W historyi nauk jeszcze większe odbywały się przewroty — wspomnijmy tylko historyą takich pojęć, jak substancya, atom, nieskończoność. Więc każda prawda jest prawdą dla jednostki będącéj w danéj fazie rozwoju, a mniemana bezwzględność i ogólność prawd naukowych zależy od tego, że każdy z uczonych jest w stanie dojść do téj fazy rozwoju, którą przebyli jego poprzednicy. Ale pamiętajmy o tém, że wiele ludzi nie jest w stanie dojść do stopnia rozwoju potrzebnego dla pojęcia prawd współczesnéj nam nauki i znamy ludzi bardzo rozsądnych, bardzo umiejętnych w zakresie pewnego fachu, np. techniki lub medycyny, którzy pomimo swego wykształcenia nigdy nie osiągnęli fazy rozwoju niezbędnéj dla pojęcia kantowskiéj krytyki i biorąc zjawiska za istniejące rzeczy, śmieją się z subtelności filozoficznych. Widzimy więc, że prawdy naukowe nie są bezwarunkowo ogólne, tylko zawsze ogólne dla pewnéj fazy rozwoju umysłowości, która przypuszcza zrozumienie pojęć, na jakich się dana nauka opiera.

Otóż ten sam charakter mają i prawdy moralne. Dla tego tylko obyczaje, prawa, religie są różne na świecie, że rozwój moralny jest bardzo różny. Wśród tych różnic znajdujemy jednak wiele prawd wspólnych wszystkim więcéj rozwiniętym religiom, nawet zadziwiająco wielką ilość takich prawd. Aby się o tém przekonać, wystarcza przeczytać kilka dzieł o religiach takich narodów, które z naszą cywilizacyą europejską żadnych stosunków nie miały (1), a jednak dziwną zgodność z nami wykazują w pojmowaniu prawd moralnych. Zresztą uniwersalność prawd moralnych jest podstawą wszystkich religii: żadna religia nie mogłaby być utworzoną, ani też trwać by nie mogła, gdyby nie istniała zgodność jéj uczestników co do uznawania prawd, które treść jéj stanowią. Nawet w dziedzinie, o któréj najczęściéj słyszymy przysłowie: „*de gustibus non est disputandum*“, artyści bynajmniéj tém przysłowiem się nie krępują i wciąż chcą dojść do powszechnie uznanych norm piękna. Normy takie istnieją, i jak tylko dzieło sztuki jakie zadosyć im czyni, przechodzi w dziedzinę utworów nieśmiertelnych: stworzyła go „moc nad sercem ludzi, moc, któréj próżno przeczą,

(1) Np. doskonale napisane i bardzo interesujące dzieło sir George Grey, late governor in chief of New Zealand: *Polynesian mythology as furnished by their priests and chiefs*. London 1855, ed. J. Murray i również godne uwagi dzieło: *Le livre des recompenses et des peines, en chinois et en français, accompagné de 400 legendes anecdotes et histoires traduis par St. Julien*. Paris 1835.

gdyż ona łzy i zachwyt budzi, wstrząsając pierś człowieczą" (Asnyk). Przyczyną zaś tak często spotykanego mniemania, że w kwestyach piękna nic stanowczo orzec nie można—znowu jest fakt, że rozwój artystyczny ludzi jest nadzwyczaj nierówny, a ci co nie rozwinęli się jeszcze dostatecznie, aby dane dzieło sztuki odczuć, lekceważą je, jak zwykle ludzie mniéj rozwinięci lekceważą to wszystko, co sferę ich rozwoju przechodzi.

Ludzie, którzy są artystycznie jednakowo rozwinięci i równi w danéj gałęzi sztuki, zwykle téż zgadzają się w sądach o arcydziełach sztuki, a pozorne różnice wynikają ztąd, że bezpośrednie wrażenie, jakie piękno robi na ducha, starają się oddać słowami, a nawet gdy ich rozwój artystyczny jest równy, zdolność władania językiem może być nierówną. Ztąd téż wiele najżywszych dyskusyi w sztuce prowadzono o wyrazy, nie o rzeczy. Skoro raz przyjmiemy, że stopień uniwersalności również jak i względności prawd jest ten sam i od tych samych warunków zależny w nauce, sztuce, jak i moralności, — łatwo pojąć zależność wszystkich naszych wyobrażeń od rozwoju. Mędrcy wschodni, gdy raz spostrzegli prawo téj zależności i możliwość intuicyjnéj percepcyi duchem tych prawd, które mozolnie za pomocą rozumowania i wnioskowania umysł wyraża w formie przyczyn i skutków, wszystkie siły skierowali ku rozwojowi ducha, i w ten sposób ich nauka powstała. Tém więcéj zaś duchem a nie umysłem pracować im było wolno, że przedmiotem ich badań wcale nie zjawiska były, tylko same rzeczy, to jest monady, czyli własne „ja", które zjawiskiem nie jest.

Z naszego europejskiego punktu widzenia możliwość takiéj bezpośredniéj percepcyi duchem możemy a nawet musimy przyznać, gdyż mamy jéj codzienne dowody szczególniéj w dziedzinie sztuki i moralności. W zakresie nauki wprawdzie tylko najpierwsze pewniki zdobywamy bezpośrednią percepcyą, ale skoro tylko zasada jest przyjęta, wolno ją i daléj rozciągnąć.

Wyniki badań w ten sposób prowadzonych dopiéro wtedy na nasze uznanie zasłużą, gdy zdołamy je stwierdzić umysłowém rozumowaniem, albo gdy sami dojdziemy do równéj władzy percepcyi bezpośredniéj. Bez tego są one dla nas tylko ciekawemi objawami w i e r z e ń pewnéj religii, pewnéj ilości ludzi. Według zaręczeń A. Sinnetta, przewodniczącego jednéj z gałęzi Towarzystwa teozoficznego, wyniki nauki wschodniéj są identyczne z tajemną nauką budyzmu, i dlatego nadaje on tytuł *Esoteric Buddhism* swemu dziełu, w którém przedstawia zarys ogólny przekonań mędrców wschodnich o człowieku, o duszy, o świecie, o życiu. Nawet jeśli zaprzeczymy możliwości bezpośredniéj percepcyi prawd naukowych, lub

odmówimy mędrcom wschodnim tego wyższego rozwoju ducha, który oni sobie przyznają, lub wreszcie A. Sinnetta pomówimy o łatwowierność — to zawsze pozostanie wykład tajemnego budyzmu nadzwyczaj interesującym, gdyż zawiera on przekonania milionów ludzi wśród setek pokoleń indyjskich, jako też dziś wśród współczesnych nam społeczeństw europejskich, wśród których towarzystwo teozoficzne działalność swą rozwinęło.

Dziś, kiedy porównawcze badanie najniedorzeczniejszych wierzeń do bardzo interesujących prowadzi rezultatów, mogą nas interesować przekonania nawet niedowiedzione, jeśli przekonania te mają bardzo licznych przedstawicieli i z dziwną szybkością w społeczeństwach współczesnych się rozpowszechniają. Dla tego przedstawimy czytelnikowi twierdzenia teozofów angielskich, które, według ich mniemania, mają być zgodne z tajemnym, ezoterycznym budyzmem. Za podstawę poniższego obrazu tych przekonań służy nam dzieło A. Sinnetta *Esoteric Buddhism*, które w Anglii, Ameryce i Indyach Wschodnich nadzwyczaj szybko znalazło uznanie, a wkrótce zostanie tłómaczone na język francuski.

A. Sinnett przemawia nie w swojém własném imieniu, tylko pod wpływem swych tajemniczych nauczycieli. Nauczycielami tymi są właśnie mędrcy wschodu, o których była mowa, a najwyższy stan rozwoju i wiedzy takiego mędrca bywa oznaczony wyrazem *Mahatma*. Takim Mahatma, według A. Sinnetta, był Buddha, również jak i Chrystus. Mahatma, także nazywany mistrzem, lub adeptem, jest to człowiek, który pozbył się wszelkich egoistycznych popędów, wszelkich osobistych ambicyi, i żyje tylko dla drugich, tylko miłością bliźniego. Adepci także fizycznemi warunkami życia różnią się od nas: wymaganą jest od nich wielka wstrzemięźliwość, czystość tak jak w naszych klasztorach, ale nie ślubowana, i nie dla tego obowiązku utrzymywana, tylko z własnéj nieprzymuszonéj woli, wskutek przezwyciężenia zmysłowości i wzniesienia się po nad zmysłowe rozkosze do szczęścia duchowego. Aby zostać adeptem, trzeba wielkich wysiłków woli i wielkiéj miłości bliźniego — jednak droga do tego stanu nikomu nie jest zamknięta. Każdy, gdy walką wewnętrzną przezwycięży swe złe skłonności, gdy miłością pokona egoizm zupełnie, staje się adeptem i nie potrzeba tu żadnego wtajemniczania, ani żadnego obrządku. Adepci mają istnieć, według Sinnetta, we wszystkich krajach, wśród wszystkich narodów. Wysoki rozwój ich jest rozwojem duchowym i może być połączony z bardzo różnemi stopniami umysłowości — adept może posiadać całą europejską naukę, lub téż wcale jéj nie znać, może znać wiele języków lub tylko swój

własny, doskonałość jego polega nie na umysłowych bogactwach, tylko na intuicyi i władzy duchowéj. Nie ma on do czynienia ze zjawiskami, tylko z duszami, czyli z rzeczami istniejącemi rzeczywiście.

Jakkolwiek każdy sam może zostać adeptem wskutek własnéj woli i własnych wysiłków, i w ten sposób pierwsi adepci powstali— to naturalnie łatwiéj mu będzie cel osiągnąć przy pomocy innych adeptów czyli mistrzów. Dlatego mają w Indyach istnieć szkoły tajemne, w których się kształcili ci, co chcieli zostać adeptami wiedzy tajemnéj *(occult science)*. Czytelnik zapyta, dla czego tyle tajemnicy, skoro celem jest dobro współbraci i bliźnich? Otóż tu spotykamy się z inném twierdzeniem, które dla nas pozostaje niedowiedzioném, jednak wcale nie koniecznie fałszywém, mianowicie, że adept przy swéj doskonałości moralnéj, wskutek właśnie téj doskonałości nabywa władzy nad przyrodą większéj, niż wszystko, co dotąd zdobyła nasza nauka. Władza ta jednak nie jest koniecznie połączona z doskonałością moralną i może być również użytą w złych celach. Dla tego adepci strzegą się, aby żadnego niegodnego do téj władzy nie dopuścić, gdyż mógłby on wielu bliźnim zaszkodzić. Gdyby cała nauka nie była dosyć tajemną, mogliby ją zdobyć także ludzie niegodni téj władzy i wielkich się dopuścić nadużyć. Jako przykłady wielkiéj téj władzy przytacza A. Sinnett: zdolność czytania obcych myśli (1) nawet z największéj odległości, widzenie i słyszenie tego co się dzieje daleko od nas, szybkie przenoszenie się z jednego miejsca na drugie, również jak i przenoszenie momentalne przedmiotów materyalnych na największe odległości i t. d. (2).

Według Sinnetta, na władzy podobnéj opiera się wiele zjawisk, które dawniéj uchodziły za czary, a dziś są przedmiotem ścisłego badania, które nas może doprowadzić do odkrycia nieznanych nam jeszcze sił przyrody.

Zwróćmy tymczasem uwagę na to, że fakta powyżéj przytoczone nie stoją w sprzeczności z żadném prawem przyrodniczém i wcale nie więcéj są zadziwiające, jak przenoszenie głosu za pomocą telefonu lub pisma telegrafem. To téż adepci twierdzą, że do téj władzy, którą oni nazywają magiczną, człowiek również może dojść za pomocą ścisłego badania i nauk przyrodniczych, tak

---

(1) Coś podobnego przez Ochorowicza zostało obserwowane metodą nauki zachodniéj. Cała francuska psychologia nowoczesna pełną jest *„suggestion mentale"*, — od takiéj *suggestion* jednak, do dowolnego czytania cudzych myśli, skok jest bardzo wielki.

(2) Przedmiotem dawniejszego dzieła Sinnetta *„The occult world"* są właśnie te nadzwyczajne zjawiska dokonywane przez adeptów.

jak w Europie są uprawiane. Władza magiczna jednak, według Sinnetta, daleko prędzéj ma być osiągniętą przez osobisty rozwój człowieka i przez zapanowanie zupełne nad własném ciałem. Należy tu jeszcze wziąć pod uwagę, że ta władza magiczna wcale nie ma charakteru nadprzyrodzonego i żadnego z praw przyrody złamać nie może, — tylko stosując te prawa, może człowiekowi dać możność kierowania zjawiskami do pewnego stopnia. Według tych wyjaśnień, np. adept ma zdolność czytania myśli innych ludzi,— ale drugi adept, znając prawa pozwalające na takie czytanie, może mu przeszkodzić, tak, że gdyby wszyscy ludzie byli adeptami, mogliby wprawdzie udzielać sobie myśli bez mowy (1), — ale by nie mogli czytać wzajemnie swych myśli, bez wzajemnéj na to zgody. Adept może wielki wpływ fizyczny i psychiczny wywrzéć na człowieka nieprzygotowanego do obrony,—ale na adepta takiego wpływu miéć nie będzie. Władza magiczna jest więc niebezpieczna w ręku jednego człowieka, gdy ma do czynienia z ludźmi mniéj duchowo rozwiniętymi, — ale wcale by nie mogła wywierać szkodliwych skutków, gdyby wszyscy ludzie ją posiadali. Wszyscy zaś jéj posiadać nie mogą, bo ku temu trzeba wysokiego duchowego rozwoju, jeszcze nie dla wszystkich dostępnego, dla tego adepci ukrywają metody, za pomocą których doszli do takiéj władzy, i udzielają téj władzy tylko tym, którzy dali dowody, że zasługują na zaufanie i że jéj nie nadużyją.

A. Sinnett, przedstawiając nam nauki budyzmu ezoterycznego, wyznaje, że jakkolwiek miał w życiu swojém wiele dowodów wiarogodności adeptów, sam własném doświadczeniem twierdzeń ich sprawdzić nie mógł i dla tego streszcza je bez żadnego dowodzenia, jedynie dla pouczenia tych, co chcą miéć informacye o tajemnych wierzeniach budyzmu. Adepci jednak mają twierdzić, że dla nich szczegóły te nie są przedmiotem wiary, tylko wiedzy, i że oni o szczegółach życia pośmiertnego ludzi mają tak niezachwiane przekonania, oparte na bezpośredniéj duchowéj obserwacyi tych prawd, jak nasi astronomowie o biegu planet i ich odległościach.

Zaczniemy tedy od zaznajomienia czytelnika z zapatrywaniami Sinnetta na przebieg osobistego życia każdéj jednostki i przejdziemy potém do historyi planet i systemu słonecznego, według ezoterycznego budyzmu. Naturalnie za treść żadnéj odpowiedzialności nie przyjmujemy, tylko za wierność sprawozdania, gdyż nie

---

(1) To miewa często miejsce w stanach egzaltacyi, szczególniéj egzaltacyi religijnéj. Kilka ciekawych przykładów cytuje Ochorowicz w swém dziele *Suggestion mentale*.

mamy żadnych środków sprawdzenia, czy przez Sinnetta przedstawione teorye są rzeczywiście tajemną nauką budyzmu — podajemy je tylko za wierzenia teozofów angielskich, z zastrzeżeniem, że o ile nam wiadomo, A. Sinnett zasługuje na zaufanie pod względem swéj szczerości i bardzo prawdopodobném się nam wydaje, że teorye w jego książce przedstawione są rzeczywiście tajemną dogmatyką budyzmu, gdyż nie stoją w żadnéj sprzeczności z najwięcéj naukowemi i źródłowemi dziełami, jakie znamy o budyzmie.

Śmierć, według teozofów, jest tylko przejściem do innego stanu świadomości, zwanego *Devachan*. Każda jednostka rozwija się od szczebli najniższych do najwyższych, od stanu atomu w minerale, do stanów tak dalece przechodzących znane nam stany świadomości ludzkiéj, że się wcale opisać ani zrozumiéć nie dadzą. Cały świat, tak jak nam się obecnie przedstawia, jest tylko dziełem naszych zmysłów w ich obecnym stanie rozwoju. Zmysły te nabyliśmy po kolei w ciągu ewolucyi niezmiernie długiéj, trwającéj wiele milionów lat, i w ciągu dalszego rozwoju nabędziemy jeszcze kilka innych zmysłów, a także kilka innych władz duszy. Życie pojedyncze na ziemi służy tylko jako szczebel w rozwoju każdéj nieśmiertelnéj duszy, i tak jak to życie się składa z epok po sobie następujących działalności i odpoczynku, tak samo istnienie każdéj duszy kolejno przechodzi epoki życia materyalnego *(incarnations)* i duchowego. Takim stanem duchowym jest Devachan. Pozornie tylko człowiek ze śmiercią traci ciało: wprawdzie te części materyalne ciała, które naszemi zmysłami spostrzegamy, podlegają rozkładowi i zniszczeniu, czyli właściwie przemianie, gdyż z nich inne organizmy powstają, — ale oprócz tych widzialnych części ciała, istnieją jeszcze części niewidzialne, a jednak materyalne, które duszy towarzyszą w stanie jéj pośmiertnym. Wogóle, w oczach teozofów angielskich, dusza ludzka nigdy nie jest wolną od materyi. Ta strona ich metafizyki jest najmniéj wyjaśnioną przez Sinnetta: używa on dla określenia duszy wyrazu „monad", a jednak nie określa w czém to jego pojęcie monady się różni od pojęcia monady Leibnitz'a, pierwszego w zachodniéj filozofii twórcy monadologii.

Według Sinnetta, dusza ludzka w Devachanie przebywa tysiące lat po każdém życiu materyalném i przez ten czas, jakby we śnie, przetrawia ogólne wyniki rozwoju w ciągu poprzedzającéj inkarnacyi, zapominając o jéj szczegółach. Podczas tych kilku tysięcy lat, rozwój ciał ciągle daléj postępuje w życiu zjawisk zmysłowych na ziemi, i dusza, gdy według praw przyrody nią kierujących ma do cielesnego życia powrócić, znajduje wśród wtedy rozwijających się płodów w różnych warunkach taki, który jest najodpowiedniej-

szym dla jéj dalszego rozwoju. Każdy z nas, według téj teoryi, żył już wiele razy na ziemi w różnych fazach rozwoju ludzkości i żyć będzie nadal, dopóki w nim działać będzie chęć życia zmysłowego. Dopiero gdy ta chęć zupełnie zostanie przezwyciężoną, dusza osiąga Nirwanę czyli stan zupełnie duchowy i niezmysłowy. Nirwana nie jest bynajmniéj unicestwieniem jednostki, tylko raczéj najwyższym szczytem świadomości. W Nirwanie człowiek jest w możności przypomnieć sobie cały szereg swych inkarnacyi, i zna cały ustrój systemu planetarnego, do którego należy, i prawa rządzące rozwojem światów.

Tak samo jak każda pojedyncza jednostka rozwija się od najniższych szczebli istnienia do nieskończonéj doskonałości, tak samo też i każda planeta przechodzi fazy rozwoju. Nim ludzkość na ziemi powstała, rozwijały się na niéj zwierzęta, rośliny, minerały i niższe jeszcze formy bytu, o których nam Sinnett dokładniéj nie mówi. Ludzkość zaś przebyła już kilka epok, z których każda od następnéj była oddzieloną wielkiemi przewrotami geologicznemi. Naszą cywilizacyę miała poprzedzić cywilizacya Atlantydy, części świata, która około 10,000 lat temu znikła wskutek ciągłego opadania poziomu, i została morzem zalana. Cywilizacya ta miała pod niektóremi względami o wiele przewyższać obecną, a jednak zupełnie zaginęła, i potomkowie Atlantydów pozostali wtyle za narodami pochodzenia aryjskiego. Obecnie trwa wielki cykl rozwoju narodów aryjskich, które jeszcze nie doszły w tém do szczytu.

Sinnett, również jak i liczni inni teozofowie angielscy, jest przekonany, że wszystko to, co dziś jako wyjątkowa tylko cnota, szlachetność, miłość bliźniego, zdolność jest nam znaném, kiedyś wspólnym będzie udziałem ludzkości ziemskiéj w dalszym jéj rozwoju, a było już powszechném w ciągu rozwoju innych planet i innych systemów słonecznych.

W nieskończonym wszechświecie wszędzie mają panować te same prawa rozwoju fizycznego i moralnego, i po téj saméj drodze do Nirwany czyli n a j w y ż s z é j o s o b i s t é j ś w i a d o m o ś c i, dążą ludzie w nieskończonéj ilości systemów słonecznych i planet. Do najwyższych szczebli tylko ci dochodzą co przezwyciężą wszelki egoizm, zmysłowość, i zupełnie oddani miłości prawdy i bliźniego, żyć będą w ten sposób, aby sobie i innym pomagać w dalszym ciągle rozwoju. O granicach tego rozwoju nigdzie mowy nie ma—ponieważ już wyższe stopnie na ziemi istniejące, przechodzą wyobraźnię, i zrozumienie przeciętnego człowieka. Według teozofów, oprócz świata dla naszych pięciu zmysłów istniejącego, istnieje cały świat inny wśród nas, świat, którego zwykli ludzie spostrzedz nie

mogą, a dla którego poznania trzeba rozwinąć w sobie nowe zmysły i nowe władze duszy; z tych władz duszy, uśpionych w nas jeszcze i nie rozwiniętych, bezwiedny robimy użytek magnetyzując, odgadując myśli obce, przeczuwając przyszłość. Rozwinąć je można jedynie wielkiemi wysiłkami i zaniedbaniem tego wszystkiego, co dziś nam przeważnie się wydaje przyjemném, a co jest tylko zmysłowém złudzeniem i pod tym względem znajdujemy u teozofów wiele podobieństwa do chrześciańskich ascetyków: tylko ascetyzm sam przez się nie ma dla teozofów znaczenia jako umartwienie ciała; jest on jedynie skutkiem wyższych aspiracyi duchowych. Przez umartwienie ciała nie można dojść do wyższego rozwoju duchowego, a odwrotnie, wyższy rozwój duchowy wyradza obojętność względem ciała i zmysłowych wrażeń, obojętność, która wielce się różni od bezmyślnego ascetyzmu.

Dla zrozumienia moralnéj treści ruchu teozoficznego ważną jest mała broszurka, przez wszystkich teozofów nadzwyczaj wychwalana, pod tytułem „Światło na drodze, podręcznik napisany dla osobistego użytku tych, którzy wschodniéj mądrości nie znają, a chcą poddać się jéj wpływom“ (1).

W téj broszurce znajdujemy wśród innych następujące zdania: „zanim oczy będą mogły widziéć (odróżnić prawdę od złudzeń) muszą stać się niezdolnemi do łez“—„zanim głos będzie mógł mówić do Mistrzów, powinien stracić zdolność do ranienia kogokolwiek.“ „Trzeba się pozbyć ambicyi, pragnienia życia i wygody, a tak pracować jak ci co są ambitni, tak życie poważać jak ci co je kochają i być tak szczęśliwym jak ci co dla szczęścia żyją.“

W szeregu podobnych rad jest zalecaném dla tych, co mają zostać adeptami, zupełne zapomnienie o sobie samych, zupełne zlanie swoich osobistych dążeń z celami świata jako całości, i bliźnich. I pod tym względem możnaby uważać teozofów za sektę chrześciańską. Korzystnie się wyróżniają oni wśród innych sekt wielką bardzo tolerancyą. Towarzystwo w przyjmowaniu członków nie robi różnicy pochodzenia, ani stanowiska, ani téż wierzeń religijnych osób, które zgadzają się na główne cele wyżéj przedstawione: braterstwa ludzi, rozwoju władz duszy i poznania dawnéj aryjskiéj cywilizacyi. Przewodniczący Towarzystwa teozoficznego, H. S. Olcott, tak się wyraża o stosunku swoim do różnych religii (2): „Towarzystwo nasze nie jest dla propagandy oznaczonych dogmatów;

(1) Light on the path, a treatise written for the Personal Use of those who are ignorant of the Eastern Wisdom and who desire to enter within its Influence. Written down by M. C. Madras, 1885.

(2) Henry S. Olcott: Theosophy Religion and occult science. London, 1885, pag. 58.

wskutek tego, jako towarzystwo, nie ma jakichkolwiek wierzeń, które by światu miało podać do przyjęcia. Uznajemy wielką filozoficzną zasadę, że Prawda bezwzględna jest jedna tylko, a różnice między ludźmi pochodzą jeno z różnego zrozumienia téj prawdy.“

W obec takiego zaręczenia, nie potrzebujemy kłaść na karb towarzystwa spotykanych w niektórych pismach teozoficznych stanowczych a bezzasadnych twierdzeń. Jeden ważny zarzut należy jednak zrobić takim autorom jak Olcott i Sinnett: z wszystkich ich dzieł jest widocznem wprawdzie, że się nad metafizycznemi pytaniami namyślali—ale nie zadali sobie pracy poznania rozwoju filozofii zachodniéj ze źródeł, i dla tego zupełnie fałszywe mają o niéj pojęcie. Biorą to za wyraz powszechnego rozwoju filozofii europejskiéj, co jest pojedyńczym i zależnym od innych głosem, i nie wiedzą, ile z ich własnych twierdzeń znajduje się u Spinozy, Leibnitza, Kanta lub Hegla. To téż napróżnobyśmy w tych dziełach teozoficznych szukali jasnego określenia ich stosunku do jakiegokolwiek z wielkich systemów, które w naszéj cywilizacyi tak ważną odegrały rolę. Dzieła teozofów są pisane z przekonaniem głębokiém, z zapałem i przywiązaniem do przedmiotu, ale bez kompetentnéj wiedzy. Ani Olcott, ani Sinnett, ani pani Bławacka filozofami nie są, tylko powtarzają i na angielski język tłómaczą nauki swych wschodnich nauczycieli. Ta zależność jest téż widoczną w wielkiéj różnicy, jaka między pojedyńczemi dziełami tych samych autorów zachodzi. Np. „Świat tajemny“ (*The occult world*) Sinnetta jest daleko gorzéj napisane niż następujące jego dzieło „Esoteric Bouddhism“. Dla tego braku samodzielności spotykamy w tych dziełach dziwne szczegóły o życiu przed urodzeniem i po śmierci, o wpływach tajemniczych jednych osób na drugie, które jednak pozostają bez skutku na naszą wyobraźnię, i wcaleby nawet na uwagę naszą nie zasługiwały, gdyby skądinąd poparcia pewnego nie znalazły w licznych obecnie pracach i doświadczeniach nad spirytyzmem i magnetyzmem. Znany dr. Gibier, autor dzieła o spirytyzmie (*Le Spiritisme ou Fakirisme oriental.* Paris 1887) wstąpił do Towarzystwa teozoficznego; wiele pism francuskich w ostatnich czasach poświęciło obszerne artykuły teozofom, i bezstronnie sądząc, trzeba przyznać, że dzieła ich niektóre (1) zawierają wiele myśli głębokich i szlachetnych obok twierdzeń, które nam się niczém nie wydają uzasadnionemi.

W. Lutosławski.

---

(1) Szczególniéj: Magic by Fr. Hartmann.



OSTATNI BURGRABIA.

I.

Pokój ten wygląda, jakby należał do apartamentu bogatego przemysłowca lub bankiera. Najprzód rzuca się w oczy duże dębowe biuro z bronzami. Przykryte ono jest papierami, depeszami, listami i gazetami. Wszystko to rzuconém jest tutaj w nieporządku, gorączkową ręką. Na wierzchu w stosy ułożonych papierów lśni się cienka biała bibuła, zapełniona delikatnie wydrukowanemi cyframi. Nosi ona napis gruby, czytelny: „*Börsen-Anzeiger*“.

Dokoła tego biura stoją rozstawione wygodne fotele, obite czarną skórą. W pokoju mieszczą się szafy, z książkami za szkłem. Tytuły ich prawią o ekonomii, o rolnictwie, o przemyśle, o stopach procentowych.

Na ścianach wisi kilka obrazów przedniego pędzla. Rażą one nieco w tém wnętrzu wygodném, poważném, lecz wiejącém cyfrą i rachunkiem.

Duża bronzowa lampa wisi w środku i oświéca doskonale stojący pod nią stół, na którego błyszczącym blacie mieszczą się wygodnie popielniczki, pudełka z hawańskiemi cygarami, zapałki, jakaś książka o nierozciętych kartkach i wyrzeźbiony z bronzu lichtarz z zapaloną świécą.

A nadto para dwuramiennych w stylu Henryka IV-go lichtarzy oświéca biuro.

W jednym kącie komnaty u ściany, wisi przymocowany aparat telefoniczny ze swą rurą i tubą.

To niezawodnie gabinet bogatego przemysłowca, lub bankiera.

Na fotelu przy biurze, ale do tegoż tyłem odwrócony siedzi mężczyzna lat pięćdziesięciu. Twarz jego wygolona, z siwymi faworytami tylko, nos długi i niemiecki, usta delikatne a szerokie,

górna warga nieproporcyonalnie długa, zdradzają teutońskie pochodzenie jego.

Wyraz téj twarzy jest bystry, inteligentny i zimny. Głos twardy, jakby tylko pracowicie wygłaszał cyfry i zasady ekonomiczne.

Siedzi wygodnie rozparty, jedną rękę opiéra na miękkiéj poręczy, drugą trzyma na krawędzi biurka i stuka nią miarowo i od niechcenia.

Rozmawia z drugim mężczyzną, siedzącym na takimże fotelu, lecz przy stole i palącym z rozkoszą widocznie dobre cygaro.

Inny to zupełnie typ.

To polak, wychowany za granicą, bo źle mówi po polsku i miesza francuskie wyrazy, a zapędzony w polskiéj rozmowie, w obcym ją kończy języku.

Twarz jego, choć już nie pierwszéj młodości, jest przepiękną. Regularne rysy, o ostrych liniach, o pięknym nosie, o ślicznych ustach, o wypukłym i otwartym czole, zdradzają pana.

Dopomaga im w tém piękna ręka mężczyzny z pierścionkiem, na którego białym kamieniu szlifierz wyrył delikatném dotknięciem stary herb polski.

Mężczyzna ten nosi czarną jak heban brodę i nadół opuszczony wąs.

Choć siedzi, widocznym jest jego duży wzrost i jego elegancka figura.

Wygląda znudzony przedmiotem, o którym rozmawia i do którego przywiązuje wagę, bo choć oczy jego gdzieś błądzą po światach wyobraźni, przeciąga nieraz rękę po czole i daléj... namawia... tłómaczy.

— Panie baronie! — mówi on do siedzącego przy biurze mężczyzny — jest to jedyny dla pana interes. Gotów jestem go dziś skończyć. Tak! gotów jestem dziś podpisać kontrakt sprzedaży Zabuża, tak mnie już znudziły te wasze niemożliwe stosunki, te drogi... te błota... ta dzikość... wszystko!

Baron puka ręką po biurze, przypatruje się swemu towarzyszowi, zamyśla się, głaszcze faworyty, oczami wodzi po suficie i po dobréj chwili odpowiada:

— Wierzę księciu! człowiek mieszkający od tylu lat zagranicą... w Paryżu, nie przywyknie do kraju. To są inne stosunki od *a* do z. Gdybym kupił Zabuże, tobym je nabył dla rezydencyi, dla zbiorów, dla parku! Cóż są warte te lasy, te przestrzenie, te włóki o piętnaście mil od kolei?...

— Ależ koléj...—chce przerwać książe, ale baron macha ręką i podchwytuje;

— Koléj jest projektem, a u nas projekta... wié książe... są zawsze projektami... Za te nieużytki więc, jakże mogę ofiarować cenę, jaką książe żądasz?

— Nie chcesz baron mi wierzyć — odpowiada zniechęconym tonem książe, pociągając rękę po czole i włosach, jak gdyby czuł się już tą kwestyą nad wyraz znużonym — nie chcesz wierzyć, że pałac sam... zamek... ze swymi zbiorami, dziełami sztuki... obrazami, cenią tyle, co żądam za klucz cały.

— Wierzę... wierzę!.. — przerywa baron — to są bardzo cenne dla księcia pamiątki rodzinne, lecz dla mnie, wobec nowych postępów w sztuce, cóż mają wartość portrety wojewodów i kasztelanów jego przodków?.. Obrazy bitew i uroczystości rodzinnych?

— Ależ są tam oryginały... są tam...

— Wiem, że są — przerywa znów baron — ale téż ja daję pokaźną sumę czterykroć stu tysięcy rubli... to jest miliona franków.

— Za tyle nigdy! — wykrzykuje książe i daléj mówi, puszczając kłęby dymu z cygara — poświęcam dużo, bardzo dużo dlatego tylko, aby uniknąć drobnéj parcelacyi, targów i wycinań lasów, ale za darmo nie oddam!

Baron spogląda na księcia, w jego oczach widzi pewną stanowczość, zérka więc kilkakroć na niego ukradkiem. Wreszcie cedząc wyrazy, jakby do nich żadnéj nie przywiązywał wagi, odpowiada:

— Pozwoli... książe... że poślę syna mego obejrzyć Zabuże. Jeśli rzeczywiście dobra te mu się spodobają... to... może... postąpię.

Książe nie umie ukryć pewnego zadowolenia, nogą założoną, jedna na drugiéj, gorączkowo porusza i przerywa powolny bieg wyrazów barona.

— Tak... ale kiedy? Bo ja, jeśli w tych dniach nie skończę interesu, to czekać nie będę. W Paryżu mam termina... wyjadę! Rzecz się znów odroczy do przyszłéj mojéj w Polsce bytności.

— Dzisiaj syn mój wyjedzie... nocnym pociągiem — przerywa baron.

Książe spogląda na zegarek.

— Ma sześć godzin czasu... teraz szósta... — dodaje. Wstaje, żegna się z baronem, który wygląda bardzo zajęty wewnętrzną umysłową pracą i pyta:

— Ale książe czekać będziesz w Warszawie powrotu mego syna?

— Będę — odpowiada pan i wychodzi. Baron odprowadza go do przedpokoju i wraca.

Inny to człowiek, lekki, energiczny. Krokiem pewnym zbliża się do aparatu telefonicznego, tubę do ust przybliża i pyta:

— Pan baron młody w kantorze?

Przykłada do ucha tubę i słucha odpowiedzi, którą sobie każe dwa razy powtarzać, poczém rozkazuje.

— Pojedziesz dzisiejszym nocnym pociągiem do Zabuża...

Chce daléj coś mówić, ale drzwi, któremi dopiéro co wyszedł książe, otwierają się i staje w nich tenże napowrót.

— Jeszcze słówko! — mówi.

Baron podchodzi do niego, a książe prędko go objaśnia.

— W Zabużu pilnuje zamku ośmdziesięcioletni burgrabia, o którym zapomniałem był panu wspomnieć. Człowiek ten zdziecinniały, burgrabia Zabuski dziedziczny, bo pradziad jego tę samę pełnił funkcyą, dziwnie jest przywiązanym do rodu, zamku, do mnie! Boję się, aby.....

Książe urywa, chwilę milczy i myśli, wreszcie kończy.

— Najlepiéj dla biegu interesu będzie, jeśli syn pański przyjedzie tam w charakterze... kupca leśnego... czy... Mój plenipotent, któremu się tam bardzo dobrze dzieje, także niechętném okiem by patrzał na sprzedaż Zabuża. Syn pański niech stanie u niego... za godzinę nadeślę list polecający, aby go przyjęto. Napiszę i do burgrabiego. Inaczéj nie zechce zamku pokazać... dziwak! Bardzo pana o to proszę. Starowina by zmarł, gdyby niespodzianie na niego spadła wiadomość o chęci mojéj sprzedania Zabuża.

To powiedziawszy, książe żegna się ostatecznie i wychodzi.

Idąc, myśli. W oczach mu stają minione dziecięce lata, spędzone w komnatach zamku Zabuskiego. Przypomina sobie najdrobniejsze szczegóły urządzenia pokojów i widzi... tak, widzi portret hetmana, zakutego w zbroi, którego dzieckiem bał się zawsze, tak ten wyglądał straszny i surowy........

Myśli jego biegają w nieładzie z szybkością błyskawicy, przenoszą go na bulwary paryskie, gdzie stoi jego willa wymuskana i śliczna, a w niéj małe, pełne gustu, ogrzane kaloryferami salony i saloniki.... Jakże on Paryż lubi... swój klub, w którym mówią o polityce Orleanów i Burbonów... wielką operę... i skład dzieł sztuki Goupila, w którym niedawno kupił obrazek malutki... niby pędzla Teniersa za czterdzieści tysięcy franków. Jakże on nieznosi Polski... Zabuża!

Wyobraźnia przerzuca go napowrót w rodzinne miejsca.

I widzi się dzieckiem, obnoszoném po zamku przez burgrabiego. Ten mu pokazuje obrazy kolosalne, odtwarzające uroczystości rodzinne. Staje mu w oczach płótno, przedstawiające obchód weselny jakiéjś Radziwiłłównéj, wychodzącéj za wojewodę, na Zabużu pana.... Dziwnie piękna to postać w swéj białéj sukni, ze spuszczonemi oczami, z książką do modlitwy w ręku. A burgrabia mu szep-

cze na ucho, że do tego wojewody w złocistym kontuszu, to on podobny, jak dwie krople wody... — Burgrabia niesie go daléj na rękach, pokazuje mu obraz, wiszący nad łóżkiem jenerała, ojca jego i mówi, że kasztelan zapłacił za niego we Włoszech dziesięć tysięcy dukatów.

Książe przyśpiesza kroku, nie chce myśléć o tém, przerzuca się do Paryża, do buduaru panny *Denorne*, pierwszéj aktorki... ale burgrabia jak jakie widmo go prześladuje. Straszna scena odtwarza się jego zmysłom. Na łożu leży jego ojciec, konający od ran odnowionych... w zamku nikogo niéma... matka jego lada chwila ma nadjechać z Warszawy... żona za granicą. On sam ma lat sześć i stoi, nie rozumiejąc dramatu przy łożu... Burgrabia klęczy u nóg jego ojca i szlocha. Jenerał obejmuje rękami główkę dziecięcia i mówi, obracając się do burgrabiego. „Jego i zamek, co mam najdroższego, polecam tobie, wierny sługo"...

Książe biegnie, te wspomnienia go przerażają.

Ale przed nim ciągle, stoi jak zmora burgrabia, ostatni z burgrabiów Zabuża, jak on jest ostatnim z jego dziedziców.

Stoi, kiwa głową białą na cienkiéj szyi, na kolosalnym, zgarbionym kadłubie, potrząsa nią, brząka pękiem żelaznych kluczy, przypatruje mu się jakby dziecku, a w oczach jego stają łzy, łzy starości!

Książe bezprzytomny, opędzić się nie może marom.

II.

Księżyc, jak mocarz jaki, przechodzi po szarawym firmamencie, a gwiazdy miliardami migotają do koła niego.

Wiatr grudniowy, zimny szumi w górze i pędzi przed sobą białe chmurki, które wzajemnie się i bezustannie gonią po horyzoncie.

Jasno na świecie, jasno od światła z góry, jasno od śniegu, który spadł niedawno, bo dziwnie jeszcze biały i lśnisty.

Pokrył on grubym całunem ziemię, przypruszył stuletnie świérki i modrzewie Zabuskiego parku, pozginał ich potężne gałęzi i konary.

W tém zimowém otoczeniu, poważném swą białością, przepysznem swymi brylantowemi błyskami, jakże majestatycznie i czarodziejsko wyglądają szare mury zamku w Zabużu.

Jest to ogromna i połamana budowla, wzniesiona w guście średniowiecznym, dziwnie zebrana, ciężka i spokojna, a poetyczna urokiem wieków, które jéj nie tknęły.

Monumentalne szkarpy podtrzymują grube mury zamkowe, na których spoczywa wysoki, czerwoną dachówką kryty, dach.

Gmach ten piętrowy, o wysokich oknach, zdobią nietynkowane baszty i wieże i nadają mu jakąś rycerską cechę.

Styl tych ścian jest różny. Znać przybudówki.—Zdradzają się różne wysokości wewnętrznych komnat. Linie okien przerywają kolumnady, za któremi biegną sklepione i otwarte krużganki. A architekturę rozweselają występy szkarp i baszt, załamania murów i przystawek.

Całość jest smutną, lecz wspaniałą, pańską, polską!

Olbrzymie okna pierwszego piętra, ciemne, czarne, których szyby migotają do księżyca brylantowemi kryształami śniegu i lodu, zdradzają, że w komnatach zimno i pusto.

Na dachu widnieją czarne plamy.

Cóż by to było?

To wrony przysiadły, najeżyły piérze i spoczęły po całodziennéni krakaniu i szukaniu żeru po białych polach.

Czasem z baszty wyleci obudzony puhacz, i siądzie na najbliższéj lipie a obałamucony jasnością nocy rozgląda się trwożnie.

Sowa czasem zakrzyczy swym przeraźliwym pustkowi głosem i donosi mieszkańcom dachu, że pora ich panowania się zaczyna.

Okno w jednéj z okrągłych baszt zamkowych, mającéj nizkie kamienne odrzwia na dole, zabłysło światłem.

Tam ktoś żyje.

To światełko zdradza, że w tych smutnych murach dokoła których szumią i wyją wiatry, latają sowy i puhacze,—żyje duch jakiś.

To okno nie zaszło mrozem, i przeraża swém bladém tajemniczém światłem.

W tém oknie, w niém jedyném, zawsze, od niepamiętnych czasów, z nadchodzącą nocą błyska światełko, jak robaczek świętojański mdłe i małe.

Należy ono do sali, która zawsze była mieszkaniem burgrabiów Zabuża.

Ta sala jest dużą, wysoką, ze sklepieniem biegnącém kilkoma liniami do swego kulminacyjnego punktu. U niego, na żelaznym zardzewiałym haku wisi gruby łańcuch z latarnią, w któréj wiecznie dogorywa łojówka.

W sali téj przy ścianach stoją różne skromne i proste meble. Łóżko dębowe, nad niém wisi stara i wytarta makata. Na téj obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj z dwoma zatkniętemi palmowemi gałązkami. Poniżéj wisi pistolet jak świat stary, jak krucica duży.

Przy łóżku stoi drewniany, dębowy wysoki stołek, lśniący od użycia, ciemny od starości.

Na środku sali, stół przykryty starym tureckim dywanem. Obok niego dwa fotele, jeden poręczowy obity wytartym do szczętu gobelinem. Drugi pretensyonalny swemi formami, rzeźbiony, złocony, aksamitem czerwonym kryty, dziwne w téj sali robi wrażenie.

Komody i szafy zajmują dwie ściany.

Trzecią całą opanowuje komin, olbrzymi swoją szerokością i głębokością.

Na żelaznych podstawkach palą się w nim całe kłody starodrzewia i wesołym swym płomieniem oświecają komnatę.

Naprzeciw tego komina, na wysokiém krześle, siedzi wspaniałéj budowy mężczyzna.

Kościste i chude swe ręce trzyma na poręczach, około jednéj z nich okręcony wisi różaniec.

Nogi w wysokich butach wyciąga, jak długie, a sam wpatruje się w buchający na kominie ogień, który oświéca czerwonym blaskiem jego ośmdziesięcioletnią twarz.

Oblicze to, to typowe oblicze burgrabiego. Głowa kształtem swym podłużna, o wysokiém i wypukłém czole, pokryta jest rzadkim i delikatnym włosem białym.

Twarz rumiana, poorana głębokiemi bruzdami, wśród których krwią płyną grube wzdęte, żyły.

Skóra obwisła miejscami na wychudzoném jego obliczu.

Z pod dużego, orlego nosa, spadają na dół pożółkłe białe i długie wąsy.

A stare zapadnięte siwe oczy mają jakiś srogi wyraz od białych i sterczących brwi.

Ubranie jego stanowi żupan bezbarwny bo tak stary, zapięty na srebrne guzy, opasany przetartym na zgięciach litym pasem.

Wpatruje się w ogień. Siedząc nieruchomy, zasępiony czarnemi myślami, czy smutnemi wspomieniami, milczy.

Jego czerstwe, czerwone wargi drgają czasem. Jego grube żyły na twarzy nabiegają krwią i jak pulsem biją, oczy zachodzą łzą i jak opale błyszczą.

Wtém z kąta sali daje się słyszéć dziwny terkot jakby posuwanego o łańcuch, łańcucha, poczém zaraz szafkowy zegar uderza swą wiekową, lecz silną sprężyną sześć razy w dźwięczny choć rozbity dzwonek.

Starzec się zrywa z krzesła, poprawia ogień na kominie, zdejmuje ze ściany pęk kluczy zebranych na rzemieniu i przewiesza go przez rękę.

Krokiem ciężkim, lecz czerstwym, zbliża się do stołu, bierze srebrny lichtarz ze świecą, chcąc ją zapalić... lecz odkłada, szeptając sam do siebie.

— Na pokojach będzie jasno, jak w dzień... księżyc świeci...

Wychodzi, otwierając skrzypiące i ciężkie drzwi. Jak widmo jakie, posuwa się korytarzem, przebierając paciorkami różańca w rękach i szeptając modlitwy i wzdychając co parę sekund.

Kamienne posadzki oddają jego kroki, których odgłos odbija się o sklepienia, ginie i zamiera w przestrzeni.

Starzec otwiera podwoje znajdujące się na drugim końcu korytarza.

Wchodzi do ogromnéj sali, oświeconéj tajemniczém księżyca światłem, wpływającém do komnat szerokiemi z okien potokami.

Rzuca okiem przed siebie i mierzy nieskończoną enfiladę pokoi, których drzwi na oścież pootwierane.

Posadzka skrzypi pod każdym jego krokiem, pryska ustępując i powracając na swoje miejsce, a szelestu swego udziela sąsiednim taflom.

Starca nie straszą te tajemnicze odgłosy.

Przechadza się po sali.

Komnata jest długą, chodzi więc swobodnie dokoła ogromnego stołu, który znika wobec jéj rozmiarów.

Czasem przystaje, przerywa pacierze, nadstawia ucha. Zdaje mu się, że mysz gryzie w sali portretowéj płótno obrazów. To mu się widzi, że w komnacie kasztelanowéj, ten niszczyciel opustoszałych mieszkań drapie po adamaszkowéj, rozwieszonéj nad łożem kotarze.

Cisza! tylko wiatr uderza o szyby, tylko wyschła ze starości posadzka to tu, to tam ponuro trzaska, tylko biorący na noc mróz stuka dachówkami.

A każdy szelest, każde uderzenie, zdwaja się, troi w ciszy nocy i przestrzeni gmachu.

Starzec daléj chodzi, pacierze szepcze, głośniéj pobrzękuje kluczami...

W tém staje naprzeciw naturalnéj wielkości portretu, przypatruje mu się.

Księżyc, odsłonięty przez chmurę, rzuca strumień światła na niego i na obraz. Oświeca rycerza zakutego w zbroi, o wyrazistéj i strasznéj fizyognomii, z buławą w ręku, który zdaje się z ram wychodzić.

On mu się bacznie przygląda. Ta postać, choć namalowana tylko, zyskuje na plastyczności i wyrazistości przy tém elektryczném i migotającém oświetleniu.

— Hetman straszny...—pomrukuje starzec i cofa się o kilka kroków, bacznie śledzi tę wiekową twarz i dodaje:—coś nowego będzie w Zabużu... może pan przyjedzie... może pan chory... może...

Nie kończy, tylko ogląda się po sali i powraca wzrokiem do portretu. Spokój opuszcza jego rysy, wargi przestają drgać pacierzem, ręka z różańcem opada.

Burgrabia przechodzi do drugiéj komnaty, rzuca po niéj oczami, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Księżyc świeci jak w dzień, odbija się o złoto ram, srebro przedmiotów, połysk starego dębu i mahoniów, tajemniczemi cieniami posuwa się po lśniącéj posadzce.

Burgrabia idzie daléj. Mija pokoje większe i mniejsze. Jego wysoka i pochylona postać jak straszydło jakie, odbija się w lustrach tu i owdzie stojących, rzuca olbrzymie cienie na ściany pokryte makatami, obrazami i innemi dziełami sztuki.

Czasem, jakby sam przestraszony, staje jak wryty przed posągiem, nagle oblanym światłem księżyca, zaglądającego przez okno.

Czasem się ogląda za sobą, bo mu szum wichru i trzeszczenie posadzki robią wrażenie, jakby ktoś za nim, krok w krok, postępował.

Idzie daléj...

Zatrzymuje się w sali jadalnéj.

Tu stoi duży gdański zegar ze swym srebrnym cyferblatem, i tik... tak, poważnie uderza.

Burgrabia podchodzi do niego, uchyla drzwiczek—zgrzytają łańcuchy podnoszonych do góry wag, i znów cisza, przerywana tylko monotonném tik... tak...

— Mój ty biedny stary przyjacielu—przemawia burgrabia ze łzą w oku do zegara—od iluż lat już bijesz kwadranse i godziny i wycinasz kuranty dla tych nieboszczyków...

Ręką pociąga po ścianach sali, wyłożonych portretami, których twarze tylko, jak woskowe maski, widnieją na ciemnych tłach.

— Dawniéj...—mówi daléj starzec chropowatym głosem odwiecznych wspomnień—dawniéj nikt cię tu w téj sali nie słyszał. Nieraz napróżno waliła północ, aż dwanaście razy w hałasie wznoszonych toastów i wiwatów... Dziś panujesz... słychać cię wszędzie.. straszysz myszy... straszysz przyjaciela...

Burgrabia stoi chwilę, wyciąga dużą chustkę, ociera nią zwilżone oczy i powoli się oddala.

Przechodzi do drugiéj linii komnat równoległych tym, które obszedł. Mija ich kilka i zatrzymuje się w dużéj sali, lśniącéj od złota i purpury. Jego postać odbija się na wszystkie strony w lustrach. Starzec się widzi z przodu... z tyłu... z boku.

— Cóż wy u licha!—woła—będziecie wiecznie mnie tylko odbijać? Czyż was na to przywieziono z dalekich krajów?

Zamyśla się i daléj szepcze.

— Gdybyście chciały przypomniéć sobie inne, prócz mojéj, postaci... gdybyście przywołały waszéj marnéj pamięci... te sto par w polonezie... Jenerał prowadził oblubienicę i otwierał bal... podkręcając wąsa...

Burgrabia prostuje się, rękę przeciąga po białych wąsach i posuwa się lekkim krokiem poloneza, wyciągając dłoń, jakby w niéj prowadził damę...

— Za jenerałem... sto par!—mówi donośniejszym głosem—wyście to sprawiały, że wszyscy połapać się nie mogli i staremu burgrabiemu się zdało, że czterech w sali jenerałów...

— Cóż to był za bal! cóż to za splendor, cóż za przepych. Jenerał się żenił, a kasztelanowa przyjmowała synową... synową! bodajby nie była nią nigdy!

Wzdycha..... macha ręką i milknie, dodając cicho, bardzo cicho.

— Było to w dwudziestym i ósmym roku.

Nagle schyla się, pod kanapę wyciąga z pod niéj drucianą łapkę na myszy, z nią idzie do okna, przygląda się jéj, ustawia... i mruczy.

— Niema sobaki... a wczoraj gryzła.

Animusz, który dopiero co poruszał starca przy posuwistych krokach poloneza, opuszcza jego oblicze. Nastawia pułapkę i wsuwa ją pod fotel z czasów Ludwika XVI, mrucząc.

— Może tu się złapie...

Pośpiesznie, pobrzękując kluczami, zmierza ku drzwiom. Zatrzymuje się jeszcze przed ostatniém lustrem i przygląda się sam sobie.

Twarz jego okrywa się ironicznym i bolesnym uśmiechem.

— Jak straszydło jakie...—szepcze, macha ręką z kluczami, spluwa i wychodzi z sali zwierciadlanéj.

Mija pokoje, krok jego coraz wolniejszy, głowa opada na piersi, plecy jego się zaokrąglają. Jakieś myśli przybijają burgrabiego do ziemi.

Jest już w ostatnim pokoju, kończącym północną linią komnat. Skręci na prawo i znajdzie się napowrót w sali, w któréj go zastanowił na portrecie z XVI wieku wyraz twarzy hetmana. 15*

Już skręca... ale nie... zamyśla się i po chwili zadumy, zdejmuje pęk kluczy z ręki i zmierza ku aksamitnéj, srebrem haftowanéj portyerze.

Wśród kilkudziesięciu kluczy, wybiera jeden, uchyla draperyi, otwiéra drzwi i wchodzi do komnaty, oświeconéj jak i inne, blaskiem gwiazd i księżyca.

— Pokój świętéj...—szepta jakby bezwiednie—pokój kasztelanowéj... ostatniéj... ostatniéj prawdziwéj pani Zabuża!

W tym stłumionym głosie dziwna przebija boleść, straszny smutek.

Trzema oknami wdziera się żółte światło do téj sali i jakby lampą przyćmioną, oświeca przeciwległą ścianę. Na téj, wiszą trzy portrety naturalnéj wielkości, świeże niemal kolorytem i jaskrawością barw.

Portret środkowy przedstawia damę wystrojoną z czasów Stanisława Augusta, w gazach i upudrowanéj fryzurze. Obok niéj wisi jenerał z 31 roku z ręką na armacie. Po drugiéj stronie kobieta w stroju ażurowym pierwszego cesarstwa.

W téj komnacie główne miejsce zajmują: łoże zakryte draperyą i występujące na środek, klęcznik gotycki, szafa gdańska, która jak mozajka jaka lśni się powierzchniami swych wypukłych rzeźb i stylowych filunków.

Burgrabia opuszcza się na fotel, stojący na środku pokoju, zwrócony do portretów.

Z głową zwieszoną duma... duma długo... wreszcie myśli poruszają machinalnie wargami jego i językiem.

— Tu umarł jenerał... tu mi polecił syna i Zabuże... Zabuże jest, jak je opuścił. Syn? syn niemki! ha!... Ta kobieta... kasztelanowa...

Burgrabia wyciąga rękę ku portretowi upudrowanéj damy i daléj głośno myśli.

— Była ostatnią... Na ténże łożu umarła w trzydziestym czwartym, pietnastego stycznia... Czułem wtedy, że skończone z Zabużem. Jenerałowa niemka! czekała tylko śmierci świekry... świętéj... zabrała syna... zabrała srebra... złoto i wyjechała do Paryża... Jak wyjechała, tak i nigdy nie wróciła... a z syna zrobiła... francuza czy niemca. Gdyby ta święta widziała te pustki, ona co na dzień przed śmiercią jeszcze obiegała zamek... tu naprawić... tu odzłocić... tu ustroić... tu przemienić, aby było pięknie dla wnuka!... wnuka! A wnuk ani zajrzy do Zabuża...

Burgrabia milknie i głowę chowa między obie ręce. Wzdycha tylko i szepce niewyraźne słowa... ale coraz głośniéj, coraz silniéj i z coraz głębszą nutą rozpaczy...

— Był tu trzy razy po kilka dni... po pieniądze!.. Za każdym razem coś ukradł z zamku. Ha! niemieckie plemię! nic nie pomogła krew wojewodów i kasztelanów... Kazał mi wynieść na strych portret hetmana ze sali jadalnéj... bo go straszył... ha-ha-ha...

Burgrabia się śmieje swym ostrym, jakby posiekanym głosem i daléj ciągnie.

— Ha-ha-ha... posłałem mu tu na tém łożu, nie chciał... spał w chińskim gabinecie na górze... ha-ha-ha...

Starzec się nagle zrywa i staje przed portetem naturalnéj wielkości, wiszącym na ścianie naprzeciw łoża, a przedstawiającym zakonnicę w czerni i białym kapturze.

— Siostra... kasztelanowéj...—mruczy,—święta... ciotka jenerała... stręczyła to niemieckie panię... Kazał mi ją uprzątnąć; ale ja!.. ja odparłem: „Książe panie po trupie burgrabiego Grzegorza“... ha! spał w chińskich pokojach!

Starzec nadstawia ucha. W odległéj sali jadalnéj zegar uderza siedem razy. Pośpiesznym krokiem wychodzi z téj komnaty, zamyka ją szybko i powraca do sali, w któréj zaczął pacierze.

Zegar zaraz po wybiciu siódméj wycina kuranta. Cudowna melodya wśród ciszy się rozlega po komnatach.

Serce burgrabiego bije jak młotem... chodzi po sali... przebiera paciorkami i kończy modlitwy.

Zegar gra daléj.. coraz głośniéj... coraz weseléj... zda się orkiestra cała wali w zamku, tak echo odpowiada, obija się o lustra i posadzki, rozlega się aryami w komnatach.

Burgrabia staje i słucha. Uśmiech krasi jego oblicze... żyły tętnią na pomarszczonéj i rumianéj twarzy.

W tém... ostatnia głośna arya... zegar grać przestaje... chwilę gra jeszcze echo... i cisza!

Cisza nocy zamkowéj i pustki.

Burgrabia wychodzi tym samym korytarzem, którym wszedł. Kroki jego odbija sklepienie. Czasem przystaje, bo mu się zdało, że zegar gra jeszcze... Ale nie... cisza!

Przyśpiesza kroku i powraca do siebie, gdzie ostatnia na kominie dogorywa kłoda.

III.

Już siódma godzina wybiła oddawna na zegarze burgrabiego.

To téż siedzi on przy kominie, ze spokojném sumieniem i pogodném obliczem, bo obszedł pokoje jak zwykle, przypatrzył się hetmanowi i nastawił pułapki na myszy.

Siedzi i duma. Cybuch wyciągnął przed siebie, nogi grzeje przy ogniu i słucha, jak wicher szumi w parku Zabuskim, jak uderza o szyby, jak wyje w narożniku przy lewéj baszcie, jak kołacze dachówkami po dachu.

Nadstawia ucha, bo mu się zdaje, że na kamiennych schodach, prowadzących do jego wieżycy, słyszy kroki.

Tak! kroki... poznaje je i szepcze:

— Ot i idzie rządca...

Drzwi się otwierają. Wchodzi młody mężczyzna w wysokich butach, silnéj budowy, czerstwy i rumiany na twarzy, sympatycznych rysów polskich.

— Przychodzę — woła ode drzwi — na gadu - gadu, niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiada burgrabia i powstaje na przywitanie gościa.

Przysuwa mu złocone krzesło do komina z wysileniem, bo stare ręce się trzęsą.

Młodzieniec tymczasem stawia na stole butelkę piwa, którą przyniósł w kieszeni. Z drugiéj wydobywa dziesięć jaj i to wszystko kładzie na stole pod latarnią.

— Dziewczyna przyniesie kolacyą — mówi — ja zabrałem po drodze z folwarku piwo i jaja.

— Bardzo dziękuję... bardzo — odpowiada starzec, a oczy mu się śmieją do jaj jeszcze obracających się na stole—usmarzymy sobie jajecznicę na kominie.

— I będzie opowiadanie! — kończy młodzieniec.

— Cóż panie rządco, słychać na folwarku?—sanna się ściele... na zające biéda!

— Ej jeszcze nie, śnieg przyprószył tylko na jakie pół stopy— odpowiada rządca, jak go tytułuje burgrabia. — Administrator wyjechał do miasta, zostałem sam, pokończywszy téż rachunki, przychodzę do pana Grzegorza...

— Niech Bóg wynagrodzi — przerywa starzec — te wieczory straszliwie długie... Gdyby nie pan, toby człowiek zapomniał języka w gębie... A co?.. nie było wiadomości od dziedzica, księcia pana?

— Nie, ale mówił Srul z Maruszewa, że książe bawi w Warszawie i myśli o jakiéjś sprzedaży.

— Ha! ciekawym coby jeszcze... Lasy wytrzebione...

— Ej!— przerywa rządca — jeszcze jest w kniei mówią kupcy, sporo grosza.

— Gdyby to widział jenerał! kasztelanowa! — wzdycha w odpowiedzi starzec, chodząc po pokoju z cybuchem w jednéj ręce, a założywszy drugą za wytarty pas.

Siadają obaj przy ogniu. Burgrabia zamyślony, błędném okiem wpatruje się w komin, gdzie płomień wesoło bucha. Rządca zaś wlepia swój wzrok w twarz starca i wygląda, jakby niecierpliwie czekał, aż ten otworzy usta i zacznie. On przyszedł na opowiadanie o dawnych dziejach, o zamku Zabuskim, o tém, co burgrabia sam widział, i o tém, co słyszał od ojca, dziada, pradziada!

Burgrabia milczy, tylko wzdyma policzki, pociąga dym z długiego cybucha i wypuszcza go z zadowoleniem. Miło mu, że ktoś przy nim siedzi, oddycha, żyje. Nie przeraża go tak tajemniczy głos puhacza, ani téż nie odrywa jego wyobraźni od świata wspomnień podejrzane wycie wichru w kominach i krużgankach zamku.

Młodzieniec się niecierpliwi.

— No! panie Grzegorzu! — mówi — opowiedzcie co przed kolacyą jeszcze.

— I co? co? o czém?

— O czémkolwiek! Ot! obiecaliście mi raz opowiedzieć historyą tego krzesła, na którém siedzę.

— Tego krzesła! ha! prawda, obiecałem! ale kiedy mi dziś język drętwieje. Bo widzicie, panie rządco, coś czuję... przeczuwam... Nie, nie mam animuszu.

Burgrabia się zamyśla, nie wyjmując cybucha z ust, a oczy wytrzeszczając na ogień, dodaje:

— Wczoraj i... dzisiaj hetman wygląda zły.

Rządca się nieznacznie uśmiécha i przypatruje twarzy starca, która zdradza frasunek i głęboką wiarę w wieszczy portret.

Burgrabia daléj mówi:

— Wczoraj, jak zégar wyciął kuranta... przyjdź pan kiedy o siódméj... to tak jak nigdy. Coś będzie!... jakieś licho! A dziś zatrzymałem się w pokoju wojewody... wszystko tam od 1584 nietknięte... i łoże malowane i portret wojewodziny... Wojewoda wykończył zamek i nadał mu dzisiejszy splendor. Otóż co się stało. tylko nie powtarzaj pan tego nikomu, po co ludzi straszyć.

Młodzieniec wyglada zainteresowany, otwiéra usta i pyta:

— Co?

— Portret wojewody runął—rdza zjadła hak, hak gruby! Portretowi nic, ale o jakie licho nietrudno. Raz pamiętam, temu sporo lat, portret się cały pomarszczył, jak mokry ręcznik. Mówię świętéj... kasztelanowéj, a pani w śmiéch: „Co ci się zdaje, Grzegorzu, wilgoć! każ przepalić na kominie!“

Burgrabia urywa i milknie, wreszcie kończy:

— Krótko potém... zajeżdża w nocy bryka... kto? co? jenerał ranny przyjechał prosto z pola bitwy i... umarł. Już ja jestem do-

świadczony, jak tylko coś wojewoda wskazuje, to coś będzie, a zawsze jakieś licho. Wtedy to i kasztelanowa uwierzyła, a pan starosta, to ślepo w wojewodę wierzył.

Starzec mówi to wszystko z takiém przekonaniem w głosie, taką boleścią w twarzy, że chmurzy się i oblicze jego towarzysza, którego młodą wyobraźnię porywają tajemnicze zagadki.

— Czyż być może? — szepcze.

— Tak *jest!*—wzdycha starzec — nie: być może—i zamyśla się, jak gdyby zbierał wszystkie siły swéj osiemdziesięcioletniéj głowy, aby odgadnąć to licho, które mu zwiastują i hetman i zégar i nieomylny wojewoda.

— Ja ich znam — dodaje — pan może myślisz, że to portrety... to ludzie... oni żyją! pilnują! czuwają! Co im się ma podobać? co? że w zamku pustki? że administrator kradnie? że burgrabiego wnetki dyabli wezmą!

Dwie łzy stają mu w oczach. Starzec sili się i wzdyma policzki, aby ich nie dać poznać towarzyszowi. Ale łzy, znać silne, dwie, dwie spływają, zatrzymując się na głębokich bruzdach jego twarzy.

— Byleby się w zamku nic nie stało... byleby nie umarł synek księcia, może będzie z niego Zabuski pan... o resztę mi nie chodzi!

Ręką macha i spluwa.

Widzi to rządca i chce go wyrwać z błędnego koła myśli, wywołanych drobnemi wypadkami w komnatach zamkowych, czy téż przywidzeniami.

— Ależ kochany panie burgrabio — mówi — zamiast zastanawiać się nad tém i trapić... ot lepiéj opowiédzcie o fotelu.

— Niech będzie! — pomrukiwa starzec, odkładając cybuch w kąt utworzony występem komina ze ściany, a opierając obie ręce o poręcz krzesła—niech będzie, o fotelu... Fotel, czy co innego, to wszystko jedno... każda rzecz tutaj ma swoję historyą....

Wtém jakieś echo zdaleka, wśród szumu wiatru, dochodzi ich obu i obija się o sklepienie sali.

Obaj słuchają....

— Jakby poczta! — wykrzykuje rządca.

— Trąbka... trąbka pocztyliońska! — woła starzec.

Jeszcze chwilę słuchają, poczém burgrabia poprawia się na siedzeniu i mówi:

— Ciekawym, gdzieby to gnał kto o tym czasie ekstrapocztą... może pan?

— Ej! opowiadalibyście panie Grzegorzu! jedzie ktoś i kwita!

— Słuchajże więc waćpan, bo tego, prócz mnie, nikt waćpanowi nie opowie....

Jeszcze się namyśla i zaczyna:

— W roku 1787 król Stanisław August wyjeżdżał do Kaniowa. Przyszła sztafeta z Warszawy do starego pana wojewody, że najjaśniejszy pan przenocuje i dobę zabawi w Zabużu. Zapanował ruch jak w piekle, po całych nocach gotowano i strojono pokoje, rozpisywano listy, rozsełano sztafety, sprowadzano kucharzy i przysmaki. Pan wojewodzic pognał do Warszawy po śliwki, bo król musiał mieć śliwkę węgierkę na deser i po fotel, na którym by król mógł siedzieć, przyjmując dygnitarzy i obywateli. Ja byłem wtedy pacholęciem, a mój ojciec burgrabią. Biegałem, trzymając się poły jego kontuszu i przypatrywałem się wszystkiemu. Zjechało się do stu panów i pań, bo król jegomość lubiał urodziwe damy. A w zamku bawiła wtedy wojewodzicowa, później święta kasztelanowa, a była piękna, jak waćpan widziałeś na portrecie. Król ze świtą przybył nazajutrz rano, zasiadł na tym oto fotelu i przyjmował panów i panie w błękitnéj sali, która od tego czasu nietknięta.

— Dlaczegoż fotel z niéj wyrzucono? — przerywa rządca.

— Słuchaj waćpan, a dowiesz się! — mówi burgrabia, odchrząka, zażywa tabaki, kicha dwa razy i daléj ciągnie:

— Potém obiad, bal, iluminacye, wiwaty i hece. Zamek się trząsł, tak na basztach i wałach waliły moździerze, a komnaty pomieścić nie mogły tłumu gości i wesołości. Świętéj pamięci ojciec mój zdrowiem przypłacił dzień ten, bo to trzeba było się nalatać i napocić, a ubranym był w lity kontusz i żupan, jak hetman jaki. Bo to była figura panie! Zabuski burgrabia jmci pana wojewody!.. Król wyjechał, zostawiając dla wszystkich podarki, ordery, krzyże, tabakiery, klucze..... Wojewodzie dał swój portret, co wisi w błękitnéj sali, a wojewodzica zrobił kasztelanem! Ojciec dostał złotą tabakierę, coś ją waćpan u mnie widział, a król mu powiedział kompliment: „winszuję wojewodzie takiego burgrabiego, niech się w kąt schowa mój Ryx, choć starosta.“ Najjaśniejszy pan ojca uraził, bo co to było porównywać burgrabiego z Zabuża z jakimś nowomodnym kamerdynerem.....?

Starzec się sierdzi na wspomnienie obrazy swego ojca, doznanéj od króla, i daléj ciągnie uderzając rękami o poręcze krzesła:

— W błękitnéj sali nic nie ruszono. Złoty fotel, bo tak go nazywano, stał na środku i stał tak aż... aż do roku 1794. Wtedy panem był już kasztelan, a ja burgrabią, choć bardzo młodym. Ojcowie nasi umarli. Kasztelan raz dostał listy i gazety z Warszawy, woła mnie i tak rzecze: „Grzegorzu! złoty fotel mi wynieś na strych!

król się zbłaźnił.“ Kasztelan wyglądał zły, jak nigdy. Poszedłem i wypełniłem rozkaz pana.

— A dlaczego? — przerywa rządca, ale burgrabia mu nie daje, mówiąc z rozdrażnieniem:

— Waćpan nie znasz historyi! u licha! Fotel poszedł na strych, a na drugi dzień poszedł do składu i portret miłościwego króla, co zamiast hełmu, nosił perukę, a zamiast zbroi, jak tam nazywano, koronkowy żabot! Na strychu... myszy go jadły... aż do... roku 1809. Wtedy pułkownik, późniejszy jenerał, wrócił z kampanii i cuda opowiadał ojcu o księciu Józefie Poniatowskim, synowcu króla. Zawołał mnie kasztelan i tak raz rzecze: „Król był baba, ale słyszysz teraz o księciu Józefie... ha! Poniatowski!... dobra krew, może zmaże plamy swoje. Znieś ze składu portret i fotel i ustaw na swojém miejscu.“ Wypełniłem zaraz rozkaz pana, a cieszyła się kasztelanowa, bo lubiała króla i nosiła go na tabakierce. — Odtąd fotel stał w błękitnéj sali, aż do śmierci kasztelanowéj. Po niéj nastały w zamku niemieckie rządy... choć krótkie, ale straszne! Błękitną salę przerobiła jenerałowa, pfu... na jakieś oranżerye, co widziała w Wiedniu.

Burgrabia daléj nie mówi, tylko nakłada fajkę, zapala ją i pociąga raz poraz z cybucha.

Zaciekawiony rządca domaga się reszty historyi.

Starzec, jakby obudzony jego pytaniem, kończy, urywając i chrząkając, bo lata jego nie pozwalają mu już długo mówić.

— Fotel był już podniszczony, kazała z niego zrobić... domyśl się waćpan co, a to dlatego, że książe Józef bił Austryaków! Wyjechała niemkini, a ja... oporządziłem fotelisko i tu sprowadziłem... Ha! jak tam było, to było.... król, ostatni król na niém siedział i gadał z ostatnim Zabuskim wojewodą... to relikwie panie!... pfu niemkini!

Obaj tak są zajęci przedmiotem, burgrabia tém wszystkiém, co się do jego głowy tłoczy, rządca tém wszystkiém, co mu opowiadanie starca odtwarza, iż nie słyszą, jak ktoś po schodach biegnie.

Drzwi się otwierają, wpada niemi wyrostek, w którym ze zdziwieniem rządca poznaje parobczaka z folwarku.

Przestraszony, ażali się co nie stało, pyta:

— Jędrek! a co to? co?

Zadyszany chłopak, bo biegł do zamku co tchu starczyło, odpowiada:

— Duchem! panie rządco! przyjechał jakiś młody panicz! kiejby niemiec, czy wychrzta z listami od dziedzica... a administratora nie ma.

— Niemiec?—woła burgrabia,—pfu...

— Abo ja wiem—odpowiada chłop skrobiąc się w głowę—tak jakosikś nie po polsku mu ze ślépiów patrzy!

IV.

Burgrabia leży na łożu. Twarz jego nadzwyczaj chuda, rysy ściągnięte, ręce żylaste i kościste przerażają woskowym kolorem skóry.

Na stoliku przy łożu pali się świéca.

Światło wiszącéj latarni rozprasza ciemności w sklepionéj i szarawéj sali.

Starzec wygląda bardziéj zgnębiony moralnie niż fizycznie. Zapadłe jego oczy, zaledwie widoczne z pod wysuniętych brwi i zmarszczonego czoła, błyszczą łzą rozpaczy.

Podnosi się na łożu górną połową kadłuba i tak przemawia do siedzącego u jego nóg młodego rządcy.

— Waćpan więc sądzisz, że to nie był kupiec na Zabuże?

— Tak sądzę — odpowiada zapytany, przypatrując się ze współczuciem zmienionéj twarzy starca,—tak sądzę, bo przecież już minęło trzy tygodnie, jak ten nieznajomy wyjechał, i ucichło jakoś w miasteczku...

— Jak on mnie złapał—podchwytuje burgrabia, kiwając smutnie głową—jak on mnie złapał! Zagadał się, że lubi obrazy, rzeczy stare, różne antyki, a to on poprostu chciał obejrzéć zamek... kupiec! kupiec na las! To nas wyprowadził w pole... Ja bym mu był pokazywał zamek. A jak to dokładnie oglądało, jak to do każdéj dziury zaziérało przebrzydłe niemczysko... baron? Waćpan mówisz?

— Tak mówił Srul z Maruszewa.

— Baron... baron...—szepcze starzec i kiwa głową—miałby się rozpiérać w krzesłach, w których siedział wojewoda... kasztelan... jenerał... tylu?.. książęta!.. Baron i bankier—mówisz waćpan?

— Tak mówią żydki.

— Wielki Boże!—wzdycha tylko burgrabia i wznosi oczy do nieba i składa ręce jakby do modlitwy, i powtarza — niedoczekanie jego!

Długie panuje milczenie, przerywane tylko regularnym ruchem zégara i ciężkim chrapliwym oddechem chorego.

Nagle poprawia się na ławie, wyjmuje z pod poduszki kluczyk i wręczając go towarzyszowi—mówi.

— Pod łóżkiem mojém jest okuta skrzynka, wydobądź ją waćpan, otwórz i daj tutaj... na kolana.

Jakiś stanowczy wyraz zaciska usta burgrabiego, pulsa nerwowo drgają, oczy biegają niespokojnie po pokoju i śledzą każdy ruch rządcy, który wolę jego wykonywa.

— Ha! co robić!—szepcze—Bóg nie chce, abym tak, jak ojcowie i dziady, zamknął powieki; co pańskie, niech idzie do pana!

Tymczasem młodzieniec dźwiga skrzynkę, snać ciężką, bo mu twarz krwią nabiega, i kładzie na łożu burgrabiego.

Ten otwiéra jéj wieko i zaziéra w głąb tejże. Uśmiéch krasi jego oblicze.... drżącą reką czegoś w niéj szuka, coś maca... wzdycha i głową potrząsa.

Z pod poduszki wydobywa okulary w złoto oprawne, dziwnie duże i delikatne, wsadza je na swój orli nos i obracając się do rządcy tak mówi.

— To moje skarby! po ojcach! po dziadach! Siadaj waćpan i słuchaj. Nim się z niemi na zawsze pożegnam, opowiém mosanie ich dzieje, a ciekawe to dzieje... Człowiek ma lat osiemdziesiąt i... i z czémś. Dzieci Bóg nie dał. Od panów przyszło, do panów niech wróci.

To mówiąc, wyjmuje ze skrzynki woreczek irchowy, z tego wyciąga złoty, płaski, zegarek z weneckim łańcuszkiem.

Uśmiécha się do niego, ogląda na wszystkie strony i wręcza towarzyszowi, ale jakby z trwogą w oczach, aby tenże go nie uszkodził, czy nie upuścił.

Odbiera go nazad, nakręca... nastawia...

Zegarek grać zaczyna, oni słuchają,—zegar gra jedną z ulubionych ówczesnych melodyi.

Burgrabiego twarz pokrywa się łzami, które jak grochy zatrzymują się na bruzdach jego oblicza, na siwych wąsach. Płacze, ale się śmieje, śmieje jak dziecko... ta muzyka dźwięczna... porywa go i rozrzewnia.

Zegarek dzwoni... nuci... bębni... gra, a burgrabia głosem jędrnym opowiada.

— W r. 1809 mówi mi raz jenerał, trzymając pismo w ręce, które sztafeta przywiozła z Warszawy. Mówi z radością, jak dziecko. „Grzegorzu słuchaj! książe Józef zjeżdża do nas na kilkanaście dni. Otóż wiédz-że, mój dobry Grzegorzu, że książe budzi się o dziesiątéj i w téj chwili musi miéć kawę, książe żołnierz! ani ci się o sekundę później nie obudzi, ani ci się o sekundę z kawą spóźnić nie wolno. O jedenastéj fryzyer! tak samo co do minuty.“ Pan rozkazał tak i tak było. Książe zjechał. Cóż to był za mężczyzna! a co za żołnierz! a co za człowiek!.. Dziesiąta biła na kurantowym zegarze, a ja wchodziłem, panie, do księcia i wołałem: „kawa! książe panie!“

Wódz już się dźwigał na łożu, a kozak wnosił za mną tacę. O jedenastéj, kurant bił dopiero szósty raz, a ja otwiérałem drzwi i wołałem: „fryzyer, mości książe!“ Wielki marszałek Francyi, jak go tam późniéj przechrzczono, tylko się na mnie patrzał i dziwił. A raz, to tak przy stole zagadał do jenerała. „Słuchaj Feliksie! gdybym miał w 94 roku takich dziesięciu jenerałów jak twój burgrabia, to by Polska była!“

Gdy książe opuszczał Zabuże, tośmy płakali, jak bobry! Wtedy, gdym ostatni raz mu zameldował: „kawa! książe panie!“ książe chwycił za zegarek i tak rzekł: „oto najlepszy zegarek, jaki miałem, tobie się on należy, jako najlepszemu burgrabiemu, jakich znałem. A gdy ci zagra marsz.....“

Burgrabia, urywa... nuci marsza, wciąż przez zegarek granego, i kończy słowa Poniatowskiego:

— „To pomyśl o mnie!“

— Biedny książe! zginął jak wojownik!—dodaje od siebie.

Głęboko wzdycha i ociera czerwoną chustą dwie łzy, które z tych zapadłych oczu się cisną.

W piersi mu gra, bo się zmęczył opowiadaniem, a na twarzy wszystkie żyły krwią nabiegają i pulsują, jak u młodzika.

A zegarek gra...

Słuchają oba dziwnie cichéj a dźwięcznéj, wyrazistéj i melodyjnéj muzyki.

Łzy burgrabiego zatrzymują się na policzkach skurczonych od błogiego i bolesnego uśmiechu, który mu wykrzywia usta i najeża wąsy.

Słucha i... milczy.

Zegarek dawno ostatnim dźwiękiem rozszedł się echem wśród grobowéj ciszy w komnacie, a oni zdają się jeszcze tego echa słuchać.

Długa następuje cisza.

Stary zdaje się bujać wyobraźnią po minionéj i uroczéj dlań przeszłości, młody wpatruje się w twarz jego i za pomocą tych przykrywających ją zmarszczków, chce odgadnąć, odtworzyć sobie te obrazy, które burgrabiemu w zamglonych oczach migotają.

Wreszcie starzec otrząsa się, chowa zegarek i sięga ręką do szkatułki.

Wyjmuje z niéj sygnet z dużym kamieniem i mówi—głosem jędrnym i ożywionym.

— Raz w zamku były pustki—zostałem ja sam jeden—wojna mospanie! pułkownik w kurzawie armat, kasztelanowa uciekła do Warszawy, starosta zamknął się w klasztorze Ojców Kapucynów.

Zima, jakiéj nie pamiętałem, pokryła białą chustą ziemię, pościnała wody i dziwne figle i straszne obrazy co rano rysowała na lodowatych szybach zamku. Byłem sam! Wiatr szumiał i jęczał po salach, kołatał po dachu, świstał w kominach.

Burgrabia urywa i odpoczywa, jakby zbiérał myśli i wspomnienia, jakby wolał wyobraźnią, niż słowami po przeszłości bujać.

Ale oczy jego towarzysza pałają i domagają się dalszego ciągu opowieści.

Starzec odgaduje to życzenie jedynego starych dni jego przyjaciela i podnosząc głowę, daléj ciągnie.

— Pewnego wieczora, chodząc po portretowéj sali, odmawiałem pacierze, gdy mi się zdało, że dzwonki zajęczały w bramie. Pobiegłem do okna... patrzę... kibitka zaprzęgnięta po rusku jednym karym koniem w hołobli, a drugi biały stał przyprzęgnięty obok niego... Dwóch mężczyzn, owiniętych w płaszczach, siedziało w saniach. Piorunem, bo człowiek wtedy był rzeźki i młody, zleciałem na dół. Byli to wojskowi wyżsi i żądali noclegu. Zbiedzeni, jak nie boskie stworzenia, zmarznięci, zmęczeni, przemorzeni... aż litość brała!

— Któż to byli?—przerywa zaciekawiony słuchacz, ale starzec gestem ręki go wstrzymuje, mówiąc.

— Zaczekaj waćpan! Wprowadziłem ich do sali, bo zaraz spostrzegłem, że to wysokie, panie, figury, choć płaszczów nie zrzucili. Roznieciłem ogień na kominie i przyniosłem światło... Niższy z nieznajomych rzucił płaszcz i stanął przedemną... Wielki Boże!.. cesarz Napoleon! Padłem na kolana i długo podnieść się nie mogłem...

Po znacznėm milczeniu, burgrabia kończy.

— Wielki Boże! toż to było widzieć tego mocarza... całą noc chodził po sali, jak duch jaki i myślał. Co on myślał? Bóg jeden raczy wiedzieć... Świtem wyjechali na Warszawę. On to, cesarz Napoleon! dał mi ten pierścień...

Znów łzy błyszczą w oczach starca, pośpiesznie chowa powyjmowane przedmioty do skrzynki i odmiennym zupełnie głosem mówi.

— Pan nasz, Zabuża dziedzic, w potrzebie, skoro o sprzedaży mowa. W téj skrzyni mieści się na dnie tysiąc i siedem dukatów, które od setnych lat się zbierają. Ojciec zostawiał synowi, syn przysparzał i tak szło daléj. Są tam i talary i... precyoza. Pan Bóg dzieci nie dał... to pańskie... niech wróci do panów!

Zamyśla się, zamykając skrzyni wieko, i po chwili daléj ciągnie.

— Weźmiesz waćpan jutro tę skrzynię i odstawisz księciu... do Warszawy... może mu się przyda złoto... ha!... co to dla niego?

Starzec urywa, bo mu gorzki śmiech ciśnie się do gardła i konwulsyjnie wykrzywia usta. Towarzysz jego chce coś mówić. Wyraz twarzy jego zdradza niezadowolenie, ale burgrabia ręką macha i kończy stłumionym głosem :

— Moje dni już policzone... to pańskie, niech wraca do panów!.. to pamiątka po czterech burgrabiach Zabuża...

Opuszcza głowę na puduszki, a oblicze jego wygląda tak zmęczone, iż towarzysz nie śmié otworzyć ust, które drgają pytaniem, czy uwagą.

— Weź waćpan tę skrzynię... ciężka — szepce starzec i przymyka oczy, jakby zasypiał.

Równocześnie prawie uchylają się drzwi i wchodzi niemi wiejska dziewczyna, niosąc na tacy kolacyą burgrabiego.

Składa ją na stole: dwa talerze, garnek, łyżkę, nóż, widelec, szklankę... A układając, mówi z pewném jakby zadowoleniem :

— Przyjechali na folwark nowi dziedzice... ten młody panicz, co był... i jakisikś stary jegomość, z dwoma kiejby brodami, siwiutki, a ślépia ma bystre, jak u kota... stanęli u administratora... pewnie do zamku się przeniosą.

Dziewczyna mówi, a młodzieniec osowiały jéj słucha i z trwogą patrzy na bladą twarz starca.

Ten otwiera błędne, przerażone oczy, słowa nie mówi, lecz oblicze jego pokrywa się tak strasznym niewidzianym u niego wyrazem, iż rządca domyśla się, że wszystko słyszał.

A dziewczyna jeszcze dodaje.

— Będzie w Zabużu weseléj!... będą dziedzice!

V.

W domu administratora Zabuża, w jednéj z izb siedzi czterech mężczyzn wokoło stołu, nakrytego wyszarzaném zielonéni suknem.

Na stole leżą mapy, plany, księgi gospodarskie i rachunkowe.

Wisząca lampa oświéca ten stół, pogrążając resztę pokoju w ciemności.

Cztery twarze nachylają się tylko nad papierami, a każda z nich nosi ślady zmęczenia po wytężającéj pracy umysłowéj.

Baron co chwila przerywa milczenie, pytając administratora o to, lub o owo, a ten się poci i kręci na krześle.

Baron jest jak zwykle spokojny, a na twarzy jego maluje się uczucie wewnętrznego zadowolenia.

Naprzeciw niego siedzi administrator, wysoki mężczyzna, starannie ubrany i uczesany, o dziwnie niesympatyczném obliczu.

Odpowiada z pokorą, ale w oczach jego, które rzadko kiedy się podnoszą, przebija się jakiś podejrzany i niezadowolony wyraz.

Dwa drugie boki stołu zajmują syn barona, dla którego Zabuże kupiono i rządca, przyjaciel burgrabiego.

Wszyscy piszą coś, notują, wyciągi robią z ksiąg i rejestrów, przerzucają papiery, a usta ich drgające zdradzają natężoną rachunkową pracę.

Baron odkłada ołówek, opiéra się o poręcz krzesła, przeciąga ręką po znużonych licach, ziéwa przeciągle i głośno wzdycha,— znów ziéwa i mówi spokojnie i od niechcenia.

— Rachunki są tak źle prowadzone, kontrole tak zaniedbane, iż niczego dojść nie można.

— Książe — przerywa administrator rozdrażnionym tonem — nie wchodził w drobiazgi.

Baron się uśmiécha ironicznie i odpowiada:

— Widzę! widzę! toż nie wiecie, ile macie włók lasu, a ile ornéj gleby, toż nie wiecie, ile wiosennego ma być wysiewu, toż nie umie mi pan wykazać, ile na folwarkach wysiano oziminy, toż....

Administrator się niecierpliwi, gorączkowo przerzuca papiery przed nim leżące i urywkowo odpiera.

— Rządcy i ekonomowie pana barona objaśnią. Trzeba zwołać jeneralne posiedzenie administracyjne, to tak zwykle się odbywało....

— Pięknie się odbywało — wtrąca tonem rykliwym młody baron, również odkładając pióro—piękne posiedzenia, których rezultatem, że administracya z Zabuża księciu nie dawała szeląga... haha!

I stary baron się śmieje, spoglądając na czerwieniejącego administratora i bawiąc się widocznie jego zakłopotaniem i mówi do syna:

— Złapaliśmy się mój Johanie. Za stary zamek i stare bohomazy książąt Zabuskich sześć kroć sto tysięcy rubli, to coś za wiele....

— Ależ panowie! — przerywa oburzony administrator— to nie za wiele, to za darmo.

Obaj baronowie wybuchają śmiéchem, a stary odzywa się pierwszy:

— Tak... *so... so... mein Johann* — sześć kroć za stare mury i stare graty... i za starego burgrabiego... którego jeszcze w dodatku nie widziałem.

— I być może, że go pan baron nie zobaczysz—przerywa, odzywając się po raz pierwszy rządca — burgrabia ma się bardzo źle... nie przeżyje...

— Czego?

— Sprzedaży Zabuża!

— Ha-ha — śmieje się stary baron — dziwne nabożeństwo!... ha-ha....

Następuje milczenie. Syk śmiechu barona robi niemiłe wrażenie. Ciągnie on daléj po chwili:

— Tém lepiéj... tém lepiéj dla niego i dla nas... pozbędziemy się tanim kosztem staréj gwardyi. Jeśli i on w takim porządku utrzymywał zamek, jak.... Urywa, chwyta za plikę papierów ze stołu i lekko nazad rzucając, kończy: — to zastaniemy tam chyba tylko szczątki płócien zjedzonych przez wilgoć i mebli pogryzionych przez szczury i myszy....

Obraca się do młodego rządcy i pyta:

— Mówisz pan, że starego... dni policzone?

— Godziny! — odpowiada z pewnym smutkiem młody człowiek, nie podnosząc oczu z nad papieru.

Nastaje głuche milczenie... słychać tylko zgrzyt piór po papierze... i od czasu do czasu wzdychanie zmęczonego barona.

Wtém wszyscy równocześnie nadstawiają uszów.

Jakieś dziwne hałasy dochodzą ich zdala, jakby krzyki rozpaczy... przerażenia!

Głosy coraz wyraźniejsze, głosy ludzkie się wzmagają, dochodzą coraz głośniejsze, dwoją się, troją... rosną do kwadratu i tak daléj, z sekundy na sekundę.

Jakiś szum panuje w powietrzu, jakby wicher. Ale nie, bo odległe hałasy prują powietrze, jakby w uroczystéj ciszy.

Przerażenie odbija się najprzód na twarzy administratora, który siedzi blady, nieruchomy i... słucha!

Na dworze krzyczą, wrzeszczą gdzieś w dali. Przerażenie udziela się wszystkim. Cztery blade twarze pytają się wzajemnie— co to?

A tu zgiełk się wzmaga.

Wtém dolatuje ich tuż pod domem, w którym siedzą, wydany okrzyk:

— Pali się! ogień!

Rządca się zrywa, jednym susem dobiega do okna, uchyla firanki... spoziera... odwraca się... blednieje i stłumionym głosem woła:

— Zamek się pali!...

Wybiegają wszyscy... barona twarz konwulsyjnie się wykręca... z trudnością podnosi się z krzesła i jak pijany, chwiejącym krokiem, wylatuje na podwórze.

Łuna wznosi się w parku, jasno od niéj, jak w dzień.

Buchające płomienie szumią, pochłaniają wszystko dokoła siebie i zdaje się, że w powietrzu panuje uroczysta cisza, bo słychać wyraźnie, jakby tuż obok, każdy głos ludzi, obecnych przy ogniu.

Baron nie był nigdy przy pożarze, nie może sobie zdać sprawy z tego widowiska.

Bezprzytomny biegnie w stronę zamku za tymi, którzy przed nim wyszli.

Straszny obraz!

Ze wszystkich okien apartamentów pierwszego piętra buchają płomienie pożaru wewnętrznego.

Zajęły one już w niektórych miejscach wiązania dachu, który trzeszczy i trzaska pod dachówką i wkrótce buchnie iskrami i szumiącym płomieniem.

Od gorąca z okien zajął się dach gontowy lewego pawilonu, który płonie z pryskiem i szaloną szybkością, oświecając *al giorno* park i przypruszone śniegiem świérki.

Dopiéro co tworzył on jedną złotą masę, a tu już odkrywają się ogniste krokwie i padają w jednym kierunku, jak żołnierze z hukiem i ziejąc iskrami, łamiąc się i siejąc daléj zniszczenie.

Wtém huk nad bramą zamkową ściąga wszystkich oczy.

Mur pękł od wewnętrznego gorąca i runął na ziemię, odkrywając jadalną komnatę, w któréj u sufitu — widać — wisi jeszcze sturamienny wenecki żyrandol, ale runie i on wnet... a może się i utrzyma, bo wisi u odwiecznego sklepienia.

Nadzwyczajny widok.

Nagle pokazuje się na dachu płomyk, który co moment rośnie i wkrótce robi wrażenie komina ognistego.

— To nad pokojem jenerała! — woła głos jakiś.

— Pokój nie był sklepiony... ogień przepalił sufit! cały zamek pójdzie! — dodaje głos drugi.

A dokoła gorejącego w coraz liczniejszych punktach zamku, stają tłumy ludzi i patrzą się.

Baron lata jak szalony.

— Ratować! — woła — ratować! wody! śniegu!

Ale nikt go nie słucha.

W odpowiedzi, jakiś stary chłop, oświecony blaskiem pożaru, mówi mu:

— Dziedzic nie miał prawa sprzedawać ojcowizny... ot i jest.

A z drugiéj strony przybiega do barona stara, jak wiedźma, baba i szepleni.

— Widziałam, jakem żywa! widziałam kasztelanowę nieboszczkę, jak tańczyła w płomieniach w sali zwierciadlanéj.

Baron się opędza, błaga, zaklina. Jeszcze ogień nie ogarnął całego wnętrza, jeszcze czernieją szyby portretowéj sali i galeryi obrazów.

— Obrazy! — woła — obrazy! Rafaela! Van Dycka!

Ale zabobon silniejszy nad wszystko, nikt mu nie odpowiada, każdy rusza ramionami i mruczy.

— Boska wola... czy czorcia sprawa, toż to ogień z wnętrza... bies podłożył, nie trza było w ojcowiznę wchodzić, ho-ho... wié wojewoda... co robi...

A tu ogień się szerzy i z coraz to świéżych okien bucha i coraz jaśniéj... goręcéj... strasznięj!

Pękają mury, wali się dach, płoną wieże, a upadające ściany, co jakiś czas otwierają jeszcze nietknięte przez ogień wnętrza komnat ze swemi aksamitnemi i zdobnemi przedmioty.

Mijają godziny jak sekundy.

Wtém brzmi donośny głos w tłumie :

— A burgrabia! burgrabia! lewa baszta się nie pali.

Ten głos budzi z zadumy i oprzytomnia młodego rządcę.

Biegnie on jak szalony ku baszcie, w któréj cicho, bo ogień nie przeszedł do niéj przez długi kamienny kurytarz.

Dopada drzwi jego izby i otwiera.

Ale w niéj pusto. Świeci się latarnia, na łóżku zmięta leży pościel, z któréj widocznie niedawno ciało jego się podniosło.

Dzika jakaś myśl przebiega w mózgu młodzieńca, bo mu oczy się iskrzą i usta wykrzywiają.

Spogląda na gwóźdź na ścianie, na którym zawsze wisiały klucze, ale i kluczy nie ma.

Spogląda na zégar, którego wskazówki stoją na jedenastéj....

Przelatuje mu myśl przez głowę, że pożar musiał wybuchnąć między szóstą a siódmą.

Wybiegają wszyscy z izby burgrabiego, bo straszny i niedaleki huk ich zestraszył.

A rządcy się zdaje, że przez otwarte drzwi do portretowéj sali widzi burgrabiego, jak chodzi ze świécą w ręku i dziwne nią robi ruchy po ścianach.

Ale mu się w głowie miesza. Podczas gdy wszyscy uciekają, on powraca do komnaty starca. Obejmuje wszystko w niéj okiem i z boleścią na twarzy szepce bardzo cicho :

— Nie ma lichtarza... stary nigdy go nie brał...

Zbiega na dół... przeciska się przez nieruchome tłumy, które się odsuwają od zamku, bo ogień coraz większy, dopieka i pali.

Już płonie główna wieża i jak latarnia oświeca biały i śnieżny świat. Już ogień się uspakaja... i z niektórych tylko okien bucha... Już dzieło zniszczenia dokonane, a w powietrzu panuje ta uroczysta cisza, którą wokoło siebie wytwarza ten straszny element.

* * *

W osmalonéj ruinie Zabuskiego zamku, w sklepionéj komnacie, będącéj sypialnią kasztelanowéj, na spalonéj jéj posadzce, wśród popiołów z najróżniejszych materyi, leży zwęglony szkielet starca, gdzie niegdzie czarném ciałem przykryty. Ta masa kości ma ludzką formę, w jednéj ręce trzyma pęk kluczy, nie spojonych już z sobą spalonym rzemieniem, a w drugiéj srebrny, na pół stopiony i pokrzywiony lichtarz.

Wincenty hr. Łoś.





HELENA MASSALSKA,

Księżna Karolowa de Ligne. Hr. Wincentowa Potocka.

(Podług dzieła p. Lucyana Perey, p. t. „Histoire d'une grande dame au XVIII siècle").

CZĘŚĆ PIERWSZA.

LA P-SSE HÉLÈNE DE LIGNE.—1887.

Każdemu z nas podobno towarzyszy w literackim zawodzie myśl wysnuta w najlepszych tego zawodu chwilach, w chwilach samotnéj zadumy, zaludnionéj tylko rojną gromadą marzeń, pieszczona następnie tak, jak pieszczonemi są dzieci, którym miłość rodzicielska daje nad innemi pierwszeństwo; myśl, nęcących powabów pełna, jakiegoś artystycznego czy naukowego przedsięwzięcia, jakiejś książki, która byłaby książką najbliższą naszemu sercu, gdybyśmy ją napisali kiedykolwiek, któréj nie napiszemy może, prawdopodobnie, nigdy, ale któréj chęć, zamiar i nadzieje nie opuszczą nas do końca...

Taką jest dla mnie, od lat już wielu, książka z któréj, gdybym mógł kiedy przenieść ją ze sfery marzeń w sferę spełnień, zrobiłbym niby portretową galeryą polskich postaci niewieścich z drugiéj połowy XVIII wieku. Lata mijają po latach, inne przedsięwzięcia, inne zadania, pilniejsze, poważniejsze, narzucają się uchodzącemu czasowi i wyczerpującym się siłom, i marzenie pozostaje marzeniem. Raz jednak już i drugi, przypadek nastręczył mi sposobność uchwycenia i rzucenia mimochodem na papier bodaj jednego i drugiego wizerunku z pomiędzy tych, z któremi tak często obcuje moja wyobraźnia (1). Nie oparłem się pokusie. A owóż trafia mnie pokusa

---

(1) Ob. wydane u Żupańskiego, 1880 r. „Listy Katarzyny Kossakowskiéj" i urywki z korespondencyi księżny Miecznikowéj z Lubomirskich Radziwiłłowéj, drukowane w „Niwie" 1883 r.

nowa. Leży przedemną okazała księga, która obudziła i budzi żywy interes w całym literackim i salonowym świecie nadsekwańskim, a na okładce którćj czytam: „*Une grande dame au XVIII siècle*". Ta wielka dama z XVIII wieku jest polską damą, ta księżna de Ligne urodziła się Heleną Massalską a umarła hrabiną Wincentową Potocką.

Wyznaję, iż nie byłbym pomyślał sam o wydobyciu téj postaci z całowiekowego już prawie zapomnienia. W każdym zaś razie byłbym się prawdopodobnie cofnął przed wyniesieniem jéj na światło dzienne z tą bezwględnością, którą sobie francuski jéj biograf przysądził. Nie należy ona stanowczo do tych osobistości, wobec wyjątkowéj roli historycznéj których i historycznego ich znaczenia, niknie dopominająca się skądinąd o uszanowanie granica między publiczną a prywatną połową życia. Zbyt zaś jest znowu bliska temu, co nas dziś jeszcze otacza, aby pogwałcenie téj granicy mogło być obojętném w stosunku do niéj. Szkoda wszelako, jeżeli jest jaka, wyrządzona już została w tym względzie, i wyrządzona nie przezemnie. Zwiększyć jéj nie mogę, mogę zaś skorzystać z niéj bez niczyjéj krzywdy, i nie opieram się tym razem kuszącéj mnie ponęcie.

A ponęta jest wielka. Późne pojawienie się na widowni publicznéj téj wczorajszéj nieznajoméj stanowi niespodziankę i niespodziankę będącą dziełem trafu. Trzeba było trafu, aby nikła jéj sylwetka, lekko i przelotnie zarysowana na jaskrawém tle owoczesnego życia, upomniała się dziś o naszą uwagę, ale traf ten jest tak osobliwym, że sam przez się cechuje jéj losy piętnem wyjątkowości, piętnem rzeczy i istot wybranych, mimo których przejść nie można obojętnie. Wychowana nad Sekwaną, wyrosła w atmosferze paryskich buduarów i wersalskich salonów, zespolona z wielką, między Paryżem a Wiedniem usadowioną rodziną, Polka ta oderwała się od wszystkich powabów tego cudzoziemskiego przeznaczenia, aby dokonać życia w zaciszu zakątka polskiego. Aliści, po latach stu, przypadek przenosi z powrotem nad Sekwanę coś z niéj, z jéj zawracającego niegdyś głowy nadsekwańskim Lowelasom uroku, wdzięku i dowcipu, kilka pożółkłych kartek, zapisanych jéj ręką, i postać jéj, do zagrobowego życia powołana, napełnia znowu swym rozgłosem salony paryskie...

Jakiś nadsekwański podróżnik zawadził o stare gniazdo Pilawitów, w Brodach, wyniósł zdobyczą paki, księgami i rupieciami naładowane i tam znalazło się kilka kajecików żółto, niebiesko i zielono oprawnych z szumnym na wstępie nadpisem: „Pamiętniki Apolliny - Helen'y Massalskiéj w królewskiém opac-

twie Notre-Dame-Aux Bois przy ulicy de Sève na przedmieściu St. Germain.“

I pamiętniki te, bardzo nieumiejętną zrazu, wprawniejszą póżniéj ręką dziesięcioletniéj, na wstępie, pensyonarki skreślone, wypełnione na marginesach karykaturami, hieroglifami i innemi tworami dziecinnéj lub panieńskiéj fantazyi, okazały się prawdziwym klejnotem, i szczęśliwy ich posiadacz nie miał pokoju, dopóki nie zapoznał swych rodaków nie tylko z ich zawartością, ale z całym, o ile poznać go mógł skądinąd, życiorysem autorki.

Jeździłem i ja przed kilku laty do Brodów ze zdobywczemi zamiarami, ale podobno zmyliłem drogę, trafiając do wypróżnionych czy zaryglowanych archiwów pałacowych, przeoczywszy sąsiedniego brodatego archiwistę...

Cóżkolwiekbądź, francuski współzawodnik był odemnie szczęśliwszy, i żółto-niebieskie kajeciki Heleny Massalskiéj, wraz z jéj korespondencyą, nie w moje dostały się ręce. Czy jednak p. Lucyan Perey, albo raczéj kryjąca pod tym pseudonimem niewieścią swoję skromność panna Herpin, autorka kilku już dość wielkim rozgłosem otoczonych i przez akademią nawet uwieńczonych monografii (1), nie wyręczyła mnie całkowicie w zużytkowaniu tego ponętnego materyału i czy pozostaje mi co innego do zrobienia, prócz odesłania polskich mych czytelników do wspaniałéj, u Calmann Levy'ego wydanéj księgi? Wyjaśnię zaraz mój pogląd w tym przedmiocie i moje intencye. Najpierw księga, o któréj mowa, jest równie grubą jak okazałą: 448 kartek! Następnie są w téj księdze dwie rzeczy: materyał dostarczony pannie Harpin łaskawą wspaniałomyślnością losu i obrobienie tegoż materyału: pierwszy nie może być przecenionym, drugi zostawia pole do wielu zastrzeżeń. Jest, zaraz na pierwszéj kartce, rytowany portret uroczéj pensyonarki z Abbaye-aux-Bois, i portret ten, bez żadnego objaśnienia zamieszczony, okazuje się powtórzeniem słynnego oryginału berlińskiego, znanego całemu światu pod nazwą „portretu Greczynki“. Słyszę, iż „wszyscy Potoccy“ (zagadnięci snać w tym przedmiocie) przyznali słuszność autorce francuskiéj względem dokonanego przez nią sprostowania téj błędnéj jakoby nomenklatury. Być może. Jednak „wszystkich Potockich“ jest tak dużo, iż nasuwają mi się pewne wątpliwości. A przytém, jako historyk, nie jestem wcale przekonany, iżby piękna „Greczynka“, wraz ze swoim wizerunkiem, bliższą była któremukolwiek Potockiemu niż mnie samemu, i wnoszę ztąd, iż miałem prawo, ze „wszystkimi Potockimi“ równe do wysłuchania wy-

(1) La jeunesse de M-me d'Epinay. La correspondance de l'abbé Galiani; itd.

mownych argumentów, któremi szanowna autorka zjednała ich dla swojego bardzo nowego wniosku w tym względzie (1).

Owóż wstrzemięźliwość, któréj dała ona tutaj przykład, zastosowana przez nią została do innych, nie mniéj niespodzianych odkryć, dokonanych na szerszém już polu naszéj przedrozbiorowéj historyi, naprzykład do sprostowanéj, pod rokiem 1771 umieszczonéj, i z powołaniem Ogińskiego związanéj daty „organizacyi konfederacyi Barskiéj“, albo do roli przewodniéj wyznaczonéj, w téj organizacyi, rodzonemu stryjowi Heleny Massalskiéj, biskupowi Wileńskiemu, który przechowywał się dotąd w naszéj pamięci z inną zgoła fizyognomią historyczną. Co o tém odkryciu myślą wszyscy istniejący Massalscy, nie wiadomo nam zgoła. A mniéj jeszcze o zdaniu żyjących między nami potomków pięknéj księżny Langorouskiéj względem roli przypisanéj ich protoplastce...

Skądinąd, z obawy zapewne—poniekąd słusznéj—aby nie starczyło pamiętników, odkrytych w Brodach, i saméj, dość nikłéj, jak się wyżéj rzekło, choć wdzięcznéj postaci ich autorki do zapełnienia grubego tomu, zapożyczyła się panna Herpin w nastręczającéj się bliskiém sąsiedztwem a bogatéj galeryi de Ligne'ów, wprowadzając zwłaszcza na scenę używaną już wielokrotnie do tego rodzaju usług, bo nader powabną i nie zużytą jeszcze, postać sympatycznego księcia Karola-Józefa de Ligne—teścia księżny Heleny. Ale ten dziwny, zdumiewający istotnie człowiek, miał już za życia to do siebie, że, dostawszy się raz na scenę, bodaj w roli konfidenta czy lokaja przynoszącego list,—bo lubił grać komedyą, choć grał licho—nie dawał się już żadną miarą wywieść z powrotem za kulisy. I z rolą tędy pośmiertną, przeznaczoną mu przez pannę Herpin, obszedł się on tak samo. Jego światowe czy wojenne przygody i popisy, jego stosunki z Józefem II, Katarzyną, Fryderykiem i Potemkinem, jego listy, wiersze, dowcipy i kalambury zajęły więcéj niż połowę okazałego tomu, i postać autorki pamiętników zeszła na drugi plan, malejąc w odległościach rozprzestrzenionéj tym sposobem perspektywy...

Wyprowadzić ją tedy naprzód sceny, z poświęceniem zbędnych efektów scenicznych, będących własnością księcia Karola Józefa, a jednocześnie oswobodzić ją z tła historycznego, dorobionego przez szanowną autorkę francuską na podstawie nowych, nie uza-

(1) Rozmawiałem sam o tym przedmiocie z kilkoma Potockimi, nawet z pomiędzy tych, którzy przebywają w Paryżu, mianowicie z hr. Mniszchem, urodzonym z Potockiéj' i posiadającym piękny zbiór oryginalnych portretów, który nie wiedział nic o argumentach panny Harpin.—Kopia berlińskiego oryginału figurowała w salonie paryskim pani Kisielew jako portret jéj matki.

sadnionych dostatecznie, danych naukowych—oto zadanie, które mnie skusiło.

Dodam jeszcze jednę pokusę: rozwiązanie zagadki, która nie zdaje się, aby zaniepokoiła umysł panny Herpin, a którą jednak książka jéj i przyjęcie, z jakiém ta książka się spotkała, nasunęły despotycznie mojemu własnemu umysłowi.

Helena Massalska nie jest, bezsprzecznie, osobistością pierwszorzędną; ale nie dość na tém: jest ona, w ryczałtowém zestawieniu głównych rysów jéj charakteru i głównych epizodów jéj życia, osobistością raczéj ujemną niż dodatnią; pod względem politycznym żadną, pod względem spółczesnym odróżniającą się, z pozoru przynajmniéj, od swych rówienniczek chyba przez pewną dosadę w pospolitych pośród spółczesnego pokolenia niewieściego, choć potwornych prawie szczegółach charakterystyki psychologicznéj i obyczajowéj. Dama z wielkiego świata taka, jak sto innych w téj epoce; gorsza chyba (z pozoru zawsze) od wielu. Połączona nie przez uczucie lecz przez wyrachowanie—i to nie cudze ale swoje własne—z cudzoziemcem, który przynosi jéj wielkie imię i wielkie dostatki ale oddala ją od ojczyzny, żąda ona od niego tego tylko, aby ją i od jego własnéj rodziny a ojczyzny oddalił, a zbliżył do Paryskich pokus i do splendorów wersalskich. Zadowolona i pod tym względem, nie umie się przywiązać ani do tego męża, w którym znajduje serce wyjątkowo gorące i umysł wyjątkowo szlachetny, ani do domu, do którego wprowadzoną została a który ma czém zadowolnić wszystkie godziwe wymagania jéj własnego umysłu i serca, ani nawet do dziecka, którém ją Bóg obdarzył. Oddala się, skoro tylko może, od tego wszystkiego, o wszystkiém zapomina, rzuca się na szyję pierwszemu mężczyznie, który potrafił przemówić do nieczułych dotąd strun jéj duszy, czy jéj wyobraźni, czy jéj temperamentu, a który notabene, jest żonatym po raz już wtóry i ojcem dwojga dzieci, wydziera go gwałtem prawie żonie, wielce kochającéj i zacnéj, i dzieciom, wielce potrzebującym jego opieki; zdobywa go prawie przemocą, po długiéj i rozpaczliwéj walce, przyjmuje z radośném uniesieniem wiadomość o tragicznéj i bohaterskiéj śmierci tego, któremu pierwéj wieczną miłość dobrowolnie ślubowała, a który jest ojcem jéj córki, ale którego zgon kruszy znienawidzone przez nią a napróżno dotąd targane węzły, i staje wreszcie na kobiercu z nowym wybranym przez się towarzyszem życia, i jest szczęśliwą! Tylko na chwilę, przystępując do ołtarza, oczy jéj mroczą się i oddech zatrzymuje się w jéj piersi, bo jéj się zdaje, że widzi przed sobą trzy trumny przegradzające jéj drogę do tego wymarzonego szczęścia. Ale niebawem, wracająca jéj przytomność rozprasza złowrogie wi-

dziadło. Trzy trumny okazują się trzema wschodami z czarnego marmuru, na których wznosi się ołtarz.... I chwila to tylko, i szczęście nie zawodzi snać płochéj marzycielki.

A jednak taka, jaką jest ona w świetle dochodzących nas dziś wskazówek historycznych i taka, jaką była prawdopodobnie w rzeczywistości, wielka pani ta, płocha, nieczuła i grzeszna, polka ta, tak złą pamięć po sobie i tak bolesne ślady zostawiająca na obczyźnie, podobała się za życia obcym i podoba się im dziś jeszcze. Jest sympatyczną! Imieniowi jéj przechodzącemu z ust do ust tu, na brzegach Sekwany, nie towarzyszy żaden wyraz oburzenia czy niechęci, żadna klątwa. — Dla czego?

Oto pytanie, które znalazłem przed sobą i na które chciałbym znaleść odpowiedź.

I.

Helena Massalska jest córką Józefa, podskarbiego nadw. lit., zawołanego mówcy, (z Radziwiłłówny), wnuczką zaś hetmana w. l. W r. 1770 ojciec, umierając, powierza ją, wraz ze starszym o rok od niéj bratem Ksawerym, młodszemu bratu swojemu biskupowi wileńskiemu, który w r. 1771 nie organizuje prawdopodobnie konfederacyi barskiéj i nie skłania Ogińskiego do przyjęcia w niéj udziału, ale znajduje się istotnie wplątanym dość niefortunnie w spółczesną skomplikowaną grę wypadków politycznych, wyjeżdża do Francyi i rozporządza tam wychowaniem swych pupilów. Ksawery dostaje się, za naprawą pani Geoffrin i za gorącém poleceniem kilku jéj przyjaciół, jako to margrabiego de Mirabeau i księdza Beaudeau, w ręce niejakiego pana Delorme, który w zamian za roczne wynagrodzenie w kwocie 30,000 liwrów (z dodatkiem 60,000 liwrów, jednorazowo wypłacić się mających po spełnieniu zadania) obowiązuje się utrzymywać i kształcić książęcego wychowanka p o d ł u g j e g o s t a n u, to jest z pomocą jednego pod-guwernera, jednego „szlachcica“ i jednego lokaja, przywiązanych do jego osoby i z doborem wszystkich klasycznych elementów najwytworniejszéj edukacyi. P. Delorme pełni przyjęte na się obowiązki przez lat sześć, poczém przywozi do biskupiéj rezydencyi pod Wilnem (do Werek) czternastoletniego skończonego—idyotę i niedołęgę, skarłowaciałego fizycznie i moralnie i rychłemu przekazanego zgonowi....

Ośmioletniéj Helence trafił się wybór szczęśliwszy. Wiemy już dokąd dostaje się ona, zawsze z poręki pani Geoffrin, lepiéj tym razem natchnionéj. Pensya klasztorna w Abbaye-aux-Bois dzieli owocześnie z „Penthemont“ przywiléj przygarniania i wyhodowy-

wania panienek, pochodzących z najpierwszych domów francuskich. Klasztor ten, podlegający juryzdykcyi opata z Citeaux, sięga fundacyą swą odległéj starożytności. Ksienią jest w nim pani de Chabrillan, dziedzicząca swą godność po pani de Richelieu, siostrze słynnego marszałka; przełożoną pani de Rochechouart, siostra księcia de Montemart, a więc należąca do jednego z największych rodów spółczesnych; między pensyonarkami figurują panny de Montmorency, de Choiseul, de Cossé, de Damas, najświetniejsze imiona francuskie! Mała Helenka Massalska wchodzi w to otoczenie i niebawem zdobywa w niém sobie jedno z pierwszych miejsc. P. de Rochechouart wyróżnia ją z pomiędzy wszystkich koleżanek i otwiera jéj osobną komórkę w swém czułém a zbolałém sercu. Panna de Choiseul, przybierająca, jeszcze przed opuszczeniem murów klasztornych, za sprawą wczesnego, *more antiquo*, małżeństwa ze swym kuzynem, tytuł księżny de Choiseul-Stainville, nie ma drugiéj przyjaciółki, równie kochanéj i pieszczonéj przez się. Wszyscy kochają ją, pieszczą, podziwiają i psują nawet potrosze. Dla czego?

Problemat wyżéj wskazany rysuje się już tutaj. Rozwiązanie atoli téj jego strony nie przedstawia trudności. Tkwi ono w dokumencie, za którego udzielenie nam nie możemy być dość wdzięcznymi pannie Herpin i szczęśliwemu trafowi, który nam i jéj usłużył: w „pamiętnikach“ wypieszczonéj pensyonarki. Dziesięcioletnia osóbka, która skreśliła te kartki, niczém nas więcéj zadziwić nie może. Autentyczność dokumentu podległa wprawdzie zakwestyonowaniu, ale bez dostatecznéj podstawy. Autorstwo domyślne Helenki, dość silną skądinąd obronę znajdujące w pochodzeniu i zewnętrznych cechach przypisanego jéj utworu, jedno ma tylko przeciwko sobie: wiek autorki, zwłaszcza w zestawieniu z późniejszemi fazami jéj umysłowego życia, nie przedstawiającemi nic osobliwego. Ale wszystko znowu domyśléć się nam każe w niéj jednego z tych przedwcześnie dojrzewających wytworów trebhauzowéj kultury wielko-światowéj, które najczęściéj nie dopisują swym obietnicom. Tam, gdzie nie trafia ona na wyjątkową bujność i zasobność soków żywotnych, tam forsowna ta hodowla prowadzi za sobą fatalnie wyczerpanie sił i stopniowy zanik nienormalnego rozkwitu. Helenka Massalska zdaje się być wyrazistym specymenem tego rodzaju hyperprodukcyi edukacyjnéj i w ślad za nią idącéj atrofii. Dziesięcioletnia pensyonarka z Abbaye-aux-Bois obiecuje niezmiernie wiele, zapowiada coś zdumiewającego; co za kwiat wspaniały i czarujący wystrzeli z tego rozkosznego pączka? Siedmnastoletnia księżna de Ligne zawodzi obudzone oczekiwania: pączek rozwinął się słabo,

kwiat dobył się zeń powabny może, ale pospolity. Autobiografia, którą mamy przed sobą, zatrzymuje się wprawdzie na szesnastéj wiośnie, w któréj młoda autorka opuszcza klasztor i życie panieńskie; księżna de Ligne zaś nie zostawiła pamiętników; wszystko jednak przypuszczać nam każe, żeśmy nie ponieśli straty z tego powodu.

Księżna de Ligne nie pisze, albo pisze tak, jak pisać może każda ex-pensyonarka francuska. Natomiast Helenka pisze nie tak może osobliwie, czarująco i wytrawnie, jak to rozgłoszoném zostało przez rozentuzyazmowaną krytykę nadsekwańską, ale w sposób niezaprzeczenie interesujący bardzo i zdumiewający ze względu na wiek. Bez śladu jakiegokolwiek szematowego założenia i bez żadnéj, prawdopodobnie, intencyi w tym sensie, dorywcze jéj, luźne notatki składają się na obraz bardzo wyrazisty, bardzo zupełny i bardzo ciekawy jednéj, mało dotąd znanéj strony nadsekwańskiego życia w drugiéj połowie XVIII wieku. O tém, czém jest nadsekwańska i wogóle europejska kobiéta z arystokratycznéj sfery w téj epoce, mamy wszyscy mniéj więcéj dokładne pojęcie, ale skąd się ona bierze i w jaki sposób staje się tém, czém jest, — tego, rzec można, dowiadujemy się dopiéro — od Helenki. I dla tego panna Herpin zasłużyła, bezsprzecznie, na naszą wdzięczność, zapoznając nas, za pomocą dość obszernych wyciągów, z treścią tych pensyonarskich „pamiętników“ i nie pozostaje mi nic innego, jak pójść jéj śladem — choć z niejaką wstrzemięźliwością. Jest w tych żółtoniebieskich kajecikach, w których fantazya dziecinna dopomina się bądź-co-bądź o swoje prawa, sporo szczerego złota, ale jest i sporo zdawkowego kruszczu, a nadewszystko sporo chaosu. Szanowna autorka poradziła sobie z tém wszystkiém po swojemu. Przysądziłem sobie w tym względzie swobodę osobistego wyboru i porządku.

Z PAMIĘTNIKÓW HELENKI.

Przybycie do Abbaye-aux-Bois. — Portrety nauczycielek. — Program nauk. Obraz ogólny wychowania klasztornego. — Charakter nowéj polskiéj uczennicy. Złe początki i pomyślniejszy koniec. — Epizody z życia pensyonarskiego. Wojna „niebieskich“ z „czerwonemi“. Stosunki z kuchcikiem hrabiego de Beaumanoir. — Portret pani de Rochechouart, przełożonéj.

„Przybyłam do Abbaye - aux - Bois w pewien czwartek; pani Geoffrin, przyjaciółka mojego stryja, zaprowadziła mnie najpierw do parloaru saméj ksieni, który jest bardzo piękny, bo jest biały ze złotemi szlakami; pani de Rochechouart przyszła także do parloaru i matka *Quatre-Temps* także, bo była ona pierwszą nauczycielką téj małéj klasy, w któréj być miałam.

„Panie te były łaskawe dla mnie i raczyły powiedziéć, że mam ładny wyraz twarzy i ładną figurę i włosy piękne; nie odpowiadałam nic na to, bo byłam zapomniała moję francuszczyznę w drodze, gdyż odbyłam tak długą podróż, że przejechałam przez nie wiem ile miast, zawsze pocztą, która grała na trąbie myśliwskiéj. Rozumiałam jednak wszystko, co mówiono; powiedziano tedy, że zaprowadzą mnie do klasztoru dla włożenia mi stroju pensyonarskiego, a potém przyprowadzą mnie napowrót do kraty, ażeby pani Geoffrin mnie zobaczyła. Otworzono tedy okienko w kracie i wpuszczono mnie tędy, bo byłam mała. Zaprowadzono mnie do jednego pokoju, gdzie była i ksieni, cała w adamaszku niebieskim i białym, i tam siostra Crinoire włożyła mi nową sukienkę; ale zobaczywszy że czarna, zaczęłam płakać tak okropnie, że litość było patrzyć; ale jak mi włożono niebieskie wstążki, pocieszyło mnie to trochę, a potém ochmistrzyni przyniosła konfitury, które zjadłam i powiedziano, że codzień jada się konfitury tak samo.

„Pieszczono mnie bardzo; wszystkie starsze panienki, które były na służbie przy ksieni, przychodziły patrzyć na mnie i usłyszałam jak mówiono: „Biédna maleńka; nie umié mówić po francusku; trzeba jéj kazać mówić po polsku, ażeby zobaczyć co to za język." Ale ja wiedząc, że będą się wyśmiewać ze mnie, nie chciałam mówić. Powtarzano dokoła mnie, że jestem bardzo delikatna. Na to ktoś powiedział, że przybywam z kraju bardzo dalekiego, który się nazywa Polska, i mówiono: „Ach! co za zabawna rzecz być polką!"

„Ale panna de Montmorency wzięła mnie na kolana i zapytała mnie, czy chcę, ażeby była ona moją małą mamą, więc dałam głową znak że tak, bo nie chciałam wcale mówić, aż dopiéro wtedy, kiedy będę mówiła tak jak wszyscy; zapytano mnie, czy mi się zdaje, że ta panienka, która mnie trzyma na kolanach, jest ładną; wtedy podniosłam rękę do moich oczu, ażeby pokazać, że jéj oczy ładne; wtedy bawiono się, każąc mi powtarzać jéj nazwisko: Montmorency.

„Ale powiedziano, że mój stryj przybył do parloaru i że chce mnie widziéć w pensyonarskim mundurze; przyszłam tedy do parloaru ubrana tak jak byłam, i znaleziono, że mi to bardzo do twarzy, i poleciwszy mnie bardzo tym paniom, mój stryj i pani Geoffrin poszli sobie. Wtedy ksieni i pani de Rochechouart chciały zmusić mnie, żebym mówiła, ale nie było sposobu; wtedy pani de Rochechouart przywołała pannę de Montmorency i powiedziała jéj: „Moje serce, polecam ci to dziecko; mała to cudzoziemka, która zaledwie umié po francusku; masz dobre serce, zaprowadź-że ją do klasy i zrób tak, żeby jéj nie prześladowano; łatwo ci będzie wyjednać dla niéj dobre przyjęcie." Ale kiedy przyszło do powtórzenia

mojego nazwiska, pani de Rochechouart nie mogła żadną miarą przypomnieć go sobie; powiedziałam tedy jak się nazywam, ale zobaczywszy, że nazwisko to wydaje się im śmiesznem, obiecałam sobie nie mówić o niém więcéj; wtedy pani de Rochechouart zapytała mnie, czy nie mam chrzestnego imienia, powiedziałam Helena, i tak panna de Montmorency powiedziała, że mnie przedstawi pod imieniem Heleny.

„Poszłyśmy tedy, była to godzina rekreacyi; panna de Narbonne, która mnie widziała u ksieni, dała już wiedzieć o mnie; powiedziała, że jestem małą dziczką, która mówić nie chce, ale że jestem bardzo miła. Ponieważ deszcz padał tego dnia, rekreacya odbywała się na kurytarzu; skoro się zjawiłam, wszyscy przyszli do nas, panna de Montmorency zaprowadziła mnie do przełożonych, które obsypały mnie pieszczotami; wtedy cała klasa otoczyła mnie, robiono mi tysiąc śmiesznych pytań, na które nie odpowiadałam słowa, tak, że były takie, które myślały, że jestem niemową.

„Panna de Montmorency prosiła pierwszą nauczycielkę klasy niebieskiéj o pozwolenie oprowadzenia mnie po całym domu, i matka *Quatre-Temps* pozwoliła; pokazano mi tedy wszystko, dano mi dobry podwieczorek, wszystkie zakonnice i pensyonarki czerwone pieściły mnie bardzo, podarowano mi masę kłębków i poduszeczek do szpilek i g r y m a s ó w (pudełeczek okrągłych z wierzchem wypukłem), tak, że byłam bardzo zadowolona.

„Gdy przyszła godzina kolacyi, panna de Montmorency odprowadziła mnie do klasy, matka *Quatre-Temps* zaś zaprowadziła mnie za rękę do refektarza; dano mi miejsce obok panny de Choiseul, która przybyła ostatnia przedemną. Panna de Choiseul mówiła do mnie podczas kolacyi i ośmieliłam się odpowiedzieć jéj kilka słów, wtedy zaczęła wołać: „Patrzcie! mała polka mówi po francusku!" Po kolacyi zaprzyjaźniłam się bardzo z panną de Choiseul, która była bardzo ładna.

„Powiedziała mi ona, że wieczorem, podczas apelu, trzeba prosić panią Rochechouart o dzień rekreakcyi i dać podwieczorek, i że ona mówić będzie za mnie. Potém grano w rozmaite gry, między któremi była rzeź niewiniątek i tysiąc innych rzeczy. Gdy przyszedł czas iść spać, poszłyśmy do sypialni zakonnic. Pani de Rochechouart odprawiła apel, ja byłam ostatnia wywołana, wyszłam tedy naprzód z panną de Choiseul, która prosiła w mojém imieniu o rekreacyą. Pani de Rochechouart zapytała matkę *Quatre-Temps*, czy uprzedzono mojego stryja o tém, co potrzebném jest dla zapłacenia tak nazwanéj *la bienvenue*, bo kosztowało to 25 luidorów, ażeby dać wielki podwieczorek wszystkim pensyonarkom

i trzeba było, żeby były lody. Matka *Quatre-Temps* odpowiedziała, że tak; naznaczono tedy dzień rekreacyi na sobotę.“

Jużci obiecującym jest ten debiut małéj naszéj polki. Jakoż w kilka dni późniéj jest ona już u siebie w nowém swém otoczeniu. Miała nawet czas rozpatrzyć się w przymiotach trzech nauczycielek klasy n i e b i e s k i é j, które przedstawia nam streściwie jak następuje:

„Pani de Montluc, zwana matką *Quatre-Temps*, dobra, łagodna, staranna, zanadto drobiazgowa i ciemięga.

„Pani de Montbourcher, zwana *Sainte-Macaire*, dobra, głupia, bardzo brzydka, wierząca w strachy.

„Pani de Fresnes, zwana *Sainte-Bathilde*, brzydka, dobra, lubiąca dużo opowiadać....“

Chcemy wierzyć, iż równie szybko oswoiła się Helenka i z samym programem nauk, którego treść znajdujemy powtórzoną także w pierwszym z różno-kolorowych kajecików. Program to ciekawy, bo rzucający właśnie światło na warunki tego klasztornego wykształcenia, z którego wychodziło na świat to dziś jeszcze w bladym odblasku historycznych podań, olśniewające, choć niewiadomo z nieba czy z piekieł pochodzącą światłością, więcéj uwielbienia czy więcéj niepokoju budzące zjawisko: kobiéta XVIII wieku! Nie trzeba zapominać, iż, tu we Francyi przynajmniéj i w obrębie arystokratycznego świata, domowe, macierzyńskie wychowanie jak gdyby nie istniało wcale owocześnie. Matki mają co innego do roboty, a dom jest wszystkiém inném raczéj niż szkołą. Panienka z d o b r e g o d o m u idzie na pensyą, do klasztoru, w piątym lub szóstym roku i nie opuszcza już murów klasztornych aż do chwili zamążpójścia, lub wyrzeczenia ślubów zakonnych. Te więc czarujące ozdoby salonów wersalskich i piękne jawnogrzesznice, te mistrzynie dobrego tonu i smaku, a niezrównane bałamutki, te późniejsze imponujące matrony, albo nieposkromione latami, ze starością do śmierci kokietujące czupiradła, których wizerunek przekazała nam historya i tradycya, wychowały się w klasztorze. Czém było to wychowanie?—Czémś bardzo osobliwém, bardzo rozmaitém i bardzo zastanowienia godném. Oto najpierw program ów, wyżéj wspomniany, program najniższéj klasy, skreślonéj *pro memoria*, dość koślawemi jeszcze literami przez dziesięcioletnią Helenkę.

„W poniedziałki, środy i piątki:

„Wstać w lecie o siódméj, w zimie o wpół do ósméj. Być o ósméj w klasie na swojém miejscu i czekać na panią de Rochechouart, która wchodzi o ósméj.

„Uczyć się, skoro wyszła, „Katechizmu Montpellierskiego“ (1) i recytować go; o 9-téj śniadanie, o wpół do dziesiątéj msza. Od dziesiątéj do jedynastéj czytanie. Od jedénastéj do wpół do dwunastéj lekcya muzyki. Od wpół do dwunastéj do dwunastéj rysunek. Od dwunastéj do pierwszéj lekcya historyi i geografii. O pierwszéj obiad i rekreacya do trzeciéj. O trzeciéj lekcya kaligrafii i rachunku do czwartéj. O czwartéj lekcya tańca do piątéj; podwieczorek i rekreacya do szóstéj. Od szóstéj do siódméj granie na harfie lub klawikordzie. O siódméj kolacya. O wpół do dziewiątéj do sypialni.“

Porządek innych dni w tygodniu ten sam, z tą jedynie różnicą, że nauczycieli obcych, przybywających w poniedziałki, środy i piątki, zastępują same zakonnice. W niedzielę o ósméj czytanie ewangelii w klasie, o 9-téj msza; o jedénastéj krótka nauka, wygłoszona przez jednego z kapelanów; o czwartéj nieszpory.

Ale program ten, jak wogóle programy, nie mówi wszystkiego. Zostawia on na boku całą jednę stronę tego życia klasztornego i téj metody edukacyjnéj, których suchy tylko przedstawia szkielet. Dalszy ciąg pamiętników Helenki dostarcza nam uzupełniających w tym względzie wskazówek. Spotkaliśmy się już na samym wstępie jéj naiwnego dzienniczka, z panną de Montmorency i innemi jéj towarzyszkami, „b ę d ą c e m i n a s ł u ż b i e p r z y k s i e n i.“ Jakoż reguła przyjęta w Abbaye-aux-Bois wymaga kolejnego uczestnictwa wszystkich pensyonarek w rozmaitych wydziałach służbowych, albo „urzędach“ *(obédiences)*, których jest dziewięć w obrębie klasztoru, a mianowicie: służba przy ksieni *(abbatiale)*, zakrystya, parloar, apteka, garderoba, biblioteka, refektarz, kuchnia, klasztor *(communauté)*. Specyalnym zajęciom, przywiązanym do każdego z tych wydziałów, poświęcają pensyonarki tylko pewną ograniczoną liczbę godzin, wyręczane zresztą przez odpowiednią liczbę sióstr zakonnych, ale w ciągu tych godzin nie wolno im wzdrygać się przed żadnym rodzajem zajęcia służbowego. Widać tedy, w opowiadaniu naszéj polskiéj pensyonarki, panny de la Roche-Aymon i de Montbarrey porządkujące starannie w szafach stosy serwet i obrusów; panny de Chauvigny i de Nantouillet nakrywają tymczasem do stołu; panny de Beaumont i d'Armaillé zaprzątają się sprawdzaniem rachunków; panna d'Aiguillon naprawia ornat; panna de Berbantanne pilnuje drzwi; panna Latour-Maubourg wydziela cukier i kawę; panny de Talleyrand i de Duras są na służbie

(1) „Katechizm Montpellierski“ należy do szkoły Jansenlusa, którego pojęciom hołdowały stanowczo zakonnice z Abbaye-aux-Bois.

w klasztorze; panna de Voguë popisuje się w kuchni specyalnemi swemi zdolnościami w tym wydziale; panny d'Uzès i de Boulainvilliers doglądają zamiatania sypialni pod nadzorem pani de Bussy, ochrzczonéj przez uczennice nieprzyzwoitém przezwiskiem matki Graillon; nakoniec robotnicy używani w obrębie klasztoru pracują pod rozkazami panien de Saint-Simon i de Talmont; panny zaś d'Harcourt, de Roman-Guemeneé, de Brassac i de Galaar zapalają lampy według wskazówek pani de Royaume, nazywanéj przez nie matką des Lumières.

A Helenka? Helenka zdjęła dopiéro co suknię haftowaną perłami i dyamentami wartości stu tysięcy talarów, w któréj grała rolę Estery, a teraz przyrządza ziółka i kataplazmy w aptece....

Bo teatr gra także rolę w tém wychowaniu klasztorném, a nawet rolę nieposlednią. Teatr i bal w dodatku. W ciągu karnawału jest co tydzień bal w klasztorze; na którym pensyonarki, rzucając czarny mundurek, ukazują się w najwykwintniejszych strojach, współzawodnicząc z wielko-światowemi elegantkami, przybywającemi z miasta i przybywającemi chętnie podobno z tego względu, iż obchodzić się mogą na tych balach bez przymusowego gdzieindziéj (podług owoczesnych wymagań) towarzystwa świekry.

Rys to nie uchwycony dotąd podobno w wizerunku spółczesnego życia towarzyskiego, a nader charakterystyczny. Młoda mężatka, rozpoczynająca częstokroć światowy zawód w szesnastym roku życia, lub nawet wcześniéj, nie może pojawiać się w świecie (po za obrębem murów klasztornych) bez towarzystwa, ale towarzystwem tém znowu nie może być ani jéj mąż, zabawiający się pospolicie gdzieindziéj, albo nawet w tym samym salonie, ale na swoją rękę, ani jéj matka, młoda jeszcze najczęściéj, lub pretensye do młodości roszcząca i także swoim dworem zabawy szukająca osoba. Tym sposobem rola niewdzięczna „szaperona“ przypada matce męża, starszéj pospolicie i pozbawionéj, przymusowo, osobistych światowych pretensyi.

Ale w klasztornym salonie obecność niemiłego szaprona staje się zbędną. Przynoszą one tedy z sobą te ciekawemi oczywiście oczyma śledzone przybyszki z eks-klasztornego świata, razem z zapachem subtelnym wytwornéj atmosfery, do któréj należą, razem z wizerunkiem żyjącym dobrego tonu i wielkich manier, większą jeszcze niż ta, któréj używają pospolicie, swobodę ruchów.... Taką jest ta edukacya klasztorna, z któréj wychodzi kobiéta salonowa XVIII wieku, a edukacya ta nie robi jéj oczywiście wzorem wszystkich cnót chrześciańskich. Pensyonarki z Abbaye-aux-Bois

uczą się od tych chwilowych towarzyszek, j a k t r z y m a ć s i ę w wielkim świecie, ale uczą się i wielu innych rzeczy. Po jednym z balów panna de Chevreuse znajduje bilecik upuszczony przez wice-hrabinę de Laval, a zawierający te słowa: „Jesteś aniołem, droga wice-hrabino, rachuj na moję dyskrecyą i wierność. Jutro w tym samym domu, o téj saméj godzinie.“ Panna de Chevreuse nie zaniedbuje oczywiście podzielić się swém znaleźnem z towarzyszkami, te zaś nie ociągają się z domysłem, iż „zapewne jakiś pan napisał to do téj pani.“ Rzecz dochodzi wprawdzie do wiadomości pań przełożonych i wice-hrabina nie pokazuje się więcéj na balach klasztornych, ale zapewne zastępują ją inne, tym samym przypadłościom podlegające trzpiotki.

Dalszy ciąg naszego pamiętnika, którego naiwna szczerość nie ukrywa przed nami żadnego z rysów kreślonego bezwiednie obrazu, dostarczy nam nowych szczegółów, uwydatniających i ujemne i dodatnie strony tego osobliwego systematu edukacyjnego, który w całości swojéj nie może oczywiście uchodzić za ideał pedagogiczny, ale którego całość właśnie, tak różnolita, tłómaczy wszystko to, co jest różnolitego także, dodatniego i ujemnego, w niewieściém owém pokoleniu, wyrastającém w téj atmosferze.

Aczkolwiek do ostatniéj, „niebieskiéj“ klasy należąca, Helenka została pomieszczoną na początek w sypialni „czerwonych“, to jest najstarszych panienek. Wyniknąć ztąd musiały kolizye, w których charakter małéj cudzoziemki dobywa się na wierzch w sposób wyrazisty, a których opowieść daje jéj przytém sposobność do odkrycia przed nami jednego z sekretów tego osobistego wdzięku, który, mimo wielu odstręczających właściwości, stanowi jéj niezaprzeczony przymiot. Cudowną jest ta opowieść przez swoję prostotę. Ta dziesięcioletnia dziewczynka posiada jeden z najrzadszych, nawet u ludzi dojrzałych, i najcelniejszych darów: dar szczerości przed sobą samą.

„Wkrótce po mojém przybyciu do klasztoru zaczęłam chorować z powodu wody, którą piją w Paryżu. P. Portal (słynny medyk spółczesny; † 1832 r. w 87 roku życia) przepisał mi proszki, które pani Sainte-Bathilde, trzecia nauczycielka klasy niebieskiéj, przynosiła mi do łóżka, w towarzystwie jednéj z tercyarek. Raz zapomniała dać mi je; tego dnia „czerwone“ miały jeść pasztet i skoro drzwi zamknięte zostały, wstały wszystkie i zaczęły jeść przy świetle nocnéj lampy. Ja widząc, że drudzy jedzą, powiedziałam, że chcę także pasztetu i że powiem o wszystkiém, jeżeli mi nie dadzą. Wtedy panna d'Equilly odeszła od swych towarzyszek i przyniosła mi spory kawał pasztetu i ciasta, które połknęłam.

Aliści pani Sainte-Bathilde przypomniała sobie, że mi nie dała proszków; wstała tedy i przyniosła mi je. Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, „czerwone“ pobiegły do swoich łóżek, jedna zaś schowała w swoim łóżku resztki pasztetu. Wtedy nauczycielka i siostra Eloi przyszły do mojego łóżka z proszkami. Ponieważ nie śmiałam nic powiedziéć, ażeby nie zdradzać tych panienek, musiałam połknąć proszek, zjadłszy dopiéro co tyle pasztetu. — Skoro tylko pani Sainte-Bathilde odeszła, panienki te powstawały znowu z łóżek, mrucząc na mnie; mówiły, że nieznośna to rzecz miéć taką głupią smarkatę w swoim pokoju; poczém zaczęły pić jabłecznik. Ja znowu zaczęłam wołać, ażeby mi dały jabłeczniku; one nie chciały z powodu proszku, który dopiéro co zażyłam; a nawet panna de la Roche-Aymon przyszła i wyszturchała mnie; ale zaczęłam płakać tak głośno, że musiały mi dać szklankę jabłeczniku, którą wypiłam duszkiem. Nazajutrz obudziłam się z okropną gorączką i zaniesiono mnie do infirmeryi; miałam malignę przez całą noc, nakoniec dostałam zgniłéj gorączki, o mało co nie umarłam i przebyłam dwa miesiące w infirmeryi.“

Początek to dopiéro nieporozumień z „czerwonemi“ i zatargów, które w dalszym ciągu przybierają dramatyczniejszy charakter, chociaż o powrocie do sypialni, kędy pasztety, jabłecznikiem zapijane, jadają się po nocach, nie ma już mowy dla Helenki. P. Portal, po niefortunnym wypadku swéj proszkowéj kuracyi, orzeka, iż mała cudzoziemka jest zbyt delikatną dla znoszenia rygoru ogólnéj edukacyi. Zaczém podpada ona pod zastosowanie wyjątkowych reguł, a reguły te, o ile materyalne środki przysługujące pensyonarkom pozwalają na to, są nader luźne. Nie należy zapominać, że jesteśmy tu w sferze absolutnie arystokratycznéj, w sferze, w któréj przywiléj każdy jest u siebie i nie przedstawia nic rażącego, nawet między dziećmi. Dziesięcioletnia księżniczka dostaje tedy osobny apartament, pannę służącą, ochmistrzynię i trzecią sługę, tak zwaną *mie*; przytém cztery luidory miesięcznie na drobne wydatki. Sądząc wszelako z jéj osobistych zwierzeń, najmilszym dla niéj z tych wszystkich pozyskanych przywilejów jest przywiléj posiadania, pieszczenia (i męczenia niestety także, okolicznościowo) popielatéj kotki, któréj raz sprawia obówie z łupin orzechowych, drugi raz narzuca niewygodny pobyt w zamkniętéj szafie, ale któréj pamięć towarzyszy nawet w dniu pierwszéj spowiedzi najuroczystszym jéj uczuciom.

„Wieczorem (po spowiedzi) siostra Bichon przyszła odwiedzić moję ochmistrzynię i podczas gdy panna Gioul, moja garderobiana, rozbierała mnie, siostra Bichon powiedziała mi, że poleca się moim

modlitwom (bo choć odbywałam wieczorne modlitwy razem z drugiemi w klasie, kazano mi je powtarzać jeszcze). Zapytałam siostrę Bichon, o co chce, abym prosiła Boga dla niéj. Odpowiedziała mi: „Proś Go, ażeby uczynił duszę moję tak czystą, jak twoja jest w téj chwili.“ Dodałam tedy głośno na końcu mojego pacierza: „Boże, daj siostrze Bichon, ażeby jéj dusza była tak biała, jak moja powinna by być w moim wieku, gdybym była skorzystała z dobrych nauk, które otrzymałam.“ Moja ochmistrzyni była uradowana z téj mojéj modlitwy i uściskała mnie i tak samo siostra Bichon i panna Gioul i *mie* Klaudyna. Potém, będąc już w łóżku, zapytałam, czy jest to grzechem modlić się za „popielatą“ (kotkę). Ochmistrzyni i siostra Bichon powiedziały, że tak i że nie trzeba mówić Panu Bogu o „popielatéj“.

„Potém, ponieważ nie chciało mi się spać, siostra Bichon przyszła do mojego łóżka i mówiła, że gdybym umarła téj nocy, poszłabym odrazu do raju. Zapytałam ją tedy, co tam widziéć można w raju. Powiedziała mi: „Wyobraź sobie, mój gołąbku, że raj jest to duży pokój cały z dyamentów, rubinów, szmaragdów i innych drogich kamieni. Pan Bóg siedzi na tronie. Jezus Chrystus i Najświętsza Panna siedzą także po prawéj i po lewéj stronie, Duch święty spoczywa na ramieniu Boga-Ojca, a wszyscy święci przechodzą tu i tam.“ Podczas gdy opowiadała mi to wszystko, zasnęłam....“

Szczęściem dla nas, dziewięcioletnia penitentka nie obudziła się w dyamentowym pokoju i posiadamy wiadomość o dalszych kolejach jéj pensyonarskiego życia.

„Miałam wtedy wstręt do dobrego pisania, prawdziwie straszny. P. Charme był bardzo niezadowolony ze mnie i zasadził mnie znowu do robienia samych O, co mi się przykrzyło bardzo i cała klasa wyśmiewała się także ze mnie albo mówiła, że nie potrafię nigdy podpisać własnego nazwiska. Nie przeto żebym nie lubiła pisać; owszem, trawiłam dni całe na pisaniu mych „Pamiętników“, jak tego była moda w tym czasie między starszemi panienkami, i my chciałyśmy naśladować ich przykład. Czerniłam tedy arkusze papieru cały dzień, ale była to bazgranina, w któréj ja jedna umiałam się rozpoznać, i zamiast korzyści, psuło mi to rękę do kaligrafii. Panna de Choiseul pisała często za mnie; ale spostrzeżono się, że to nie moje pismo; zaczém p. Charme poskarżył się przed matką Quatre-Temps. Ta zapytała mnie, czy pismo, które p. Charne jéj przedstawił jest mojém własném. Rzekłam: „Tak jest, doprawdy, ja sama to napisałam.“ Rzekła: „Jeżeli tak, to proszę napisać drugi raz to samo przedemną.“ Wtedy znalazłam się w wielkim kłopocie; byłabym chciała wleść w mysią dziurę; litery, z któremi najmniéj

umiałam dać sobie radę, były to M i N, a właśnie chodziło o „Massinissę króla Numidyjskiego.“ Owóż w nazwisku tém jest, jak wiadomo każdemu, dużo lasek: wszystkie tedy zaczęły mi iść krzywo, jedne w prawo, drugie w lewo, jedném słowem pokazało się, że nie umiem wywiązać się z mojego zadania; wtedy matka Quatre-Temps przyczepiła mi uszy ośle, a za to, że skłamałam, język czerwony na plecach razem z arkuszem papieru, zawierającym moję kaligrafią; zaczęłam odzywać się z tém, że napisałam źle dlatego, że mi trącano stolik, ale powiedziano mi, że obmawiam drugich i dodano mi jeszcze język czarny. Co najgorszego było, to to, że pani de Rochechouart, któréj podobałam się dosyć i która zaczynała być łaskawą dla mnie, powiedziała mi, podczas rannéj klasy, ażebym o szóstéj wieczór przyszła do jéj celi.

„Godzina tedy nadchodziła, jak pokazać się w tym stanie? Byłabym wolała umrzéć. Mogłażem przedstawić się z rogami na głowie, z dwoma językami i ze świstkiem zabazgranego papieru na plecach? Kiedy tedy matka Quatre-Temps kazała mi iść do przełożonéj, nie chciałam za nic w świecie ruszyć się z miejsca, płakałam tak, że o mało oczy nie wychodziły mi z głowy. Panna de Choiseul płakała także, cała moja klasa litowała się nademną, a klasa biała wyśmiewała się. Widząc, że nie chcę być posłuszną, matka Quatre-Temps przydała mi jeszcze „wstęgę hańby“ *(le cordon d'ignominie)*, poczém wezwała dwie tercyarki, siostrę Eloi i siostrę Bichon, które wzięły mnie pod ręce, wyciągnęły z mojéj ławki i zaprowadziły mnie aż do drzwi celi pani de Rochechouart. Przybywszy tam, byłam tak nieszczęśliwą, że byłabym oddała życie moje za szpilkę; zaledwie weszłam, pani de Rochechouart wydała okrzyk przerażenia i rzekła mi: „A mój Boże, cóż to się dzieje z tobą; wyglądasz jak maszkara! cóżeś to zrobiła, żeś zasłużyła na to, żeby ci odebrano twarz ludzką?“ Wtedy rzuciłam się jéj do nóg i opowiedziałam jéj moje grzéchy; widziałam dobrze, że z trudnością przychodziło jéj powstrzymać się od śmiéchu; jednak rzekła mi tonem surowym: „Winy twoje są wielkie, a kara za mała.“ Poczém wezwała dwie siostry, które mnie przyprowadziły i rzekła: „Rozkazuję, ażebyście ją odprowadziły do klasy i ażeby pozbawiono ją deseru przez ośm dni“; pierwsza zaś nauczycielka klasy niebieskiéj niech przyjdzie rozmówić się ze mną.“ Pani de Rochechouart zapytała mnie jeszcze, czy nie spotkałam nikogo idąc do niéj. Powiedziałam, że spotkałam pana Bordeu, doktora i księżnę de Chatillon, która przyszła odwiedzić jedną ze swoich córek, wówczas chorą. Odprowadzono mnie do klasy, ale słyszałam nieco późniéj od kilku „czerwonych“, że pani de Rochechouart powiedziała, iż było to

głupstwem robić ze mnie straszydło w ten sposób i że zmyła głowę matce Quatre-Temps, prosząc ją, aby karała nadal swoje uczennice bez zamieniania ich w potwory; że kilkoma dniami pierwéj, gdy wchodziła do klasy, zdało jéj się, że patrzy na bałwany egipskie, widząc nas pięć czy sześć z rogami i potrójnemi językami; że ponieważ pełno zawsze osób obcych w klasztorze, mogło to ośmieszyć edukacyą pensyonarek. Od tego téż czasu, kary tego rodzaju zostały zniesione; kazano nam klęczyć pośrodku chóru, pozbawiano nas deseru, albo dawano suchy chléb na śniadanie i na podwieczorek, albo jeszcze kazano podczas rekreacyi przepisywać Przywiléj królewski, co było bardzo nudną rzeczą".

Ale wyrabiający się charakter i temperament Helenki przyprawia ją niebawem o inną dotkliwszą jeszcze karę, którą obiecuje sobie sama pamiętać długo:

„Weszło mi temi czasy w zwyczaj powtarzanie matce Sainte-Euphrasie wszystkiego, co się robiło w klasie, widząc zaś, że ma to powodzenie u niéj, podsłuchiwałam wszystko, co mówiły inne pensyonarki i szłam jéj zdawać sprawę, tak że popadłam w nienawiść wszystkich klas.

„Miałam wtedy dziewięć lat i pokłóciłam się z panną de Nagu; wzięła ona z mojéj szuflady książkę z żywotami świętych i z obrazkami i czytała ją. Ponieważ pozwalałam tylko swoim najbliższym przyjaciołkom zaglądać do mojéj szuflady, podeszłam do niéj i powiedziałam jéj, ażeby mi oddała książkę. Ona odpowiedziała mi: „Mnie ta książka bawi, ty niemasz ochoty czytać jéj teraz, oddam ci ją, gdy sama czytać skończę." Nie zadowolniłam się tém, chciałam wydrzéć jéj książkę, ale że była mocniejszą odemnie, więc wycięła mi silny policzek; wtedy, zamiast oddać jéj policzek, zaczęłam płakać i poszłam poskarżyć się przed panią de Saint-Pierre, pierwszą nauczycielką klasy białéj, bo Nagu należała do téj klasy. Nauczycielka, widząc mnie we łzach całą i z twarzą czerwoną, przywołuje pannę de Nagu, rozkazuje jéj oddać mi książkę, przeprosić mnie i obejść się bez deseru przy kolacyi.

„Wszyscy żałowali panny de Nagu, témbardziéj że nie byłam lubianą, wszyscy nazywali mnie *une rapporton* i śpiewano mi nad uszami: „*Rapporti, rapporta, va-t'en dire à notre chat qu'il te garde une place pour le jour de ton trépas*".

„Ale nie na tém jeszcze koniec: panny de Choiseul i panien de Conflans, moich trzech przyjaciółek, nie było w téj chwili na pensyi; szczepiono ospę pierwszéj, dwie drugie zaś były na wsi, tak że nie miałam żadnego poparcia. Wychodząc z refektarza, zwyczaj jest biedz całym pędem do klasy, która pierwsza przybiegnie; na-

uczycielki zostają wtedy w tyle; byłam tak głupia, że zamiast zostać przy nich, (a wtedy nic by mi zrobić nie było można), zaczęłam biedz jedna z pierwszych; znalazłam się na nieszczęście przy pannie de Nagu, która zawołała zaraz: „Aha! mam cię!“ i, jednocześnie podstawiła mi nogę, tak że upadłam na nos. Wtedy wszystkie panienki zaczęły skakać przezemnie, kopiąc mnie nogami przy skoku, tak że byłam zbita na kwaśne jabłko. Nauczycielki nadbiegły, podniesiono mnie, i wtedy moje panienki dalėj odzywać się jedna po drugiėj: „Przepraszam waćpannę najpokorniėj, nie widziałam waćpanny“. Inne mówiły nauczycielkom, które łajały je: „Ja nie zrobiłam tego naumyślnie; nie widziałam jėj, że leży na ziemi!“ Odesłano mnie do łóżka i nazajutrz pani de Rochechouart przyszła odwiedzić mnie. Opowiedziałam jėj co mi się zdarzyło, a ona rzekła mi: „Gdyby twoje towarzyszki lubiły cię, podobna przygoda nie mogła by cię spotkać; musisz miėć bardzo zły charakter, kiedyś znienawidzona do tego stopnia przez wszystkie klasy.“ Od tego czasu nie powtórzyłam już nigdy niczego żadnėj nauczycielce i stałam się tak dobrą, że wszystkie panienki lubiły mnie, i sama Nagu, z którą zaprzyjaźniłam się tak, że byłybyśmy w ogień poszły jedna za drugą.“

Jakoż za pierwszém nowém, (nieuniknionėm w codziennych stosunkach) starciem z dużemi czerwonemi, mała nasza niebieska występuje w innėm już całkiem świetle; przyczém zapoznajemy się z jedną jeszcze stroną życia pensyonarskiego w „Abbaye-aux-Bois“, mianowicie z grami będącemi w modzie, jak mówi Helenka, pośród panieńskiego zgromadzenia. Najmodniejszą z nich jest polowanie, którego urządzenie wymaga wszelako wielkiego zachodu, potrzeba bowiem na to całego dnia i rozlicznych przygotowań:

„Czerwona klasa to zazwyczaj urządzała tę grę. Panny z tėj klasy wybierały dojeżdżaczy i psiarzy, następnie zaś wyznaczały pewną liczbę jeleni, i wskazywały tego z nich, który ma być dojeżdżanym; mała klasa dostarczała psów i te panny przychodziły prosić nas bardzo grzecznie, abyśmy raczyły być psami. Gdy się zdarzyło żeśmy były niezadowolone z klasy czerwonėj, odmawiałaśmy: bywało nawet, że w ciągu gry, niebieskie opuszczały polowanie i odchodziły, i nie można tedy było sforsować jelenia.

„Miałam w tym czasie przygodę, za którą zemściłam się dobrze. Była między dużemi z klasy czerwonėj niejaka panna de Sivrac, bardzo przystojna ale podlegająca spazmom i trochę waryatka.

„Byłyśmy razem na rekreacyi w ogrodzie, i, wracając do klasy, powiedziała mi ona: „Zostawiłam swoje rękawiczki na końcu ogrodu: chodź ze mną, proszę cię, po nie.“ Ja, niczego się nie domyśla-

jąc, idę z nią; aliści, gdyśmy zaszły za klomby bzu, rzuca się ona na mnie, wywraca mnie, bierze gałąź bzu i ćwiczy mnie okrutnie. Wybiwszy mnie mocno, ucieka pędem. Podnoszę się, jak mogę i wracam, płacząc do klasy. Powiadam sobie: „Jeżeli poskarżę się przed nauczycielkami, panna de Sivrac zada mi kłamstwo, powié, że wyszturchała mnie tylko i ujdę znowu za donosicielkę.“ Cóż tedy robię? Zbiéram najrezolutniejsze z pomiędzy niebieskich, i opowiadam im swoje zdarzenie, mówiąc, że jeżeli nie będę pomszczona, niedługo wielkie panny zatłuką na śmierć klasę niebieską; jednem słowem podburzam umysły, jak mogę, tak że postanowiono zerwać wszelkie stosunki z klasą czerwoną, dopóki panna de Sivrac nie przeprosi mnie. Za pierwszym dniem rekreacyi, klasa czerwona chciała grać w polowanie, przysłała tedy prosić klasę niebieską o kilka psów; ale żadna z nas nie chciała pójść i tak samo było z wszystkiemi grami. Jęły tedy pytać czerwone, co to znaczy, żeby takie smarkate, jak my, dawały sobie tony. Ale w gruncie było im bardzo markotno, bo klasa czerwona jest najmniéj liczna, klasa biała jest zajęta przygotowaniami do pierwszéj komunii, byłyśmy więc im koniecznie potrzebne do gier, które wymagają większéj liczby grających.

„Nie koniec na tém; odbiłyśmy szufladę i ławkę panny de Sivrac; podarłyśmy na drobne kawałki wszystkie papiery, które tam leżały, następnie zaś wrzuciłyśmy do studni jéj woreczek z pieniędzmi, portfel i bonbonierkę, które się tam także znalazły. Wtedy czerwone powiedziały pannom de Choiseul i de Montsauge, które były najzawziętsze jako moje przyjaciółki, że, jeżeli spotkają jednę z nich samę, dostanie się jéj po uszach. Od téj chwili straszny nieporządek zapanował w klasie; cokolwiek można było znaleść należącego do któréj z czerwonych wszystko znikało za sprawą niebieskich w studni, albo szło na kawałki; nawzajem, którakolwiek z niebieskich wpadła czerwonym w ręce po kątach, wracała zbita jak nieboże stworzenie“...

Ostatecznie pani de Rochechouart bierze na się rolę rozjemczyni i wywiązuje się z niéj ze zwykłą powagą i ze zwykłém szczęściem. Takt wytworny, rozsądek i równowaga umysłu téj prawdziwie niezrównanéj mistrzyni edukacyjnego zawodu objawia się zresztą na każdym kroku na wspomnieniach Helenki:

„Raz, biegając po ogrodzie, usłyszałyśmy głos podziemny; zaczęłyśmy szukać zkąd by to pochodzić mogło, aż odkryłyśmy, że otworem od kanału idącego do kuchni h-go de Beaumanoir, którego pałac znajdował się w sąsiedztwie. Zaczém niektóre z nas stanęły rzędem, ażeby ukryć przed nauczycielkami co się robi, a inne zaczę-

ły mówić. Usłyszałyśmy głos małego chłopca; zapytałyśmy go jak się nazywa, powiedział nam, że Jacquot ma na imię i że ma zaszczyt służenia w kuchniach hr. de Beaumanoir. Powiedziałyśmy mu, że rekreacya zaraz się kończy, ale że wrócimy nazajutrz o téj saméj godzinie. Nazajutrz zaczął on grać na flecie a my śpiewałyśmy; potém, w miarę jak jedna z nas mówiła, pytał się o jéj nazwisko, mówiono mu je, i po trzech czy czterech dniach znał już kilka z nas po głosie i wołał: „Hé! d'Aumont, Damas, Mortemart.“ Pytał się czy z brunetką czy z blondynką rozmawia, potém pytał się co robiemy w ogrodzie. Powiedziałyśmy mu, że godzina to podwieczorkowa, a wtedy powiedział nam, że, gdyby nie żelazna krata w środku kanału, przyniósł by nam sporo dobrych rzeczy; wtedy powiedziałyśmy mu, że trzeba wyjąć tę kratę; obiecał, że będzie pracować nad tém. Byłyśmy tak zajęte rozmową, że pani de St.-Pierre, jedna z nauczycielek, miała czas zbliżyć się, zanim mogłyśmy się spotrzedz; zobaczywszy ją nareszcie, uciekłyśmy wszystkie, ale tymczasem Jacquot wołał: „Choiseul! Damas! słuchajcie-ż, krata będzie wyjęta jutro.“

„Pani de St.-Pierre poszła natychmiast opowiedziéć rzecz całą pani de Rochechouart. Pani de Rochechouart napisała zaraz do pana de Beaumanoir, donosząc, że kanał prowadzący do jego kuchni będzie zamurowanym, ponieważ ludzie jego rozmawiają z pensyonarkami. Odpowiedział natychmiast, że ubolewa niezmiernie nad tém co zaszło, i że odprawi całą swoję służbę kuchenną. Pani de Rochechouart odpowiedziała, prosząc, ażeby nie czynił tego; przywołano mularzy i zamurowano kanał tego samego dnia. Pani de Rochechouart nie uznała potrzeby wspominania w klasie o téj przygodzie i wskazywania, że się przywiązuje do niéj wielką wagę; tylko wieczorem, przy apelu, wyrzekła kilka żartów o pięknéj konkiecie, którąśmy zrobiły, i że musiemy posiadać gust bardzo delikatny i uczucie bardzo szlachetne, ażeby przywiązywać tyle ceny do rozmowy z kuchcikiem; co się zaś tyczy tych, które powiedziały mu swoje nazwiska, żywi ona nadzieję, że kiedyś tenże kuchcik przyjdzie upomnieć się u nich o dawniejsze łaski, co oczywiście sprawi wielką uciechę ich rodzinom. Tak tedy upokorzyła nas okrutnie, nie łając bynajmniéj.“

Nadmienić się godzi, że ta wzorowa a tak poważna mentorka jest osobą w kwiecie panieńskiego wieku. Oto jéj portret, piórem Helenki skreślony:

„Wysoka, z figurą kształtną, nogi ładne, ręce delikatne i białe, zęby prześliczne, duże oczy czarne, wyraz twarzy szlachetny i poważny, uśmiech czarujący... cała klasa drżała przed nią; kiedy poja-

wiała się rano i wszystkie byłyśmy w nieładzie z powrotem ze śniadania, dość jéj było klasnąć w ręce, każda biegła do swojéj ławki i można było słyszéć o d d e c h muchy... Miałam zwyczaj nie odbywać nigdy inaczéj drogi z jednego końca domu na drugi, jak całym pędem; ale jeżeli zdarzyło mi się spotkać w drodze panią de Rochechouart, stawałam jak wryta, i wtedy, ponieważ jéj spojrzenie zwyczajne jest dosyć surowe, wyobrażałam sobie, że zasłużyłam na jéj naganę, i wracałam zapłakana do klasy, mówiąc: Ach! pani de Rochechouart spojrzała na mnie wielkiemi oczyma!" Na to inne odpowiadały: „Pleciesz od rzeczy; czy chcesz, ażeby zmniejszała swoje oczy, kiedy cię spotyka." Doniesiono o tém pani de Rochechouart. Za następnym razem, kiedy mnie zobaczyła, przywołała mnie i zapytała, śmiejąc się, czy patrzy na mnie, podług mojéj myśli i czy jéj oczy jeszcze mnie przestraszają. Odpowiedziałam, że te oczy są tak piękne, iż więcéj sprawiają przyjemności niż strachu, i pocałowała mnie. Posiada ona miłość i poszanowanie pensyonarek, jest surową ale sprawiedliwą; uwielbiamy ją wszystkie i bojemy się jéj; skłonną do pieszczot nie jest, ale téż jedno słowo z jéj ust sprawia wrażenie ogromne. Zarzucają jéj, że jest dumną i uszczypliwą względem równych sobie, ale dla niższych od siebie jest ludzką i dobrą. Bardzo wykształcona i pełna talentów."

Postępy Helenki.—Helenka ksienią w Abbaye-aux-Bois.—Psoty.—Przyjaźń z panną de Choiseul. — Przejście do białéj klasy. — Metamorfoza.—Śmierć panny de Montmorency.

Nietylko w miłości towarzyszek swoich czyni odtąd Helenka szybkie postępy. Nadchodzące z końcem roku rozdanie nagród świadczy o tém. Dzieli ona ze swoją najlepszą przyjaciółką, panną de Choiseul, zasługę i chwałę pierwszeństwa w dwóch widocznie na stopie zupełnéj równości traktowanych przedmiotach: historyi i—tańcu.

„Panna de Choiseul otrzymała pierwszą nagrodę za taniec a drugą za historyą, ja zaś odwrotnie pierwszą za historyą a drugą za taniec, ale prawdą jest, że byłyśmy w obu przedmiotach téj saméj mocy, i pp. Huart i Dauberval (profesor historyi i nauczyciel tańców), ani p. Philippe (pierwszy baletmistrz opery) nie mogli żadną miarą rozstrzygnąć między nami".

Nagrody rozdawała uproszona o to matrona, księżna de la Vallière. Składały się na nie wszystkie pensyonarki, płacąc każda po lujdorze, co czyniło przeszło 3,000 liwrów. Nagród wszystkich było dwanaście : trzy za historyą i geografią, trzy za taniec, trzy za muzykę, trzy za rysunek. Sztuki piękne zajmowały, jak się pokazuje, w programie naukowym, uprzywilejowane stanowisko.

Razem z tańcem uprawia Helenka jednocześnie deklamacyą i zjednywa sobie do tego stopnia uznanie pani de Rochechouart, że siostrzenica téj ostatniéj, młoda księżna de Montemart, słysząc z ust swéj ciotki o małéj cudzoziemce, dopomina się o nią dla powierzania jéj roli Joasa na przedstawieniu Atalii, które ma się odbyć w jéj pałacu z trupą amatorską kierowaną przez sławnego Molé. Na prośby staréj księżny de Mortemart i księżny d'Harcourt, ksieni pozwala, aby Helenka wychodziła na miasto trzy razy na tydzień, dla wzięcia udziału w próbach, które trwają cały miesiąc. Przedstawienie wypada świetnie. Jeżeli mamy wierzyć improwizowanéj aktorce, „uznano powszechnie, iż Joas z Teatru-Francuskiego jest mniéj dobrym".

Niebawem zaś przemiana, która zaszła w stosunku Helenki do jéj panieńskiego otoczenia, i zdobyte przez nią pośród tego otoczenia stanowisko ujawniają się w nader charakterystycznym epizodzie życia klasztornego. Istnieje w Abbaye-aux-Bois zwyczaj dość dziwaczny: w dzień ś-éj Katrzyny uczennice używają od niepamiętnych czasów przywileju przywdziewania stroju dam zakonnych wraz z wszystkiemi do tegoż stroju przywiązanemi urzędami i godnościami, zacząwszy od ksieni a skończywszy na ostatniéj tercyarce. Rozdział urzędów i godności dokonywa się większością głosów i tym celem w wigilię uroczystego dnia ciało wyborcze, złożone z kompletu pensyonarek zbiera się poważnie w sali kapitularnéj. Otóż wybór najważniejszy, wybór saméj ksieni pada w tym roku na naszą Helenkę.

„...Wybrałam sobie za regentkę pannę de Choiseul; pannę de Conflans przeznaczyłam do noszenia pastorału, pannę du Vaudreil do sprawowania urzędu kapelanki; panny de Damas, de Montsauge, de Chauvigny, de Mortemart i de Toyanne do przybocznéj mojéj służby. Reszta miejsc rozdzielona została większością. Co gdy zostało ukończone, poszłyśmy do ksieni, która, podług zwyczaju, uściskała mnie i włożyła mi na palec pierścień swój, będący znakiem piastowanéj przez nią godności, i zaraz nazajutrz zaczęłam pełnić mój urząd, siedząc podczas wielkiéj mszy, którą śpiewałyśmy, na tronie zajmowanym zwykle przez ksienią.

„Tron ten ozdobiony był dywanem z aksamitu fioletowego ze złotemi frendzlami, który używa się tylko na wielkie święta. Otrzymałam honory kadzielnicy i poszłam, z pastorałem niesionym przedemną, pocałować patenę. Wszystkie zakonnice słuchały mszy na trybunach, pensyonarki zaś zajmowały ławki. Rozdałam wodę święconą i przyjęłam kulpę od wszystkich pensyonarek. Było to bardzo zabawną rzeczą widzieć zakonnice pięcio lub sześcio-letnie. Wiele

dam z miasta przybyło aby widzieć nas w chórze i w refektarzu, gdzie wydałam wielki obiad z lodami. Zakonnice wszystkie i osoby obce stały pośrodku refektarza przypatrując się nam. Każda z nas miała minę poważną, odpowiadającą sukni noszonéj przez się. Po obiedzie poszłyśmy objąć w posiadanie wszystkie wydziały służbowe, panie zaś zakonne zamknęły się, dla żartu, w klasach. Żadna z nas jednak nie śmiała odwiedzić pani de Rochechouart, która nie cierpiała tych maskarad i oznajmiła dniem pierwéj, że nikogo widzieć nie chce. Co się tyczy pani Sainte-Delphine (siostry pani de Rochechouart), wszystko to bawiło ją niesłychanie, szłyśmy wszystkie koleją do niéj; młoda księżna de Mortemart, pani de Fitz-James, pani de Bouillon, pani d'Henin, wice-hrabina de Laval przesiedziały w niéj całe poobiedzie. Odwiedzałyśmy ją partyami; ja pierwsza z całym moim dworem; rozmawiano z nami, żartowano, jedném słowem uradowałyśmy te panie. Ale co im sprawiło największą uciechę, to że nagle drzwi otworzyły się i pani de Rochechouart weszła. Wtedy, wiedząc, że nie lubi ona widzieć nas w tym stanie, ksieni i cała jéj świta zabrały się i uciekły co tchu. Wieczorem poszłyśmy, z wielką pompą, odnieść ksieni jéj krzyż i jéj pierścień i zrzuciłyśmy nasze suknie zakonne. Zabawa powtórzyła się w dzień Niewiniątek i panna d'Aumont była ksienią“...

Niezaprzeczenie systemat edukacyjny, który z jednéj strony dopuszczał zabawy tego rodzaju, a który z drugiéj strony mógł je dopuszczać bez śmiertelnego nadwerężenia porządku wewnętrznego i powagi autorytetów szkolnych, był czémś bardzo osobliwém. Widocznie nienawidzona przez panią de Rochechouart—i nie bez słuszności, jak czytelnicy osądzą zapewne—jednodniowa maskarada nie zostawiała śladów po sobie. A jednak jednodniowa ksieni, nasza Helenka, była właśnie osóbką do wywracania do góry nogami wszystkich porządków i powag:

„W tym czasie, (autorka pamiętników posługuje się stale chronologicznemi określeniami, przypominającemi styl ewangieliczny), znalazłszy na kominku butelkę z oliwą, którą zostawiła moja ochmistrzyni, ja i panna de Choiseul odkryłyśmy, że wysmarowawszy drzwi tą oliwą, można je otwierać bez najmniejszego hałasu... Pokój panny de Choiseul sąsiadował z moim. Wstawała ona tedy w nocy, przychodziła do mojego łóżka, wdziewałyśmy szlafroczki, otwierałyśmy drzwi po cichu i biegałyśmy po domu całą noc, płatając rozmaite figle, gasząc naprzykład po drodze wszystkie lampy, stukając do wszystkich drzwi, odwiedzając panienki w nowicyacie i zajadając w ich towarzystwie konfitury, pasztety i cukierki, kupowane w sekrecie. Raz wzięłyśmy butelkę z atramentem i wylałyśmy ją do

kropielnicy, która się znajduje przy wejściu do chóru; ponieważ te panie (zakonnice) idą na jutrznię o 2-éj z rana i umieją modlitwy swoje na pamięć, przeto odmawiają je przy świetle jednéj lampy, która oświeca bardzo słabo kropielnicę; przeżegnały się tedy wszystkie wodą święconą, nic widząc wcale co się z niemi dzieje. Ale przy końcu godzinek dzień się zrobił, spostrzegłszy tedy twarze swoje tak dziwacznie pomazane, zaczęły się śmiać jedna przez drugą tak serdecznie, że nastąpiła przerwa w nabożeństwie. Domyślono się, że to sprawka pensyonarek, zarządzono nazajutrz śledztwo, ale nie odkryto niczego.

„W kilka dni późniéj zdobyłyśmy się na inny figiel. Sznury od dzwonów, które zwą się dzwonami Gondi'ego, dla tego, że zostały poświęcone przez arcybiskupa paryskiego tegoż nazwiska, służą do zwoływania na nabożeństwo w dni powszednie i są umieszczone w tyle chóru, podczas gdy duży dzwon i inne uroczyste dzwony znajdują się w innéj dzwonicy, która wznosi się nad chórem. Sznury te przechodzą tedy przez trybunę, znajdującą się za tronem, na którym siada ksieni. Dobrałyśmy się tam i przywiązałyśmy mocno sznury naszemi chustkami. Kiedy tedy nowicyuszka, będąca na służbie, przyszła dzwonić na jutrznię, jęła pracować napróżno. Zdawało jéj się, że dzwoni, a tymczasem gdy jéj dzwonienie przychodziło do zrobionego przez nas węzła, komunikacya urywała się i dzwony ani ruszyły się; panie te więc, które czekały na pierwsze uderzenie dzwonów, ażeby zajść na jutrznię, nie przychodziły, a biédną zakonnicę siły opuszczały od dzwonienia. Nareszcie niektóre z nich widząc, że godzina jutrzni upływa, zeszły, aby dowiedzieć się, dla czego nie dzwonią. Znalazły zakonnicę zamęczającą się ciągnieniem sznurów. Zobaczono tedy, że jest coś popsutego u dzwonów. Zajrzano do trybuny i znaleziono chustki. Na nieszczęście były na nich znaki: H M, I C.“

Kara wymierzona przez panią de Rochechouart za ten występek, aczkolwiek dość surowa (klęczenie pośrodku chóru w czepku nocnym podczas niedzielnéj sumy), nie zadawalnia jednak niektórych zakonnic i saméj ksieni, która przywołuje przełożoną i wyrzuca jéj zbytnią pobłażliwość wobec mnożących się przykładów „czarnéj złośliwości“ pensyonarek, przypominając między innemi świeżą historyą kropielnicy. Pani de Rochechouart, „żywa i nie cierpiąca m o m e r y i“, odpowiada, że „historya kropielnicy uchodzić może za czarną w saméj rzeczy, ze względu na atrament odgrywający w niéj głośną rolę, ale złośliwości nie potrafiła w niéj dopatrzyć, a dostrzegła tylko figiel, trochę gruby co prawda“, i rozstaje się z ksienią w złym humorze. Ale bądź-co-bądź, wszystkie

te sprawki czynią, że Helenka pozostaje w najniższéj, niebieskiéj klasie, choć ze względu na uczynione postępy w naukach powinna od roku być w klasie białéj i sama towarzyszka nocnych jéj wypraw panna de Choiseul, przeszła już do białych oddawna. Helenka umié na palcach wszystko, czego uczą w klasie niebieskiéj, umie „historyą starożytną, historyą francuską i mitologią bardzo dobrze, umié na pamięć cały poemat o *Religii*, bajki *La Fontaine'a*, dwie pieśni z *Henryady* i całą *Atalię*, w któréj grała rolę Joasa; tańczy doskonale, śpiewa nieźle, gra trochę na fortepianie i trochę na harfie.“ Z rysunkiem tylko nie idzie jéj sporo, a wszystko psują figle ustawiczne, na które wyciąga ją panna de Choiseul.

„Kochałam tak pannę de Choiseul, że wolałam być na pokucie razem z nią, niż widziéć ją ukaraną samę; przyjaźń jéj dla mnie była wzajemna i skoro zasłużyłam na jaką karę, nie miała ona spokoju dopóki, mrucząc na nauczycielki, nie sprawiła tego, że ją ukarano dla kompanii ze mną. Nie starczyło nam nigdy całego dnia dla wypowiedzdnia wszystkiego, co miałyśmy sobie do powiedzenia, a wieczorem szłam do niéj albo ona do mnie. Lubiłyśmy bardzo czytać i panny de Conflans także, czytałyśmy razem w chwili swobodnéj, każda czytała głośno po kolei.“

W dodatku psoty dwóch przyjaciółek (zaprawione zawsze, jak zapewnia Helenka, wesołością i dowcipem) rozśmieszają panią de Rochechouart więcéj niż gniewają; siostra jéj zaś, pani de Sainte-Delphine, odzywa się głośno za tém, że byłoby to stratą dla klasztoru, gdyby panna de Choiseul i jéj wspólniczka ustatkowały się kiedykolwiek. Jednak chwilowe ustatkowanie się i pauza w nocnych zamachach zbrodniczych, sprawiona zapewne wyczerpaniem się pensyonarskiéj wyobraźni, przychodzą do skutku i pozwalają pani de Rochechouart przenieść swoję faworytkę do klasy „białéj.“ Helenka zaczyna myśléć o odbyciu pierwszéj komunii i wzdycha nawet gorąco do téj uroczystéj chwili, w czém jednak zdaje się odgrywać pewną rolę chęć skrócenia sobie niemiłego pobytu w klasie białéj, „któréj nauczycielki uchodzą za bardzo surowe. W każdym razie, umysł jéj, sądząc z treści i stylu pamiętników, rozwija się w tym czasie i poważnieje szybko. Przyczynia się podobno do téj przemiany wrażenie sprawione na niéj żałobnym wypadkiem: śmiercią dwóch młodocianych towarzyszek. Drugiemu z tych przedwczesnych zgonów towarzyszą okoliczności dramatyczne, które Helenka kreśli piórem dziwnie wymowném w swéj prostocie naturalnéj i w swéj nie dziecinnéj zgoła wstrzemięźliwości. Epizod to nadto odsłaniający przed nami jeden jeszcze, nie najmniéj na uwagę zasługujący rezultat téj klasztornéj edukacyi, któréj się przypatru-

jemy. Dla historyka, nawykłego do wiązania każdego szczegółu z treścią otaczających go zdarzeń, jest w téj edukacyi, w chwili, w któréj stawia ją przed nami pióro Helenki, jedna tragiczna strona: edukacya ta przeznaczoną się okazuje przedewszystkiém do wytworzenia kobiéty salonowéj; owóż dla nadsekwańskich koleżanek Helenki i dla niéj saméj, zabraknie niebawem już salonów. Bliskiém polem do popisu dla niejednéj z nich będzie cela w „Conciergerie" i szafot na placu zbroczonym krwią królewską. Ale właśnie wychowanie klasztorne okazuje się odpowiedniém i temu nieprzewidzianemu przeznaczeniu. Owe, do wykwintnego życia przyspasabiane pensyonarki umieją umierać! Historya tych krwawych czasów zapisała im w tym względzie wymowne świadectwo; a posłuchajmy Helenki.

„...Pierwsza z nich, która umarła była to panna de Chaponay, w dziewiątym roku życia, z prześliczną twarzyczką. Panna de La Roche-Aymon bolała nad jéj śmiercią bardzo, bo była ona jéj małą mamą. Pannę de Chaponay zaniosły do grobu cztery pensyonarki; trumna jéj była pokryta różami białemi i kościół cały białemi osłonięty draperyami.

„Śmierć panny de Montmorency była daleko straszniejszą.

„Księżna de Montmorency przestrzegała, ażeby jéj córka była wychowywana z wielką surowością. Gdy doszła ona do dwunastego roku, spostrzeżono się, że figura jéj wykrzywia się. Gdyby usłuchano wtedy pani de Saint-Côme, pierwszéj aptekarki, żyła by ona może jeszcze.

„Pani de Saint-Côme powiedziała, że panna de Montmorency ma coś zepsutego w krwi i dlatego z pewnością nie wyrasta jak należy i że dając jéj do picia sok z ziół anti-skorbutycznych, można oczyścić jéj krew, a wtedy figura jéj wyprostuje się sama; księżna de Montmorency nie chciała dać temu wiary. Tymczasem siostra jéj wyszła za księcia de Montmorency-Fosseuse, swojego kuzyna; odebrano ją z klasztoru przy téj okazyi, wróciła dopiéro po sześciu tygodniach i nie poznałyśmy jéj. Można powiedzieć, że nie będąc piękną, była ona jednak dawniéj przyjemną, miała piękne oczy czarne, płeć białą, wyraz twarzy szlachetny i wyniosły; teraz zobaczyłyśmy ją chudą w sposób przerażający, siną na twarzy i kaszlającą suchym kaszlem. Oznajmiła nam o swoich zaręczynach z księciem de Lambesc, z którym ślub wziąć miała w ciągu zimy. Miano wielką trudność z nakłonieniem księcia de Lambesc do tego małżeństwa, bo nie chciał on żenić się i dopiéro na uczynione mu przedstawienia, że pierwsza to partya we Francyi, tak co do imienia, jak co do fortuny, zdecydował się.

„Jednak figura panny de Montmorency była stanowczo krzywą; wtedy matka powierzyła ją ludziom z *Val d'Ajonc* (1), którzy męczyli ją przez sześć tygodni. Kładziono jéj bandaże dniem i nocą, co jéj rozpaliło krew do reszty; zachorowała w końcu i straciła włosy i zęby. Upadła raz, uderzyła się w ramię i dostała od tego nabrzękłości pod pachą; cały fakultet paryski odwiedzał ją napróżno, nikt nie mógł rozpędzić téj nabrzękłości.

„Tymczasem zima nadeszła i w tym stanie, w którym była, niepodobna było wydawać jéj za mąż; p. de Lambesc zresztą powtarzał całemu światu, że jéj nie kocha i nie ukrywał wcale wstrętu, którym go ona napełniała; odroczono tedy małżeństwo do roku. Postanowiono zawieść ją do Genewy, ażeby powierzyć doktorowi *de la montagne* (2). Przyszła pożegnać się z nami, zostawały już jéj tylko piękne oczy. Płakałam bardzo rozstając się z nią, była ona moją małą mamą; dała mi na pamiątkę mały sprzęcik ze staréj laki i zaleciła, abym modliła się za nią i była grzeczną. Żałowałyśmy jéj wszystkie, bo miała najszlachetniejsze serce w świecie i wszyscy ją kochali. W trzy miesiące po jéj odjeździe obudziłam się jednéj nocy bardzo niespokojna i przywołałam moję ochmistrzynię. Przyszła i powiedziałam jéj: „Śniło mi się dopiéro co, że widzę pannę de Montmorency w sukni białéj i z wieńcem z białych róż na głowie; powiedziała mi, że idzie za mąż i od téj pory zdaje mi się ciągle, że widzę jéj wielkie czarne oczy, które patrzą na mnie, i przestrasza mnie to.“ W kilka dni późniéj otrzymałyśmy wiadomość o śmierci panny de Montmorency; umarła téj saméj nocy, w któréj śniło mi się o niéj.

„Dowiedziałyśmy się, że kość jéj ramienia zaczęła się psuć i zgniła zupełnie. Chciano oddalić jéj matkę, ale padła na ziemię przed drzwiami wiodącemi do jéj pokoju z okropném łkaniem. Zobaczywszy, że gangrena ogarnęła całe jéj ramię, panna de Montmorency rzekła do pani de la Salle, przyjaciółki swéj matki, która była przy niéj: „Otóż zaczynam umierać.“ Pani de la Salle nakłoniła ją wtedy do przyjęcia śś. sakramentów i zgodziła się na to. Od téj chwili nie widziała już swojéj matki, któréj rozum całkiem się pomieszał; poleciła pani de la Salle, ażeby prosiła ją o wybaczenie jéj wszystkich zmartwień, których mogła stać się przyczyną; pro-

---

(1) Tak nazywała się dolina w Lotaryngii, zamieszkana w tym czasie przez rodzinę, używającą szczególnego rozgłosu z nastawiania członków złamanych lub zwichniętych. Nienawiść, którą urzędowi chirurgowie pałali dla tych protoplastów naszych dzisiejszych „owczarzy“, była podobno tak gwałtowna, że towarzyszyć im zawsze musiała eskorta z żandarmeryi.

(2) Innemu zapewne empirykowi.

siła następnie, żeby powiedziano pani de Rochechouart, że jeżli jéj umrzéć przyjdzie, największym jéj żalem będzie to, że nie ma jéj przy sobie w ostatnich chwilach; poczém zwołać kazała wszystkich służących, których prosiła o przebaczenie i przyjęła sakramenty.

„Wtedy przyzwała swojego doktora i prosiła, ażeby powiedział jéj szczerze, czy przypuszcza, aby wyzdrowiéć mogła. Na to doktór zamilkł, zobaczywszy zaś, że pani de la Salle płacze, rzekła: „Ach! nie myślałam, ażeby to było rzeczą tak pewną. Ach! Boże! weź cały mój majątek a przywołaj mnie do życia.“ Na to doktór powiedział jéj, ażeby nie traciła odwagi. „Tak, odpowiedziała, bo czuję, że jéj trzeba umierając w latach piętnastu.“ Tymczasem młoda księżna de Montmorency przybyła na wieczór z mężem i księciem de Laval; doktór oświadczył im, że chora nie przeżyje nocy, ponieważ gangrena postępuje. Niedługo potém panna de Montmorency chciała widziéć się z matką, ale nie można jéj było sprowadzić, bo była całkiém nieprzytomna. Powiedziano jéj że chora. Poprosiła więc, ażeby sprowadzono jéj siostrę, księżnę de Montmorency, która natychmiast przyszła. Powiedziała jéj: „Powiédz wszystkim moim towarzyszkom z Abbaye-aux-Bois, że daję im wielki przykład nicości rzeczy ludzkich; nie brakowało mi nic aby być szczęśliwą, podług pojęć światowych, a oto śmierć wydziera mnie wszystkiemu, co mi było przeznaczoném.“ Potém poleciła jéj, ażeby powiedziała wiele rzeczy od niéj, osobliwie paniom d'Equilly i de la Faluere, mnie zaś, ażebym modliła się za moję małą mamę. Wezwała następnie swego spowiednika i powiedziała mu: „Jeżeli więc mam umrzéć, do ciebie należy, mój ojcze, przygotować mnie do zrobienia ofiary z mojego życia; kosztuje mnie to dosyć, ażebym mogła miéć z tego zasługę!“ Wtedy spowiednik przyniósł jéj krzyż i zaczął odmawiać psalmy, unikając jednak modlitw za konających. Wtedy rzekła: „Ach! już nie cierpię.“ Od dwóch dni w saméj rzeczy nie cierpiała już prawie wcale, ale pierwéj gryzła prześcieradła swoje od bólu wściekłego i wydawała jęki, które zdaleka było słychać. Prosiła o pastylkę miętową, włożono jéj do ust, zrobiła wysilenie jak gdyby chciała kaszlnąć i skonała.“

Kończąc to żałobne opowiadanie i jak gdyby dla obronienia się przed niedowierzaniem nieprzewidzianych zapewne przez się czytelników dzisiejszych, powtarza Helenka anegdotkę, wskazującą czém był charakter i umysł panny de Montmorency w wieku jeszcze wcześniejszym.

„Kiedy miała ona ośm czy dziewięć lat, ksienią była pani de Richelieu; zdarzyło jéj się być bardzo upartą w oczach pani de Ri-

chelieu, która w gniewie rzekła jéj: „Kiedy widzę cię taką, zabiłabym cię!“ Panna de Montmorency odpowiedziała: „Nie byłby to pierwszy przypadek, w którym Ryszeliowie byliby katami Montmorencych.“

Pierwsza komunia. Przejście do klasy czerwonéj. — Podróż po wydziałach służbowych. Na służbie u ksieni, w zakrystyi, w refektarzu, w bibliotece i w aptece. — Portret autorki pamiętników własnoręcznie skreślony. — Towarzyszące zajęciom służebnym nauki i rozrywki. Helenka w roli „Cyda“.— Nowe stanowisko. Stosunek z panią de Rochechouart. — Rewolucya w klasztorze.

Chęć dobycia się z pod surowego nadzoru nauczycielek kierujących klasą białą dokonywa widocznie cudów. Helenka przystępuje niebawem do stołu świętego, w białéj *ad hoc* sporządzonéj sukni morowéj, lamowanéj srebrem, zaraz zaś potém przywdziewa czerwone wstążki najstarszéj klasy i przebywa szkołę doświadczalną dziewięciu wydziałów służbowych. Na służbie przy ksieni brakuje jéj tylko towarzystwa panny de Choiseul; zresztą zaś spędza czas jak najprzyjemniéj pod okiem dostojnéj zwierzchniczki, „która p a n u j e z całą łagodnością i sprawiedliwością, jakie wyobrazić sobie można“, upodobawszy zaś sobie zwinną i do biegania skłonną cudzoziemkę, używa jéj najchętniéj do wszystkich posług. Pannę de Choiseul zastępuje kilka panienek i p a ń, których p o r t r e t y, zwykłym u naszéj małéj autorki sposobem, zwięźle w kilku wierszach skreślone, dość powabnie wyglądają pod jéj piórem.

„Panna de Châtillon, przezwana *Tatillon*, czternaście lat, poważna, pedantka, bardzo ładna ale trochę tłusta.

„Pani d'Avaux, z domu de Bourbonne, dwanaście lat *(sic)*, świeżo za mąż wydana, maleńka, z ładną twarzyczką, głupia ale poczciwa.

„Panna de Mura, przezwana *la précieuse*, ośmnaście lat, ładna, piękna nawet, dowcipna, przyjemna, ale trochę pretensyonalna.

„Panna de Lauraguais, bardzo ładna, spokojna, łagodna, dość ograniczona, wyszła w ciągu roku za księcia d'Aremberg.

„Panna de Manicamp, jéj siostra, brzydka, dobra, bardzo dowcipna, gwałtowna i skłonna do uniesień.“

Helenka zaprzyjaźnia się tu z paniami de Sainte-Gertrude i Saint-Cyprien (zakonnicami), „lubiącemi śmiać się i bawić i skłonnemi do wszystkich szaleństw“; wyśmiewa się razem ze swojemi towarzyszkami z pana d'Avaux, który przychodzi odwiedzać swą dwunastoletnią żonę, a o którym ta ostatnia powtarza nieustannie „z najlepszą wiarą“, że go cierpieć nie może. Jest między zakonnicami otaczającemi ksienię i niejaka pani de Torcy, która także do-

starcza przedmiotu do żartów. Helenka i jéj towarzyszki utrzymują, że została ona zakonnicą dla tego tylko, iż nie mogła znaleść prócz Chrystusa innego oblubieńca godnego siebie, a jeszcze nie jest pewną, czy nie zrobiła mezaliansu! Wreszcie pretensyonalna panna de Mura służy młodym wietrznicom od czasu do czasu za narzędzie zabawy; sadzają ją bowiem do fortepianu i śpiewać każą, podczas gdy pani de Sainte-Gertrude, wesoła i posiadająca w wysokim stopniu dar naśladownictwa, stojąc z tyłu za nią, powtarza wszystkie jéj miny.

Ale mimo tego wszystkiego, przykrzy się po niejakim czasie Helence pobyt w tém miejscu. Dla czego? Towarzyszki jéj podobają sobie w niém bardzo. Podobno polska to rogata dusza odzywa się w niéj i nasuwa jéj myśl, że „jest coś upokarzającego w téj przedpokojowéj służbie.“

Rozkaz tedy, przenoszący ją po trzech miesiącach do zakrystyi, nie obudza żalu w jéj sercu, choć czekają ją w nowém tém przeznaczeniu nowe niesmaki. Towarzystwo jest i tu nader przyjemne i wesołe, témbardziéj, że poświęcone to miejsce stanowi, jak się wyraża Helenka, „repertuar wszystkich klasztornych wiadomości i plotek.“ Pełno tu ciągle zakonnic i pensyonarek; „ktokolwiek ma czém radować się, czy czém się smucić, czy coś opowiedziéć, przybywa tutaj.“ Przytém Helenka spędza teraz wieczory u pani de Rochechouart, gdzie trafia się zawsze bardzo miła kompania: pani de Choiseul, panny de Conflans, pani de Sainte-Delphine, pani de St.-Sulpice, pani de St.-Edouard, jedném słowem śmietanka miejscowéj „socyety.“ Pani de Saint-Sulpice jest ładna, wesoła i przyjemna; pani de Saint-Eduard ładna, przyjemna i bardzo romansowa, pani de Sainte-Delphine, siostra pani de Rochechouart i przymuszona do klasztoru tak jak ona, ma „lat dwadzieścia sześć, rysy prześliczne, włosy blond cudowne, ogromne oczy niebieskie, zęby najpiękniejsze w świecie, figurę ładną, wyraz twarzy szlachetny, całość jedném słowem najładniejszéj kobiéty, jaką widziéć można“, a dowcip spadkowy w rodzinie Mortemart'ów. Dowcip ten zasypia tylko najczęściéj razem ze swoją właścicielką, która wyciągnięta na fotelu, z krzesłem pod nogami, trawi dni na zaczynaniu robót haftowych, których nigdy nie kończy. Rozmowa, którą kieruje pani de Rochechouart, jest bardzo ożywiona i dotyczy wszystkiego, co się dzieje w Paryżu. Jakoż panie te (zakonnice) spędzają dzień w parloarze, dokąd napływa kwiat towarzystwa stołecznego, pensyonarki same wychodzą ustawicznie na miasto, więc się wié w klasztorze o wszystkiém. Czytają się także nowe książki, te przynajmniéj, jak zapewnia Helenka, których lektura

nie przedstawia nic nieprzystojnego dla młodych wychowanek. Ale domyślać się nam wolno, że cenzura miejscowa jest dość pobłażliwą. O bliźnich nie zapomina się oczywiście w téj kompanii, ale— na wiarę zawsze udzielanych przez Helenkę zaręczeń — przedmiot to rzadziéj i oględniéj daleko dotykany w otoczeniu pani de Rochechouart niż w innych „kołach“ klasztornych, naprzykład w zakrystyi saméj. Tylko pani de Rochechouart razem ze swojém otoczeniem uchodzi za rodzaj trybunału, przed którym wszyscy obawiają się stanąć. Ona i jéj siostra posiadają swój odrębny sposób mówienia i swój „ton“, który udziela się ich wychowankom i staje się przedmiotem podziwu nawet dla dam z wielkiego świata miejskiego.

Jest więc ten *sui generis* salon w murach klasztornych zamknięty, ale ledwie cienką i ustawicznie roztwierającą się ścianą odgrodzony od świata, jak gdyby uwieńczeniem téj zasadniczo światowéj edukacyi, będącéj zadaniem miejscowém. I Helenka rozumié to doskonale; tylko jedna rzecz zawadza jéj w tém nowém stadyum edukacyjnego zawodu: materyalna strona obowiązków zakrystyjnych, która zdaje się być uciążliwą. Może nie jest ona i tak bardzo uciążliwą, ale zawsze daje coś do robienia, owóż Helenka nie cofa się przed wyznaniem, że ma i miała zawsze „trudny do uwierzenia wstręt do wszelkiéj roboty.“

Tymczasem dalsza koléj służbowych doświadczeń gotuje jéj w tym względzie próby nierównie dotkliwsze jeszcze. Po kilkomiesięcznym pobycie w zakrystyi, przychodzi czas na służbę przy składzie *(depôt)*, gdzie trafiają się między zakonnicami same stare zrzędy, z wyjątkiem pani de la Conception (z wielkiego domu Maillebois'ów). Pani de Saint-Romuald ma ośmdziesiąt pięć lat, a pani de Saint-Germain siedmdziesiąt pięć i obie trawią dni na kłóceniu się z sobą. Mylą się ustawicznie w rachunkach i spędzają winę jedna na drugą. Siedzą ciągle, z okularami na nosie, w wielkich księgach archiwalnych, zawierających listy otrzymane przed stu i więcéj laty przez ksienie zgromadzenia, a kiedy pytać je o coś dotyczącego przeszłości klasztoru, żadna nigdy nic nie wié. Raz w kościele, w czasie sumy, pani de Saint-Romuald przypomina sobie tartkę kuchenną, którą pożyczyła swéj towarzyszce, nachyla się przeto do niéj i upomina się półgłosem o zwrot swéj własności. Pani St.-Germain oburza się i oświadcza półgłosem także, ale kategorycznie, że nie wié nic o żadnéj tartce. Pani de Saint-Romuald podnosi głos, tak, że wreszcie wszystkie pensyonarki parskają śmiechem i ksieni zmuszoną jest dla położenia końca gorszącéj scenie, przesłać tym paniom obietnicę, że każda z nich dostanie nową tartkę.

Helenka pociesza się, trawiąc czas na wyśmiewaniu się z tych „mumii“, łącznie z panną de Caumont, jedyną przyjemną towarzyszką, którą tu znajduje, „ładną, dowcipną, ale obraźliwą“. Reszta bowiem na służbie będących pensyonarek nie zaleca się także osobliwemi przymiotami. Jest panna d'Armaillé, „czternaście lat, haniebnie brzydka, mizdrząca się“; panna de Saint-Chamans, „brzydka, z małemi nieproporcyonalnemi nóżkami, ośmnaście lat“; panna de Beaumont „brzydka i kulawa, ale poczciwa“: panna de Sivrac „ośmnaście lat, z wyrazem twarzy szlachetnym, ale podlegająca spazmom i trochę waryatka“; panna de Lévis, „dobra, z twarzą bladą jak księżyc, bez dowcipu, piętnaście lat“.

Ze składu przechodzi Helenka do refektarza, z refektarza do służby przy drzwiach, ztamtąd do koła klasztornego i tak daléj; i wszędzie zapewne towarzyszy jéj ten sam wyżéj wspomniany wstręt, „do uwierzenia trudny“, choć między zmieniającemi się ciągle koleżankami trafiają się teraz niektóre bardzo miłe, jak np. na służbie w klasztorze: panna de Talleyrand, „ładna, miła i powszechnie lubiana“, panna de Périgord, jéj siostra, ładna także; panna de Duras, „ładna i dość miła“, wreszcie panna de Spinola, „zła, niezgrabna, ale bardzo piękna“. Z radością wita ona nakoniec rozkaz powołujący ją do biblioteki, gdzie rządzi wszechwładnie znana nam już pani Sainte-Delphine, i gdzie główną pracą przypadającą nowéj służebnéj pensyonarce zdaje się być dogadzanie upodobaniom téj dostojnéj pani. Główném zaś z tych upodobań jest właśnie nic nie robić.

„Nie mieszała się ona (pani de Sainte-Delphine) do tego co się dzieje z książkami, jak gdyby nie istniały one wcale. Lubiła przecież czytać; ale, kiedy chciała jakiéj książki, pytała o nią panią Saint-Joachim. Czasem, kiedy znajdowała się w swojéj bibliotece i widziała, że zabierają albo przynoszą książki i że pani Saint-Joachim zapisuje to wszystko, nie mogła zrozumiéć jak można zadawać sobie tyle trudu. Poranek cały schodził mi na wypełnianiu rozmaitych powierzonych mi przez nią zleceń; szłam do niéj zwykle po przedstawieniu się pani de Rochechouart rano w klasie. Była ona już o téj porze na rannych godzinkach, kładła się napowrót do łóżka i nie myślała wcale wstawać; wtedy wchodziłam, mówiąc: „Pani! już w pół do dziewiątéj“—„A mój Boże, to być nie może, nie mogę ci wierzyć!“

„Czasem pani de Rochechouart wchodziła do jéj celi, wracając z klas, i wtedy mówiła do niéj: „Moja siostro, wstyd to dla zakonnicy być jeszcze w łóżku.“ Na to pani Sainte-Delphine odpowiadała: „Nie ślubowałam wcale, że mi nie będzie wolno wyspać się

do syta.“ Na to pani de Rochechouart: „Daléj Helenko, dobądź z łóżka moję siostrę“... Gdy już była ubrana, pytałam ją: „Czy nie zapomniała pani czego? -- Nie, odpowiadała, na dzisiaj nic“. Zaledwie zeszła do biblioteki: „Helenko, zapomniałam moję chustkę do nosa“. Biegłam po chustkę i wracałam po to, aby biedz po książkę jakąś i znowu po coś. Biegałam tak cały ranek dla niéj, ale lubiłam ją tak, że mi to było wszystko jedno“.

Ale przeznaczeniem służbowém, które najlepiéj i zupełnie już dogadza Helence jest dopiero ostatnie, długo przedmiotem jéj pragnień będące: w aptece. Damy zakonne są tu wszystkie prawie przyjemne, zacząwszy od pani de Saint-Côme, która udziela Helence i jéj towarzyszkom lekcyi botaniki, uczy je poznawać rośliny i pamiętać ich własności, a skończywszy na pani Sainte-Véronique, „staréj, śmiesznéj i pozbawionéj „zdrowego rozsądku, ale przez to samo zabawnéj“. Obok nich pani de Saint-Laurent, z domu *de Cossé*, dowcipna i roztrzepana“, pani Sainte-Marguerite, „szesnaście lat mająca, dopiero co po obłóczynach i myśląca tylko o zabawie,“ przyczyniają się do uprzyjemnienia pobytu w tym uprzywilejowanym zakątku. W dodatku zaś Helenka spotyka tu najlepsze swoje przyjaciółki: księżnę de Choiseul, już za mąż wydaną w piętnastym roku życia, „ładną, miłą, wesołą, dowcipną, tylko szydzić lubiącą, gwałtowną i skłonną do uniesień“, pannę de Damas, „ładną, pełną wdzięku, ale mającą więcéj żargonu niż dowcipu, szesnaście lat“, pannę de Montrouge, „z oczami najpiękniejszemi w świecie, tylko czarną, łagodną zresztą, nie bez dowcipu, piętnaście lat“; pannę de Conflans, „dosyć ładną, bardzo i oryginalnie dowcipną, piętnaście lat“ (późniejszą margrabinę de Coigny, jedną z najdowcipniejszych kobiet na dworze Ludwika XVI), jéj siostrę, pannę de Vaudreuil, „nie ładną, ubiegającą się za naśladowaniem siostry, ale mniéj dowcipną“.

Mamy udzielony sobie przy téj okazyi i portret saméj autorki pamiętników, „bardzo podobny“, jak zapewnia autorka, którą w każdym razie, jeżeli równą miarą obdzieliła swoje towarzyszki, posądzić nie można o pesymizm.

„Helenka Massalska (ja sama) czternaście lat, ładna, dowcip, wdzięk, zgrabność, figura kształtna, uparta *comme la mule du pape* i niezdolna do powściągnięcia pierwszego porywu“.

Ta ładna, dowcipna i zgrabna ale uparta osóbka czuje się w nowém swém otoczeniu tak szczęśliwą że gotowa, jak mówi, spędzić w niém życie całe. Nie należy jednak przypuszczać, aby i tu czas cały schodził jéj na słuchaniu nauk pani de Saint-Côme lub na przyrządzaniu kataplazmów. Zauważyliśmy już, żę służba rozmai-

tych *obédiences* zabiera przywiązanym do nich pensyonarkom tylko pewną liczbę godzin. Helenka nie zaniedbuje ani nauk dawniejszych ani wiążących się z temi naukami rozrywek. Podczas pobytu w refektarzu, zdarza jéj się tańczyć w balecie p. t. „*Orphée et Eurydice*“, wystawionym na scenie miejscowego teatru, o którym zapewnia, że jest bardzo piękny. Personal baletowy składa się z pięćdziesięciu pięciu tancerek. Panna de Choiseul przedstawia Orfeusza, panna de Damas Eurydykę, Helenka zaś Amorka. Późniéj, w ciągu zimy, przychodzi koléj na przedstawienia dramatyczne. Helenka gra rolę Pauliny w *Polyeukcie*, w którym rola tytułowa przypada pannie de Chatillon a rola Sewera pannie de Choiseul. *Polyeukt* udaje się bardzo dobrze, a jeszcze lepiéj *Cyd*, dzięki zapewne talentowi Helenki w roli Rodryga. Cały Paryż mówi o tych przedstawieniach.

Helenka jest już teraz prawdziwą osobą w małym tym światku klasztornym. Pani de Rochechouart wyróżnia ją stanowczo z pośród wszystkich jéj koleżanek i obchodzi się z nią raczéj jak z przyjaciółką niż jak z podwładną pensyonarką. Jest w téj kobiecie, młodéj, pięknéj, stworzonéj dla świata, a więdnącéj w zakonnéj sukni zdala od jego uciech, choć tak blisko od jego hałaśliwéj wrzawy, jest w ukrywanych starannie fałdach jéj duszy, pewna miarka tęsknoty, rzewności i smutku, cała gamma wiecznie drgających uczuć, cała jedna czuła i obolała strona, która przyrasta jakoś—może do tego właśnie co jest rdzennie polskiego w duszy naszéj Helenki.

„Nie zapomnę nigdy tego, co mi się raz zdarzyło z panią de Rochechouart. Byłam otrzymała wezwanie od niéj, aby ją odwiedzić wieczorem; przyszłam tedy i znalazłam ją otoczoną arkuszami papieru i zajętą pisaniem; nie zdziwiło mnie to, jako rzecz u niéj zwyczajna, ale uderzyło mnie to, że ją zobaczyłam rumieniącą się gwałtownie na mój widok. Kazała mi wziąć książkę i usiąść. Udałam tedy, że czytam, przypatrując się jéj tymczasem pilnie; pisała z nadzwyczajną niespokojnością, pocierając sobie czoło, wzdychając, poglądając do koła oczami rozstargnionemi, jak gdyby jéj myśli biegały gdzieś o sto mil od niéj. Często zdarzało jéj się pisać w ten sposób przez trzy godziny z rzędu; wtedy za najmniejszym hałasem zrywała się, jakby ze snu obudzona i jakby gniewna, że jéj przerwano. Tego dnia zobaczyłam tak wyraźnie łzy napływające jéj do oczu, że pomyślałam sobie, iż może nie jest szczęśliwą. Tak myśląc, patrzyłam na nią: miała arkusz papieru przed sobą, pióro w ręku, usta otwarte, oczy nieruchomie przed siebie patrzące a łzy padały z tych oczu na papiér. Wzruszyło mnie to tak głęboko, że oczy moje zwilżały się także i że nie mogłam powstrzymać się od głębo-

kiego westchnienia; obudziło to panią de Rochechouart, podniosła wzrok na mnie, i, widząc mnie zapłakaną, zrozumiała od razu, że zauważyłam jéj własny niepokój. Wyciągnęła do mnie rękę, giestem bardzo wymownym i czułym, pytając: „Co tobie, moje serce? Pocałowałam jéj rękę i rozpłakałam się na dobre; jęła mnie pytać znowu; wyznałam tedy, że wzruszenie, w którém ją widziałam, nasunęło mi domysł jakiegoś cierpienia w jéj sercu i to dotknęło mnie tak boleśnie. Uścisnęła mnie za to i zamilkła na chwilę, jak ktoś, co namyśla się nad tém, co ma powiedziéć, a potém rzekła mi: „Urodziłam się z wyobraźnią bardzo żywą, i, ażeby dać jéj zajęcie, rzucam na papiér wszystko, co mi ona podsuwa; ztąd ten niepokój, z którym widzisz mnie piszącą całemi godzinami. Ponieważ, między myślami mojemi, są niektóre smutne, wzruszają mnie one czasem aż do łez; samotność, życie kontemplacyjne utrzymują we mnie tę skłonność do oddawania się popędom wyobraźni.“ Zadzwoniono na wieczerzę, kiedy mówiłyśmy jeszcze. Rozstałyśmy się z żalem; od tego czasu czułość pani de Rochechouart dla mnie podwoiła się jeszcze“.

Ale czułość i rzewność łączy się, bardzo polskim także trybem, w charakterze Helenki z rezolutnością, któréj złoży dowody w późniejszém życiu, a która teraz już zapewnia jéj w pensyonarskim mikrokosmosie pewne wybitne, przodownicze stanowisko. W ciągu jéj pobytu w klasie czerwonéj, klasztor staje się widownią nader gwałtownych zaburzeń pseudo-politycznego charakteru. Prawdziwa rewolucya, rozpoczynająca się od aktualnego zamachu stanu przychodzi do skutku. i Helenka odgrywa w niéj jedną z pierwszych ról.

Przyczyną tego kataklizmu staje się jedna z nauczycielek najstarszéj klasy, niejaka pani de Saint-Jérôme, znienawidzona przez pensyonarki, i podobno nie bez słuszności, skoro pani de Rochechouart dopomina się sama o zwołanie kapituły celem usunięcia téj pani z urzędu, który okazuje się nieodpowiednim dla niéj. Na nieszczęście, gdy spowodowane przez nią zgromadzenie przychodzi do skutku, pani de Rochechouart uwięzioną się znajduje w swéj celi przez gwałtowny katar, inne damy zakonne nie śmieją podjąć, w jéj zastępstwie, niemiłéj inicyatywy i pani de Saint-Jérôme pozostaje na miejscu. Prąd rewolucyjny rozwija się od téj chwili z niepowstrzymaną siłą. Tak jak gdzieindziéj, na szerokim świecie, tak i tu zaczyna się wszystko od paszkwilów i mniéj lub więcéj dowcipnych a uszczypliwych konceptów, między którémi trafiają się i nie bardzo przyzwoite, a otwierające ciekawy widok na pewną stronę moralnego rozwoju w tych małych główkach panieńskich i na wykształcony tém *sui generis* klasztorném wychowaniem kierunek

młodocianych wyobraźni. Zjawia się naprzykład na korytarzu, w chwili, kiedy pensya wychodzi z kaplicy po wysłuchanéj mszy św., Dom Rigoley de Juvigny, spowiednik zakonnic. Ponieważ jest on spowiednikiem zakonnic, jak tłómaczy Helenka, nie zaś pensyonarek, przeto te ostatnie nie widzą nic zdrożnego w rozweseleniu się jego kosztem, a ponieważ ma płeć bardzo śniadą i pani de Saint-Jérôme także, przeto któraś odzywa się z tém, że gdyby ożenić ich z sobą, wyszło by z nich potomstwo złożone z „kretów i murzynków“ (*des taupes et des négrillons*). Koncept ten, (który notabene wychodzi z klasy „białéj“, to jest z téj, która przyspasabia się do 1-éj komunii), obiega cały dom i wywołuje powszechną wesołość, nie przyczyniając się oczywiście do natchnienia pani de St.-Jérôme, i tak już surowéj i gwałtownéj, uczuć więcéj łagodnych. Ale pospolitym w historyi wszystkich rewolucyi trybem, głośne koncepta i paszkwile prowadzą do tajnéj agitacyi i do ukrytego sprzysiężenia. Helenka opowiada tę dalszą kolej wypadków, fatalnie do dramatycznego rozwiązania nachylonych, z nader komiczną powagą:

„Zebrałyśmy się w pięć czy sześć z każdéj klasy i postanowioném zostało, że te wszystkie z nas, które nie lubią pani de Saint-Jérôme i gotowe są na wszystko aby ją usunąć, nosić będą kolor zielony, to jest liść, trawę albo wstążkę, jedném słowem coś zielonego; że każda z biorących udział w obecnéj radzie wojennéj postara się o rozpowszechnienie zielonéj barwy w swojéj klasie, i że dla rozpoznawania się i uniknięcia objaśnień, które by podsłuchanemi być mogły, jedna do drugiéj mówić będzie: „Mam cię bez zielonego“, i, że wtedy albo pokazać wypadnie zielone, albo przez niepokazanie go ujawnić, że się nie należy do stronnictwa rewolucyjnego; jeżeli by zaś przez nieśmiałość czy inną jakąkolwiek przyczynę, niektóre zmieniły zdanie, tedy musiałyby zaniechać noszenia spiskowéj barwy; tym sposobem uniknie się nieporozumień co do osób należących do ligi.“

Brakuje już teraz oczywiście okazyi tylko do wybuchu, i ta nie daje długo czekać na siebie:

„Pewnego dnia, w którym miałyśmy rekreacyą z powodu ś-éj Magdaleny, imienia ksieni, wszystkie pensyonarki opuściły wydziały służbowe, ażeby zabawiać się po klasach. Ponieważ rekreacya trwała już od dwóch dni, wszystkie nauczycielki były umęczone, postanowiły tedy iż, dla odpocznienia, zmieniać się będą co godzinę i pojedyńczo przebywać w klasie. Około czwartéj, przyszła kolej na panią Saint-Jérôme i natychmiast postanowiono nie robić nic z tego, co ona powié. Naraz mała de Lastic i mała de St.-Simon poróżniły się o coś i przyszły do tego, że zaczęły bić się z całéj siły; pani

de St.-Jérôme nadbiegła, aby je rozdzielić, i nie pytając która ma słuszność, schwyciła pannę de Lastic za ramię i chciała zmusić ją do klęczenia. Panna de Lastic rzekła jéj: „Zapewniam panią, że nie ja zaczęłam". Na to pani de St.-Jérôme wpadła w gniew straszliwy, schwyciła pannę de Lastic za szyję i rzuciła ją na ziemię tak gwałtownie, że upadła ona na nos i że krew rzuciła się jéj nosem. Skoro zobaczyłyśmy krew, zgromadziłyśmy się dokoła niéj i przysięgłyśmy jéj, że nie tylko nie pozwolimy na to, aby była karaną, ale że wyrzucimy przez okno panią de St.-Jérôme, która zamordowała (*sic*, *assassiné*!) jedną z nas. Pani de St.-Jérôme przestraszyła się tak: dalece krzykami i wrzawą panującą w klasie, że straciła głowę. Bała się, ażeby przy takiém wzburzeniu umysłów, nie dopuszczono się jakiego gwałtu na jéj osobie. Zdecydowała się tedy na odwrót, mówiąc, iż idzie poskarżyć się przed panią de Rochechouart. Błąd to był wielki z jéj strony zostawić klasę bez dozoru w téj chwili. Mortemart (siostrzenica pani de Rochechouart) weszła na stół i rzekła:

„Niech wszystkie te, które noszą zielone, pokażą je, każda ze sprzysiężonych pokazała tedy, że je ma, a te które nie miały, biegły pożyczać od drugich. Widząc stronnictwo nasze w tak poważnéj liczbie, Mortemart oświadczyła, że powinnyśmy opuścić klasę i nie wrócić do niéj inaczéj jak na warunkach korzystnych i dla honoru naszego zadawalniających. Postanowiono tedy przejść przez ogród, opanować kuchnię i spiżarnię i przymusić te panie do kapitulacyi głodem.

„Budynek, w którym znajdują się kuchnie, jest jedno-piętrowy i mieści także spiżarnię, skład mięsa i piekarnię. Kuchnie są w suterenach. Weszłyśmy najpierw do spiżarni, gdzie znalazłyśmy tylko panią St.-Isidore i siostrę Martę. Prosiłyśmy je grzecznie, aby wyszły; przestraszyły się obie tak dalece widząc nas, że oddaliły się natychmiast. Skład mięsa i piekarnia były zamknięte; postanowiłyśmy odbić zamki, poczém, zostawiwszy jedną z pośród siebie na straży w spiżarni, udałyśmy się do kuchni. Zaniepokoiłyśmy się trochę widząc tam sporo osób a między niemi jednę z nauczycielek panią de Sainte-Antoine (z rodziny de Talleyrand), wielce szanowaną przez nas. Zapytała nas: czego chcemy; panna de Mortemart odpowiedziała, żeśmy uciekły z klasy, ponieważ pani de S.-Jérôme rozbiła głowę (*cassé la tête*) jednéj z nas. Przerażona tą wiadomością, nie wiedziała już co powiedziéć; starała się jednak nakłonić nas do powrotu, ale oświadczyłyśmy, że to rzecz daremna. Zostawiła nas wtedy i pobiegła do klasy dla sprawdzenia tego wszystkiego. Pani de St-Amélie, przełożona nad służbą kuchenną, chciała nas wypędzić, ale wyrzuciłyśmy ją za drzwi. Co się tyczy pani de Saint-Sulpice,

szesnaście lat mającéj, ta chciała sama wyjść, ale nie pozwoliłyśmy na to, mówiąc że zatrzymujemy ją jako świadka, że nie zrobiemy żadnéj szkody w domowych zapasach. Chciałyśmy wypędzić tercyarki, ale na uwagę uczyniono przez panią de Saint-Sulpice, że wtedy zostaniemy bez wieczerzy, zatrzymałyśmy tylko siostrę Klotyldę. Potém zaryglowałyśmy drzwi wiodące do refektarza a zostawiłyśmy otworem drzwi od ogrodu, ale ze trzydzieści pensyonarek trzymało straż z téj strony. Wtedy postanowiono zredagować warunki kapitulacyi, które spisane zostały w tych słowach.

Zgromadzone pensyonarki trzech klas z Abbaye-aux-Bois do pani de Rochechouart, przełożonéj.

„Prosimy panią o przebaczenie nam kroku, do którego zniewoliły nas okrucieństwa pani Saint-Jérôme. Żądamy amnestyi ogólnéj względem przeszłości, usunięcia zupełnego pani Saint-Jérôme, tak aby noga jéj nie postała w klasie i ośmiu dni rekreacyi, abyśmy odpoczęły po trudach umysłowych i cielesnych, o które to wszystko nas przyprawiło. Skoro tylko sprawiedliwość wymierzona nam zostanie, przyjdziemy poddać się wszystkiemu temu co podoba się pani rozporządzić względem nas.

„Mamy zaszczyt być z najgłębszém uszanowaniem i najczulszém przywiązaniem, itd.

„*P. S.* Dwie z pomiędzy nas zaniosą tę prośbę; jeżeli nie będą nam one odesłane, poczytamy to za znak, że zwierzchność nie chce wchodzić w układy z nami. Wtedy pójdziemy przebojem szukać pani St.-Jérôme i oćwiczyć ją na czterech rogach klasztoru."

„Panna de Choiseul ofiarowała się zanieść ten list i ja zgodziłam się towarzyszyć jéj. Gdy przybyłyśmy na koniec ogrodu, zobaczyłyśmy mnóstwo osób, zakonnic i tercyarek, przywiedzionych ciekawością zobaczenia co pensyonarki poczną. Ale żadna nie śmiała zbliżyć się do budynku. Gdy spostrzeżono nas, otoczono nas pytając: „A cóż buntowniczki?" Odpowiedziałyśmy, że idziemy zanieść ich propozycye do pani de Rochechouart. Weszłyśmy do jéj celi, ale spojrzała na nas wzrokiem tak surowym, że zbladłam i Choiseul sama, choć odważna, zadrżała. Przedstawiła jéj jednak naszą prośbę; pani de Rochechouart zapytała, czy te panny znajdują się w klasie, odpowiedziałyśmy że nie. „W takim razie, rzekła, nie mam nic do słuchania z ich strony. Możecie zanieść wasze skargi do ksieni, albo do kogo wam się podoba, nie chcę wcale mieszać się do tego, i obrałyście najlepszy środek odstręczenia mnie na zawsze od kierowania takiemi głowami, kwalifikującemi się lepiéj do zajęcia miejsca w jakim regimencie wojskowym niż do nabrania przyzwoitości i ła-

godności, które stanowią właściwy wdzięk kobiéty.“ Byłyśmy w wielkiéj konfuzyi; panna de Choiseul, która miała więcéj odwagi odemnie, rzuciła się jéj do nóg, wyrażając, że każde słowo z jéj ust będzie zawsze dla niéj wyrokiem świętym i że nie wątpi, iż wszystkie jéj towarzyszki myślą tak samo; ale że w sprawie honorowéj wolałoby się umrzeć jak przybrać ten pozór, że się zdradza i opuszcza drugich. „A więc — rzekła pani de Rochechouart — idźcie z waszą odezwą do kogo wam się podoba; ja nie jestem już waszą przełożoną.“ Wyszłyśmy tedy i poszłyśmy do ksieni. Ta przeczytała naszą prośbę, ale nie w naszéj obecności; słyszałyśmy tylko, że posłano po panią de Rochechouart, nie dowiedziałyśmy się zaś co zaszło. Tylko ksieni kazała nam wejść i powiedziała nam, że to rzecz niesłychana! że coś podobnego nigdy nie miało miejsca nawet w męskiém kolegium! i zapytała, kto jest na czele buntu. Odpowiedziałyśmy, że wszystko stało się za sprawą wspólnego chwilowego natchnienia, że zdawało się, iż cała klasa ma jedną duszę.

„Pani de Rochechouart była obecną przy tém, ale nie odzywała się wcale. „Ostatecznie—rzekła ksieni—jeżeli te panny wrócą do klasy, ofiaruję im ogólną amnestyą, oto wszystko co mogę zrobić! Co się tyczy pani Saint-Jérôme, jest to osoba bardzo godna i ta nienawiść do niéj jest prostym kaprysem.“ Zabrałyśmy się tedy z powrotem do kuchni. Gdy wróciłyśmy, otoczono nas: „A cóż, jakie wiadomości? — Żadne!“ odrzekłyśmy smutnie. Opowiedziałyśmy tedy to, cośmy słyszały; zaczém te panny pogodziły się ze swym losem. Poprosiły panią de Saint-Sulpice o wydanie prowiantu. Pani de St.-Sulpice odpowiedziała, że będąc tylko na służbie w kuchni, nie ma kluczy. Wybiłyśmy tedy drzwi do składu mięsa i siostra Klotylda, po niejakim oporze, musiała uledz liczbie i wzięła się do przyrządzania wieczerzy, która była bardzo wesołą. Nadokazywano się do syta, wypito zdrowie pani de Rochechouart i znalazł się dowód przywiązania pensyonarek do niéj w tém, że lękano się tego tylko, ażeby nie opuściła swego stanowiska; ale mówiono sobie, że w głębi serca przebacza ona to wszystko, ponieważ jednym z głównych powodów niechęci żywionéj dla pani Saint-Jérôme była świadomość, iż pani de Rochechouart nie pochwala jéj pobytu w klasie. Co było najlepszego, to to, że pani de Saint-Sulpice, która była wesoła i miła, zachowała w tym przypadku doskonały humor i nie gniewała się wcale za gwałt, którym jéj zadały, zatrzymując ją. Po wieczerzy bawiono się w rozmaite gry i ona bawiła się z nami. Powtarzała, że jéj się zdaje, że oddaną została w zakład i że jeżeli nie otrzymamy satysfakcyi, ona padnie ofiarą. Gdy przyszedł czas spoczynku, urządziłyśmy rodzaj łóżka, z pomocą

słomy, którą wzięłyśmy z podwórza. Postanowiono, że łóżko to będzie dla pani Saint-Sulpice, ale odmówiła i oświadczyła, że trzeba przeznaczyć je dla najmniejszych i najdelikatniejszych pensyonarek. Układziono tedy na niém panny Fitz-James, Villequier, Montmorency i kilka innych, mających po pięć lub sześć lat. Obwiązałyśmy im głowy serwetami i czystemi ścierkami, ażeby nie zziębły. Ze trzydzieści starszych usadowiło się w ogrodzie przed drzwiami, z obawy niespodzianego najścia. Reszta pozostała w kuchni. I tak noc przeszła, częścią na rozmowie, częścią na spaniu, jak było można. Nazajutrz przygotowano się do spędzenia tak samo całego dnia i zdawało się nam, że trwać to będzie całe życie. W klasztorze tymczasem panowało wielkie zakłopotanie, jak dowiedziałyśmy się później. Niektóre z zakonnic radziły sprowadzić straż miejską, ażeby nas przestraszyć; ale pani de Rochechouart oświadczyla, że złem najgorszém byłby skandal wywołany w ten sposób, i że właściwszém jéj zda się sprowadzenie matek tych pensyonarek, które uważać można za przewodzące buntowi. Jakoż przybyły: księżna de Chatillon, pani de Mortemart, pani de Blot i pani du Châtelet. Przyszły do naszego obozu i wywołały swoje córki i siostrzenice. Te nie śmiały stawić oporu i dały się uprowadzić. Wtedy posłano do nas siostrę tercyarkę z oznajmieniem, że klasy otwarte, że teraz dziesiąta i że te, które wrócą do klasy o 12-téj, otrzymają amnestyą ogólną. Naradzano się długo, ale najrezolutniejszych z nas brakło teraz, wróciłyśmy tedy wszystkie i zasiadłyśmy w naszych ławkach. Znalazłyśmy na miejscu wszystkie nauczycielki, nie wyłączając pani de Saint-Jérôme, która miała minę trochę zakłopotaną. Pani de Saint-Antoine odezwała się, że zasłużyłyśmy na karę, ale że był to powrót marnotrawnego dziecka.... Pani de St.-Jean uradowała się wielce z naszego powrotu i oświadczyła, że przykrzyło jéj się w naszéj nieobecności.... Lękano się bardzo chwili, w któréj wypadnie stanąć przed panią de Rochechouart. Nie przyszło do tego aż wieczorem, przy apelu, ale ku wielkiemu naszemu zadziwieniu nie wspomniała ani jedném słowem o tém, co zaszło.... Gdy przyszła na mnie koléj, spojrzała na mnie z twarzą uśmiechniętą i pogłaskała mnie; ucałowałam jéj rękę. Nazajutrz wszystko wróciło do dawnego porządku. Zostawiono panią Saint-Jérôme przez miesiąc jeszcze w klasie, a potém przeniesiono ją do innego wydziału. Było ze trzydzieści pensyonarek, które nie przyłączyły się do buntu, między innemi panna Lévis, tych los stał się godnym litości. Cała klasa prześladowała je bezustanku... u pani de Rochechouart zaś nie zyskało im to wcale osobliwéj łaski. Jedna z nich odezwała się raz do naszéj ukochanéj przełożonéj: „Ja nie należałam do buntu."

„Winszuję bardzo“ — odpowiedziala pani de Rochechouart z miną roztargnioną.

Umysł Helenki korzysta widocznie z tych doświadczeń; jednocześnie atoli przebywa ona inne jeszcze donioślejsze doświadczenia, pozwalające jéj wniknąć w samą już treść tego wielko-światowego życia, które na nią czeka, odsłaniające jéj widok na zakulisowe jego strony, uzupełniające jedném słowem jéj wychowanie ostatnim przyczynkiem z samejże praktyki życiowéj zaczerpniętych wiadomości i przestróg. Ten klasztor osobliwy, z oknami i drzwiami otwartemi na ulicę, jest bardzo osobliwą szkołą.

Stosunek z panną de Choiseul. Tragiczne odkrycie. Historya hrabiny de Choiseul i aktora Clairval. — Małżeństwo panny de Choiseul. — Obłóczyny panny de Rastignac. — Śmierć pani de Rochechouart. — Koniec pamiętników.

Niemasz prawie ustępu w pamiętnikach Helenki, któryby nie zawierał wzmianki o pannie de Choiseul i jéj coraz to bliższych z nią stosunkach.

„Wszystko było wspólném między nami, książki nasze, fatałaszki, miałyśmy wzajemnie klucz od naszych szuflad i nawet od tek zawierających naszą korespondencyą.“

Otóż towarzyszka ta właśnie nad wszystkie najmilsza, zbliża po raz pierwszy Helenkę do jednéj z owych zakulisowych, ciemnych i bolesnych często stron wielkoświatowéj egzystencyi.

„W tym czasie panna de Lévis zrobiła głośno w klasie zarzut pannie de Choiseul z tego, że matka jéj została zamknięta z powodu romansu z komedyantem. Panna de Choiseul, jakkolwiek rozgniewana bardzo, nie pokazała tego po sobie i odpowiedziała: „Matka moja mieszka na prowincyi z własnego upodobania, przynajmniéj tak słyszałam o tém zawsze. Jeżeli jednak to, co waćpanna mówisz jest prawdą, nie będzie to najpiękniejszym rysem w życiu waćpanny, żeś odsłoniła tę prawdę przedemną.“ Cała klasa oburzyła się niezmiernie na pannę de Lévis; wszystkie panienki powiedziały jéj, że jéj postępek jest niegodziwym; że tego rodzaju zarzuty nie rzucają się nikomu w oczy; że żałują niezmiernie, iż coś podobnego miało miejsce w ich klasie i że prosić będą, jako o łaskę o to, ażeby odesłano ją do klasy niebieskiéj dla jéj własnéj dobréj sławy; im więcéj bowiem zbliżoną będzie do dziecinnego wieku, tém większą pobłażliwość zjednać będzie mogła dla podobnego odezwania się.“

Panna de Choiseul przebacza szlachetnie swéj koleżance ten cios bolesny, ale nie może znieść boleśniejszéj jeszcze niepewności, która ją dręczyć zaczyna, témbardziéj, że pewne szczegóły, nasu-

wające się teraz jéj pamięci i jéj rozbudzonéj wyobraźni, każą jéj przypuszczać, że niestety, panna de Lévis powiedziała prawdę. Łzy cisną się jéj do oczu, oddech zatrzymuje się jéj w piersi, podczas gdy stara się zachować pozór obojętności. Nareszcie udaje jéj się wyprawić Helenkę z prośbą o pomoc i radę do pani de Rochechouart. Pani de Rochechouart odpowiada oględnie, że tego rodzaju wiadomości nie dochodzą do niéj oddalonéj od świata, ale ofiaruje się wezwać tę osobę z rodziny panny de Choiseul, którą ona sama wskaże, aby mogła uzyskać od niéj potrzebne objaśnienia. Panna de Choiseul wskazuje księżnę de Gramont, swoję ciotkę, która przybywa, i, niestety, potwierdza obawy biédnéj swéj siostrzenicy, zalecając jéj zachowanie oględnéj i godności pełnéj postawy w obec koleżanek, tak, aby żadna nie śmiała odzywać się do niéj o tym przykrym przedmiocie. Bohaterem romansu, tak niefortunném zakończonego rozwiązaniem jest Clairval, aktor wielkiéj owocześnie używający wziętości nietylko na scenie, ale i po buduarach. Panna de Clermont-Revel, matka panny de Choiseul, wydaną została w piętnastym roku życia za hr. Jakuba de Choiseul-Stainville, który liczył lat 40, którego nie widziała nigdy w życiu, który nareszcie przywołany został nagle z obozu przez brata księcia-ministra, po uprzedniém doprowadzeniu do skutku przedślubnych rokowań, i w sześć godzin późniéj (3 kwietnia 1763) wyprawił się do ołtarza. W cztery lata późniéj, czterdziestoletni małżonek, dowiedziawszy się w obozie o Clairval'owych powodzeniach, przybył poraz wtóry z równą nagłością do Paryża na to, aby porwać niewierną żonę i zamknąć ją w klasztorze Marystek w Nancy, gdzie spędziła już resztę życia. Przed tą katastrofą hr. de Choiseul-Stainville była powiła drugą córkę, któréj hrabia nie przypuścił nigdy do równego z pierwszą podziału łask i dostatków, którą jednak umieścił także w Abbaye-aux-Bois, ale na innéj całkiem stopie, skazując ją na zadawalnianie się losem pospolitych pensyonarek, podczas gdy jéj siostra, przyjaciółka Helenki, używała na równi z tą ostatnią osobnych przywilejów, oddzielnego apartamentu i t. d. Helenka zapewnia, iż przyjaciółka jéj cierpiała bardzo na téj nierówności i starała się wszelkiemi siłami zapobiedz rażącym jéj następstwom, co świadczy o szlachetności charakteru, zadziwiającéj w czternastoletniéj dziewczynie. Ale Helenka nie jest pojedyńczym specymenem wyforsowanéj, normalną miarę rozwoju wyprzedzającéj kultury. Szlachetność ta ma zresztą swój właściwy, rdzennie arystokratyczny charakter. Pojęcie o równouprawnieniu, wyrobione w umyśle panny de Choiseul i jéj rówienniczek, nie sięga po za granicę pewnéj sfery. Zdarza się raz, iż wyłom w murze, na-

glącą potrzebą pewnych restauracyjnych robót spowodowany, zbliża arystokratyczną ludność z Abbaye-aux-Bois do mniéj wykwintnych mieszkanek innego, sąsiedniego klasztoru i innéj pensyi, utrzymywanéj przez Franciszkanki. Helenka znajduje tylko słowa pogardy dla tych cór mieszczańskich, które nie są *comme il faut* i patrzą z należytą konfuzyą na pensyonarski personal, złożony z właścicielek najpierwszych imion francuskich. Wkrótce potém przychodzące do skutku małżeństwo panny de Choiseul ze spadkobiercą książęcego tytułu przywiązanego do jéj własnego imienia, staje się dla Helenki źródłem nowych wrażeń. Nowa księżna opuszcza klasztor na dwa tygodnie, które spędza między Paryżem a zamkiem Chanteloup, przyszłą wspaniałą swą rezydencyą, wśród uroczystości weselnych i zabaw. Poczém wraca do klasztoru, z głową i sercem napełnioném, jak się rozumie, mnóstwem nowych rzeczy, między któremi prym jednak trzymać się zdaje niechęć dla świekry, która nie opuściła podobno jednego dnia bez wyłajania jak należy swéj synowéj. Co się tyczy męża, który notabene ma zaledwie lat siedmnaście, tego kocha młoda księżna szalenie („*à la folie*“), znajdując go wesołym i zabawnym („*drôle*“), ale narzeka na to, iż nie zostawiono ich sam na sam ani na chwilę, mimo któréj to ostrożności potrafił on powiedzieć jéj to i owo, czego jednak skrupuł nie pozwala jéj powtórzyć przed Helenką...

Obok tego weselnego epizodu nastręcza się, jak gdyby dla tém tragiczniejszego kontrastu, inny wręcz przeciwnego charakteru: obłóczyny panny de Rastignac. Obłóczyny,—nawet obłóczyny przymusowe,—nie są rzadkością w klasztorze i widok ich nie budzi zwykle w sercach pensyonarskiego grona żadnych zbyt smutnych uczuć. Los to powszedni całéj licznéj kategoryi dobrze urodzonych dziewic, zanadto dobrze urodzonych, ażeby dostojność ich rodu pogodzić się mogła, po za klasztorem, ze skromniejszą fortuną od téj, która przypada w udziale księżnom de Choiseul i innym szczęśliwszym rówienniczkom; los, z którym młodociane jego ofiary godzą się, bezmyślnie i wesoło, tak jak wspomniana w pamiętnikach Helenki, szesnastoletnia „o zabawie tylko myśląca“ pani Sainte-Marguerite, albo szesnastoletnia także, miła i do pustot wszelkich skłonna“ pani de Saint-Laurent, czy téż znowu z poważną determinacyą i odwagą, jak pani de Rochechouart. Tym razem jednak dzieje się inaczéj. Dwudziestoletnia ofiara, poświęcona na ołtarzu światowéj wielkości Rastignac'ów, gotuje się do czekającego na nią przeznaczenia z wzrastającym z dnia na dzień smutkiem. Młodość jéj cierpi, fizycznie nawet, na zadawanym jéj gwałcie. Wdziawszy już suknie zakonne, dwa razy miała odbyć profesyą i za każdym razem

zapadła na zdrowiu tak ciężko, że musiano odłożyć przygotowaną już uroczystość. Spowiednik jéj Dom Themines, oświadczył się nawet za odroczeniem krzyżowanych w ten sposób ślubów do nieokreślonego czasu. Po dwa kroć odsełano ją do rodziny, ale napróżno. Nakoniec wyznaczono dzień i ogłoszono, że, aczkolwiek chora bardzo, nowicyuszka postanowiła wyrzec swoje śluby.

„W dzień ten wszyscy Hautefortowie, ile ich jest, zapełniali kościół, bo była ona blizką ich krewną. Panna de Guignes niosła świéce przy niéj i służyła jéj za matkę chrzestną, hr. d'Hautefort był jéj kawalerem. Była bardzo ładną; ukazała się najpierw w kościele zewnętrznym na klęczniku, w sukni z białéj krepy, haftowanéj srebrem i osypanéj dyamentami. Zniosła bardzo dobrze kazanie, które wystosował do niéj ksiądz de Marolle, mówiąc, że wielką to jest w oczach Boga zasługą opuszczać świat, kiedy przeznaczoną się jest do tego, aby być w nim uwielbianą i stanowić jego ozdobę. Zdawało się, że mu chodzi o wystawienie jéj na oczy, w najpiękniejszych barwach, wszystkiego z czém rozstać się jéj przyszło, ale zachowała mężną postawę. Po kazaniu hr. d'Hautefort podał jéj rękę i zaprowadził ją do drzwi klasztornych. Skoro tylko weszła, zatrzaśnięto gwałtownie drzwi za nią i zasunięto rygle z wielkim hałasem, miły to bowiem przyczynek do ceremonii, którego nie zaniedbuje się nigdy. Zauważyłyśmy wszystkie, że zrobiło to na nią wrażenie straszne i że zbladła bardzo widocznie. Weszła na dziedziniec klasztorny raczéj umarła, niż żywa; powtarzano zawsze, że to skutkiem złego stanu zdrowia, ale zdawało się nam, że dusza jéj więcéj cierpi, niż ciało. Gdy przybyła do kraty, zamknięto ją, ażeby zdjąć z niéj przywdziane po raz ostatni światowe ozdoby. Miała długie włosy blond; gdy rozpuszczono je, o mało nie krzyknęłyśmy wszystkie, aby przeszkodzić ich ucięciu, i powtarzałyśmy ogólnie: „Jaka szkoda!“ Gdy przełożona nad nowicyatem zapuściła w nie nożyczki, widziałyśmy, jak zadrżała. Złożono jéj włosy na wielkiéj tacy srebrnéj; ślicznie to wyglądało; włożono na nią habit, welon i wieniec z białych róż, poczém otworzono kratę i przedstawiono ją księdzu, który dał jéj błogosławieństwo.

Przyniesiono wtedy fotel do kraty, na którym ksieni usiadła, mając przy sobie dwie asystentki. Panna de Rastignac uklękła przed nią i podała jéj ręce. Formuła ślubów brzmi: „Czynię ślub Bogu, w twoje ręce, Pani, ubóstwa, pokory, posłuszeństwa, czystości i wieczystego zamknięcia, podług reguły ś-go Benedykta, obserwacyi ś-go Bernarda, zakonu Cysterskiego, filiacyi Clairvaux“. Była tak słabą, że zaledwie utrzymać się mogła na kolanach.. Wyglądała, jak gdyby miała mgłę na oczach i nie widziała, gdzie się znajduje; pani de

St.-Vincent, jedna z przełożonych nad nowicyatem, z tyłu za nią stojąca, podpowiadała jéj formułę ślubów słowo za słowem, i ona powtarzała tak samo. Po dopełnionym ślubie posłuszeństwa, gdy przyszło do ślubu czystości, zatrzymała się tak długo, że wszystkie pensyonarki, które napłakały się pierwéj do syta, nie mogły powstrzymać się od ochoty do śmiechu; nareszcie, rzuciwszy oczami w prawo i w lewo, jak gdyby wyglądała czyjéjś pomocy, gdy przełożona zbliżyła się do niéj, mówiąc: „Odwagi! moje dziecię, dopełnij twojéj ofiary!" westchnęła głęboko i dopowiedziała: „czystości i wieczystego zamknięcia" i w téj saméj chwili opuściła głowę na kolana ksieni. Postrzeżono, że mdleje i zaprowadzono ją do zakrystyi.

„Zwyczaj chce, aby profeska szła ucałować kolana wszystkich zakonnic po dopełnieniu ślubów i uściskać pensyonarki. Ale powiedziano, że stan jéj nie pozwala na to i że przyjdzie tylko paść krzyżem pośród chóru. Nic nie wzruszyło mnie nigdy tak mocno, jak widok jéj, kiedy ukazała się na progu zakrystyi, blada jak śmierć, z oczami zgasłemi, podtrzymywana przez dwie zakonnice. Panna de Guignes, która niosła świecę przy niéj, była tak drżąca, że zaledwie mogła stawiać kroki. Pani Sainte-Magdeleine, bo takie imie zakonne przybrała panna de Rastignac, przyszła na środek chóru, gdzie dopomożono jéj do położenia się krzyżem. Przykryto ją całunem i odśpiewano *Misere* La Lande'go, którą to pieśń my śpiewałyśmy, oraz *Dies Irae* i *Libera* Franciszkanów, których muzyka jest przepyszną. Wszystko razem trwało półtory godziny, bo odprawiają nad niemi nabożeństwo za umarłych, ażeby ostrzedz je, że umarły dla świata. Wieczorem, ponieważ miała gorączkę, odprowadzono ją do infirmeryi, gdzie przebyła sześć tygodni. Potém przeznaczono ją do refektarza, ale zdrowie jéj nie poprawiło się. Pozostaje w stanie niemocy i melancholii, którym wszystkich wzrusza i z którego wszyscy starają się wyrwać ją, uprzyjemniając jéj życie."

Innym, żałobniejszym jeszcze i bliżéj ją dotykającym, boleśniéj wstrząsającym czułą strunę jéj duszy epizodem, kończą się pamiętniki Helenki. Po raz pierwszy otwiéra się przed nią, śród małego klasztornego świata, próżnia, któréj, w jéj pojęciu, nic wypełnić nie zdoła. Po raz pierwszy téż budzi się w niéj życzenie opuszczenia tych murów, w których zamknięciu czuła się dotąd zupełnie szczęśliwą: pani de Rochechouart umiéra. Nagle, bez choroby prawie, jak gdyby tęskniąca jéj i ciągłym niepokojem miotana dusza wyrwała się rozpaczliwém wysileniem z przytrzymujących ją więzów. Opowiedziawszy nam boleść swoją, Helenka urywa ciąg swych pensyonarskich wspomnień. Może téż brakuje nam tylko jednego więcéj żółto czy niebiesko oprawnego kajecika. W każdym razie, biograf

jéj dzisiejszy zmuszony jest odtąd uciec się do innych źródeł, do jéj korespondencyi, do korespondencyi jéj rodziny i jéj przyjaciół, do luźnych, tu i owdzie spotykających się zapisków, do zaczerpniętych ztąd i owąd informacyi. Cały zaś, w ten sposób zebrać się dający zapas wiadomości, jest dość ubogim. Ale, jak już ośmieliłem się to wyrazić, strata, którą ponosimy przez to, nie jest podobno zbyt wielka. Zdaje się, iż pragnienie, obudzone w sercu Helenki śmiercią ukochanéj przełożonéj, prędkiego doczekuje się zadośćuczynienia i świetne zrękowiny z przedstawicielem wielkiego Niderlandzkiego domu wprędce wywodzą ją na zawsze z klasztornych progów. Owóż zdaje się także, iż zostawiła ona w tych progach dużo z tego, co było w niéj najlepszego. W księżnie de Ligne, tak jak nam wyobrażać ją sobie pozwalają, tak jak nam wyobrażać ją sobie każą i obce świadectwa i własne jéj okolicznościowe zwierzenia, nie odnajdujemy już naszéj Helenki z tém wszystkiem, co nam ją czyniło tyle powabną—i żal nam stanowczo za Helenką.

Kazimierz Waliszewski.





CZY SIĘ WYRADZAMY?

(Dokończenie).

Wiemy już z pojedynczych wzmianek, że pobór rekrutów w Królestwie Polskiém przedstawia stan sił i zdrowia jego ludności w daleko korzystniejszém świetle, nietylko od Galicyi (1), ale nawet od najlepszych pod tym względem prowincyi austryackich i węgierskich wogóle. Skądże więc w prasie naszéj takie się podniosły rozpaczliwe wołania, skąd powstało twierdzenie o wyradzaniu się „rasy polskiéj“? Rozpacz tę wywołały cyfry następujące.

Na każdy tysiąc rekrutów, zrewidowanych w ciągu lat 10-ciu od r. 1874 do 1883 włącznie, uwolniono od spełnienia powinności wojskowéj z powodu (2):

	za niskiego wzrostu		chorób chronicznych		niedostatecznego rozwinięcia fizyczn.
w Królestwie Polskiém . .	20,0	—	194.7	—	269,9
w Rosyi europejskiéj . . .	14,5	—	145,2	—	151,3
w Rosyi azyatyckiéj . . .	9,2	—	128,7	—	97,3

Królestwo Polskie więc we wszystkich trzech rubrykach przedstawia się gorzéj od ogółu prowincyi Cesarstwa Rosyjskiego, tak europejskich, jak zwłaszcza azyatyckich. Ten to fakt stał się podstawą twierdzenia, że ludność nasza wyradza się. Rozbiór pytania, o ile cyfry powyższe upoważniały do takiego wniosku, odkładamy chwilowo na późniéj. Tymczasem zaś zajmiemy się sprawą, nie-

---

(1) Byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną wprowadzić tu jeszcze do porównania dzielnice polskie pod panowaniem pruskiém zostające. Niestety jednak, pomimo najusilniejszych starań, żadnych danych co do rekrutów tamtejszych nigdzie odszukać nie zdołaliśmy. Gdyby ktoś z czytelników naszych mógł nam udzielić jakichkolwiek wskazówek co do tego przedmiotu, lub nadesłać do redakcyi odpowiednie źródło, bylibyśmy mu za to bardzo obowiązani.

(2) Patrz „Statisticzeskij wremiennik Rossijskoj Imperii.“ Seria III, wypusk 12. Petersburg, 1886.

znaną dotąd publicystom naszym: jaki stan zdrowia wykazują rekruci z różnych prowincyi rosyjskiego berła po przyjęciu ich do służby. Pytanie to ważne dla sprawdzenia, czy wykazana powyżéj różnica cyfr nie jest skutkiem jakichś nieprawidłowości przy poborze, jak to nawet niektórzy przypuszczali. Niestety, okazuje się, że przypuszczenie to było mylne o tyle przynajmniéj, że wzmiankowane nieprawidłowości nie mogły być jedyną przyczyną wygórowanego procentu niezdatnéj do wojska młodzieży naszéj, gdyż i wśród przyjętych okazuje się ona słabszą od rekrutów innego pochodzenia. Poucza nas o tém ciekawa praca d-ra D. Cykielna „Niesposobnyje k służbie nowobrancy“ (1).

Jak wiadomo, przyjęci do wojska rekruci podlegają jeszcze rewizyi lekarskiéj naprzód na t. zw. „punkcie zbornym“, przed wysłaniem ich do odpowiednich pułków, a następnie, po raz trzeci, na miejscu przeznaczenia, gdzie mają służbę odbywać. Wreszcie stosunkowo bardzo wielu nowobrańców uwalnia się czasowo, lub zupełnie w ciągu pierwszego półrocza po wstąpieniu do wojska, jeżeli im zdrowie nie dopisuje. Otóż p. Cykieln na podstawie danych, dostarczonych przez ministeryum wojny za rok 1881 i 1882, obliczył, że w latach tych uwolniono od służby przeciętnie na rok na zbornym punkcie, miejscu przeznaczenia i w ciągu I-go półrocza razem rekrutów:

z Królestwa Polskiego.	6,5%
z gubernii nadbaltyckich (Peter., Infl., Kurl. i Est.)	5,1%
„ „zachodnich“ (Wit., Kow., Wil., Mohil., Mińskiéj, Grodz., Woł., Kijow. i Podolskiéj). .	3,5%
z gub. noworosyjskich (Bessar., Chersońskiéj Ekaterynosławskiéj i Taurykiéj)	2,8%
z gub. małoruskich (Czernieh., Połt., Chark., Woroneskiéj i Ziemi Wojska Dońskiego)	2,3%
z gub. północnych (Arch., Wołog. i Ołon.) . . .	2,3%
z 16 gubernii środkowych	2,2%
z gub. nadwołżańskich (Kaz., Symb., Samar., Saratowskiéj i Astrachańskiéj)	1.5%
z gub. przyuralskich (Perm., Wiat., Uf., i Orenb.) .	1,3%

I tu więc znowu Królestwo Polskie zajmuje miejsce najbardziéj niekorzystne. Na pociechę możemy wprawdzie dodać za p. Cykielnem, że zdrowie rekrutów naszych wystawione jest na najcięższą próbę ze wszystkich prowincyi Cesarstwa, gdyż odbywają oni służbę po większéj części w guberniach wschodnich, a więc w klimacie znacznie ostrzejszym od tego, do jakiego nawykli. Licha to bez-

(1) „Wojenno-Medicinskij Żurnał.“ Knižka dlewiataja. Czast' CLI. Ptbg, 1884.

wątpienia pociecha dla rekrutów, ale zdrowotność ludności naszéj przedstawia w cokolwiek lepszém świetle. Zwracamy przytém uwagę czytelników na fakt, że i tu im daléj jakaś miejscowość posunięta jest na północ i wschód, tém mniejszy wykazuje procent ludzi słabych.

Również niekorzystnie o siłach fizycznych ludności naszéj świadczą cyfry podziału nowobrańców według wzrostu. Kiedy bowiem w Rosyi europejskiéj i azyatyckiéj największa liczba ludzi przypada na rubrykę wysokości ciała 2 arsz. i 5 werszków do 2 arsz. i 6 werszków, Królestwo Polskie tymczasem daje największą liczbę w rubryce 2 arsz. 4 w. do 2 ar. 5 w. Wyjątek w tym względzie stanowią tylko gubernie: Suwalska, Siedlecka i Lubelska. Jest to jednak znowu dla rasy polskiej smutna pociecha, gdyż w pierwszéj z tych gubernii było pomiędzy rekrutami 62% Litwinów, a w drugiéj 23% i w trzeciéj 20% Rusinów. Możnaby więc przypuszczać, iż stąd właśnie pochodzi większy wzrost przeciętny ich ludności.

Przyjrzyjmy się teraz cyfrom szczegółowym dla każdéj gubernii Królestwa zosobna. Na pierwszém miejscu stawiamy tę z nich, która dała wogóle najmniejszy procent niezdatnych do służby, i szeregujemy je daléj według postępu rosnącego. Otóż na 1000 rekrutów od roku 1874 do 1883 uwolniono przeciętnie z powodu:

	małego wzrostu		chorób chronicznych		niedostatec. rozwinięcia fizycznego		ogólem
1) w gub. Suwalskiéj . . .	15,1	—	145,5	—	224,5	—	385,1
2) „ Płockiéj . . .	20,5	—	164,8	—	229,5	—	414,8
3) „ Piotrkowskiéj .	16,2	—	135,6	—	265,5	—	417,3
4) „ Warszawskiéj .	18,7	—	220,5	—	257,1	—	496,3
5) „ Lubelskiéj . .	4,8	—	132,1	—	363,0	—	499,9
6) „ Radomskiéj . .	21,3	—	194,8	—	283,8	—	499,9
7) „ Siedleckiéj . .	20,3	—	222,8	—	260,1	—	503,2
8) „ Łomżyńskiéj . .	27,5	—	257,6	—	230,7	—	515,8
9) „ Kieleckiéj . . .	37,6	—	159,8	—	331,6	—	529,0
10) „ Kaliskiéj . . .	21,0	—	288,7	—	223,1	—	532,8

P. Popławski uszeregował te gubernie w „Głosie“ wyłącznie według rubryki pierwszéj i, znalazłszy, że najmniéj rekrutów za niskich daje Lubelska, a następnie idą: Suwalska, Piotrkowska, Warszawska i Siedlecka, oraz zauważywszy, że wszystkie te gubernie właśnie posiadają największy procent ludności obcoplemiennéj (Piotrkowska—Niemców i Żydów, Warszawska—Żydów, o Suwalskiéj, Lubelskiéj i Siedleckiéj już mówiliśmy), doszedł do wniosku, iż „jakiekolwiek przyczyny wpływają na wyradzanie się ludności

w kraju naszym, objaw ten występuje najwyraźniéj pomiędzy ludnością rdzennie polską." Daléj tenże autor postawił hypotezę, iż przyczyną owego wyradzania się mogą być „pewne właściwości rasowe", w późniejszych zaś artykułach swoich traktował to przypuszczenie jako fakt dowiedziony i pewny. Przedewszystkiém winniśmy tu zaznaczyć, że cyfry powyższe nie upoważniają bynajmniéj do twierdzenia o jakiémkolwiek „wyradzaniu się", gdyż ażeby wogóle można było o niém mówić, należałoby porównać stan sił zdrowia ludności w r ó ż n y c h c z a s a c h i wykazać, że dawniéj był lepszy, niż dzisiaj. Tego jednakże nikt dotąd nie dowiódł.

Ściśle biorąc, co do różnic rasowych możnaby z cyfr powyższych z istotném prawdopodobieństwem wyprowadzić jedynie wniosek, że L i t w i n i odznaczają się silniejszą budową ciała i wyższym wzrostem, niż Polacy, gdyż gubernia Suwalska wyróżnia się rzeczywiście bardzo dodatnio pod tym względem z pomiędzy innych gubernii Królestwa. Prawdopodobieństwo to zamienia się w pewność po porównaniu cyfr poboru rekruckiego w gub. Wileńskiéj i Kowieńskiéj. W pierwszéj z nich uwolniono z powodu słabéj budowy 112,5‰, w drugiéj 120,6‰, czyli przeszło o połowę mniéj, niż w Królestwie Polskiém. Wprawdzie rekrutów za nizkich dała gub. Kowieńska cyfrę cokolwiek znaczniejszą nawet (22,5‰) od przeciętnéj dla Królestwa (20‰), lecz tablica wzrostu przyjętych do wojska nowobrańców przekonywa nas, iż ludność tamtejsza nie ustępuje pod względem wysokości ciała gub. Suwalskiéj, chociaż nie dorównywa może w zupełności Wileńskiéj; wszystkie trzy zaś górują bardzo widocznie nad guberniami polskiemi.

Co do właściwości rasowych Rusinów, Niemców i Żydów, cyfry ogólne dla pojedynczych gubernii Królestwa nie upoważniają do żadnych wniosków, gdyż drugie miejsce wśród nich zajmuje gubernia Płocka, jedna z najbardziéj czysto-polskich, gub. Lubelska stoi na piątém, Siedlecka na siódmém, a Kaliska, posiadająca prawie równie znaczną liczbę Niemców (10,2%), jak Piotrkowska (12,8%) — na ostatniém. Trzebaby więc chyba umyślnie pragnąć wywyższenia wszystkich narodowości po nad naszą, ażeby na podstawie cyfr podanych twierdzić, że degeneracya ludu najwyraźniéj występuje w guberniach czystopolskich. Gdybyśmy chcieli posługiwać się tak powierzchowną metodą, jak p. Popławski, to posiadamy cyfry, które pozwoliłyby nam tak sztucznie „zwyrodnić" Rusinów, jak to on uczynił z Polakami, naturalnie, nie w złych zapewne zamiarach względem swego narodu, ale przez jakieś dziwne, a szkodliwe, zdaniem mojém, rozmiłowanie się w malowaniu go zawsze na czarno. P. Cykieln we wzmiankowanéj pracy swojéj

przytacza następujące cyfry przeciętne roczne uwolnionych z wojska nowobrańców przy rewizyi drugiéj i trzeciéj i w ciągu pierwszego półrocza służby:

z gub. Siedleckiéj . .	129‰	z gub. Płockiéj . .	64‰
„ Łomżyńskiéj . .	100‰	„ Kieleckiéj . .	52‰
„ Piotrkowskiéj .	73‰	„ Radomskiéj .	47‰
„ Lubelskiéj . .	69‰	„ Warszawskiéj	46‰
„ Kaliskiéj . . .	(*)	„ Suwalskiéj . .	37‰

Jak czytelnicy widzą, z cyfr tych mógłbym łatwo sposobem p. Popławskiego zfabrykować sadze dla uczernienia dzielności fizycznéj nietylko Rusinów z gub. Siedleckiéj i Lubelskiéj, ale nawet Niemców z Piotrkowskiéj i Kaliskiéj. Z rozpatrzenia innych cyfr jednakże okazuje się, iż rzeczywiście Rusini, podobnie jak wszystkie inne narodowości i plemiona Cesarstwa Rosyjskiego, mieszkające daléj na wschód od Polaków, odznaczają się silniejszą od nas budową ciała i mniejszą liczbą ludzi dotkniętych chorobami chronicznemi. Dowodzą tego cyfry poboru wojskowego, odnoszące się do tych gubernii, w których Rusini stanowią główną masę ludności. I tak: w gubernii Kijowskiéj (81,5‰ Rusinów) (1) uwolniono ogółem 297,4‰, w Wołyńskiéj (72,4‰ Rusin.)—374,1‰, w Podolskiéj (70,2%)—311,9‰. Godny zastanowienia jest fakt, że kiedy wszystkie te trzy gubernie wykazują rekrutów uwolnionych czasowo z powodu słabéj budowy ciała i uleczalnych chorób chronicznych procent znacznie mniejszy, niż najlepsze z gubernii polskich, Rusini z gub. Lubelskiéj tymczasem dają takich rekrutów znacznie więcéj, niż Polacy w najgorszych pod tym względem guberniach Królestwa. Gubernia ta bowiem wogóle przedstawia się w rubryce uwolnionych czasowo najgorzéj ze wszystkich gubernii polskich, a w niéj Rusini jeszcze gorzéj od Polaków. Przekonywają nas o tém cyfry szczegółowe, obliczone dla każdéj narodowości z osobna według powiatów, w pracy d-ra Snigirewa *O rezultatach oswidietielstwowanija i izmierenija grudi i rosta lic, prizwannych k wojennoj służbie w 1875 godu* (2) I tak uwolniono:

(*) Dla gubernii Kaliskiéj podano przez omyłkę w cyfrze przeciętnéj tylko 28‰, lecz z cyfr szczegółowych widać, iż zajmuje ona miejsce pośrednie pomiędzy guberniami Lubelską i Płocką.

(1) Według Edwarda Czyńskiego: „Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiéj." Warszawa, 1887. Odbitka z miesięcznika „Wisła."

(2) Patrz „Wojenno-Miedicinskij Żurnal". Czast' CXXXIII. Petersburg, 1878.

	stale (1) Polaków	stale (1) Rusin.	czasowo (2) Polaków	czasowo (2) Rusin.
w pow. Chełmskim . .	178‰	126‰	366‰	477‰
„ Hrubieszowskim (3)	93‰	61‰	163‰	190‰

Zanotować tu nadto winniśmy, że zarówno Polacy, jak Rusini, zamieszkali w gub. Lubelskiéj (4), odznaczają się wogóle wyższym wzrostem, niż ludność innych gubernij polskich, oraz że mają ludzi bardzo nizkich i bardzo wysokich procent znacznie mniejszy, niż gubernie mało-ruskie. Niezmiernie ciekawy ten fakt powinienby zainteresować naszych etnografów. Ja objaśniać się go nie odważam. Zwracam tylko uwagę na to, że wytłómaczyć go niepodobna ani właściwościami rasowemi żadnéj z dwóch narodowości, ani skrzyżowaniem się ras, gdyby je nawet można było przypuszczać dla całéj gubernii. Silna bowiem budowa, cechująca Rusinów wogóle, powinnaby oddziałać dodatnio na ludność tamtejszą, tymczasem gubernia Lubelska daje znacznie wyższy procent rekrutów słabo rozwiniętych, aniżeli nawet najgorsza i wyjątkowo upośledzona pod tym względem gubernia czysto polska—Kielecka. Mniejszy znowu wzrost Polaków powinienby tam zwiększyć liczbę rekrutów za małych w stosunku do ich ilości w guberniach małoruskich, tymczasem w rzeczywistości znajdujemy zjawisko wprost przeciwne: w gub. Lubelskiéj rekrutów za małych 48 na 10.000, w Kijowskiéj 90, w Podolskiéj 106, w Wołyńskiéj 132. W gubernii Lubelskiéj więc spotykamy ludność wyróżniającą się zupełnie odrębnemi cechami budowy ciała od ogólnych cech obu narodowości, z jakich się ta ludność składa. Cechy te są przeto chyba wytworem warunków czysto miejscowych: właściwości gleby i klimatu, oraz ekonomicznego położenia ludu. I te warunki wszakże nie są jednakie we wszystkich miejscowościach gubernii; to téż ich rozmaitość zapewne wywołuje takie wybitne różnice w zdrowotności mieszkańców, jakie dostrzegamy w przytoczonych wyżéj cyfrach poboru wojskowego w powiecie Chełmskim i Hrubieszowskim, lecz, czy to ogólny rezultat wszystkich tych warunków razem wziętych, czy też jeden z nich, najprzeważniejszy, musi wywierać wpływ je-

(1) Z powodu za małego wzrostu, ułomności i chorób nieuleczalnych

(2) Z powodu niedostatecznego rozwinięcia fizycznego i chorób uleczalnych.

(3) Co do Rusinów w innych powiatach gubernii Lubelskiéj, posiadających znaczniejszy ich procent, dr. Snigirew żadnych danych nie przytacza. Wyłącznie z powodu słabéj budowy cielesnéj uwolniono w r. 1875:

w pow. Chełmskim	Polaków 223‰	Rusinów 324‰
„ Hrubieszowskim	„ 47‰	„ 112‰.

(4) Z wyjątkiem pow. Biłgorajskiego i Janowskiego.

dnostajny, kiedy się on tak wybitnie ujawnia w liczbach przeciętnych dla całéj gubernii. Za przypuszczeniem, że muszą tu działać jakieś warunki czysto miejscowéj natury, przemawia jeszcze ta okoliczność, iż w gubernii Siedleckiéj, posiadającéj ludność zupełnie takiego samego składu plemiennego i tak samo nawet ustosunkowaną pod względem procentu Rusinów, cyfry rekrutów za nizkich i za słabéj budowy ciała żadnéj analogii z gub. Lubelską nie przedstawiają i nie odróżniają się nawet niczém szczególném od gubernij czystopolskich. Przegląd zaś cyfr szczegółowych, odnoszących się do poboru w téj gubernii Rusinów i Polaków zosobna w r. 1875, daje rezultat podobny do tego, jaki otrzymaliśmy wyżéj przy porównaniu obu tych plemion wogóle, czyli korzystniejszy dla Rusinów tak w rubryce uwolnionych od służby stale, jak czasowo.

Przejdźmy teraz do porównania stanu zdrowia Polaków z Niemcami i Żydami w Królestwie. Pod tym względem już cyfry dla całych gubernii niczego nas pouczyć nie mogą, gdyż procent ludności niemieckiéj i żydowskiéj jest w nich zbyt mały, żeby czy to jedna, czy druga mogła ujawnić dość wyraźnie swój wpływ w tym, lub innym kierunku. Musimy się więc znowu tutaj uciec do pracy d-ra Snigirewa. Według jego obliczenia, uwolniono od powinności wojskowéj w r. 1875 w całém Królestwie Polskiém ogółem:

	stale	czasowo
Polaków	177‰ . . .	206‰
Niemców	187‰ . . .	214‰
Żydów	297‰ . . .	295‰

Cyfry te dowodzą, że zamieszkali w kraju naszym Niemcy nie odznaczają się bynajmniéj lepszém od nas zdrowiem i że p. Popławski, przypisując im obniżanie procentu rekrutów niezdatnych do wojska w gubernii Piotrkowskiéj, zbyt śmiało bujał na skrzydłach fantazyi.

Kiedy znane już nam rezultaty liczbowe poboru wojskowego w państwie Rosyjskiém zostały ujawnione i przysięgli pessymiści prasy warszawskiéj podnieśli kwestyą mniemanego wyradzania się ludu naszego, z wielu stron dały się słyszéć głosy, że na podwyższenie u nas procentu niezdatnych do wojska wpływa znaczna liczba osiadłych w kraju naszym Żydów, którzy, jak wiadomo, i faktycznie należą do ras wyjątkowo słabych i umieją lepiéj, niż ktokolwiek inny, wykręcać się rozmaitymi nielegalnymi sposobami od niebezpiecznéj służby. Że głosy te, wbrew zaprzeczeniom p. Popławskiego, miały zupełną słuszność, przekonywa nas aż nadto wymownie podany wyżéj rezultat badań d-ra Snigirewa. Według niego bowiem, Żydzi dają więcéj od Polaków o 120 uwolnionych stale i o 89 nie przy-

jętych czasowo. Ponieważ zaś stanowią oni 1/7 ludności Królestwa, przeto podnoszą cyfrę przeciętną niezdatnych stanowczo do służby o 17, a niezdatnych czasowo o 13 na tysiąc.

Dotąd porównywaliśmy plemiona w Królestwie Polskiém liczniéj rezprzentowane głównie tylko pod względem ich właściwości ujemnych, a mianowicie stosunkowéj liczby ludzi nizkich, słabo rozwiniętych fizycznie i chorych, jaką każde z tych plemion przy poborze do wojska wykazało. Cyfry jednakże zebrane przez d-ra Snigirewa pozwalają nam na dokładniejsze ich porównanie pod względem wzrostu i siły budowy cielesnéj. Skorzystajmy więc z tych danych. I tak tedy średni wzrost (rubryka pierwsza), średni obwód piersi (rubr. II) i średni wskaźnik piersiowy, czyli stosunek obwodu piersi do wzrostu (rubr. III) wynosił:

		I.	II.	III.
u Wielko i Małorusinów z Królestwa		— 1,639 m.	— 0,869 m.	— 0,530
u Litwinów	„	— 1,639 m.	— 0,864 m.	— 0,527
u Niemców	„	— 1,639 m.	— 0,858 m.	— 0,524
u Polaków	„	— 1,627 m.	— 0,847 m.	— 0,520
u Żydów (1)	„	— 1,613 m.	— 0,802 m.	— 0,497

Polacy więc w Królestwie są przeciętnie o 1 centymetr, Żydzi o 2½ cm. niżsi od Rusinów, Litwinów i Niemców. Te ostatnie zaś trzy plemiona nie różnią się pod względem wzrostu średniego. Co do krzepkości budowy cielesnéj Rusini i Litwini z jednéj strony, a cokolwiek szczuplejsi Niemcy i Polacy z drugiéj przedstawiają się pomiędzy sobą prawie jednakowo. Żydzi są nietylko najsłabiéj zbudowani, ale tak bardzo wątli, że obwód piersi nie dosięga u nich średnio nawet połowy wysokości ciała, czyli téj wielkości, która uznana została za minimum u ludzi zdrowych. Z powodu takiego znaczenia owego minimum, ważniejszą jeszcze, niż średnia wielkość wskaźnika piersiowego, jest cyfra ludzi, u których obwód piersi nie dosięga, równa się, lub przenosi połowę wzrostu. Otóż z pomiędzy

---

(1) Według obliczeń prof. Majera średni wzrost, obwód piersi i wskaźnik piersiowy w Galicyi przedstawia się, jak następuje:

u Polaków . . .	(I) 1,622 m. —	(II) 0,831 —	(III) 0,512.
u Rusinów . . .	„ 1,640 m. —	„ 0,843 —	„ 0,514.
u Żydów	„ 1,623 m. —	„ 0,794 —	„ 0,489.

Porównawszy cyfry te z podanemi wyżéj, dochodzimy do wniosku, że w wieku powołania do służby wojskowéj Polacy galicyjscy są niżsi, Rusini tego samego wzrostu, Żydzi wyżsi od swych jednoplemieńców z Królestwa Polskiego. Tak zaś jedni, jak drudzy i trzeci galicyanie są znacznie wątlejsi od kongresowiaków tejże narodowości, a nawet Rusini galicyjscy odznaczają się uderzająco większą szczupłością ciała od Polaków z Królestwa, przypominając pod tym względem stosunek, jaki zauważyliśmy poprzednio w sąsiadującéj z Galicyą wschodnią gubernii Lubelskiéj.

każdego tysiąca rekrutów było w Królestwie Polskiém, posiadających obwód piersi:

	mniejszy	równy	większy
	od	połowy	wzrostu.
wśród Litwinów	117 —	35 —	848
„ W. i Małorusinów . . .	186 —	41 —	773
„ Polaków	188 —	47 —	765
„ Niemców	206 —	58 —	736
„ Żydów	491 —	57 —	452

Według téj tabliczki Litwini przedstawiają stosunek wyjątkowo dobry, Rusini i Polacy znacznie mniéj korzystny od nich, lecz dość pokaźnie lepszy od Niemców. Wreszcie, cyfry, odnoszące się do Żydów, malują ich siły fizyczne i zdrowie w nadzwyczaj czarnych barwach. W zwierciedle tych liczb odbija się wyraźnie nędza, ciemnota i niechlujstwo motłochu wyznawców Mojżesza.

Dla wyrobienia sobie jednak dokładnego pojęcia o stanie sił i zdrowia ludu naszego, musimy jeszcze porównać go pod tym względem z ludnością krajów zachodnio-europejskich.

Zaczynamy od wzrostu, co do którego posiadamy najwięcéj i najdokładniejszych danych. Tak więc przy poborze z lat, które przytaczamy w nawiasie, nie dosięgło, podanéj dla każdego kraju, miary wzrostu z pomiędzy tysiąca zrewidowanych rekrutów (1):

w Królestwie Polskiém (1875) . . .	do 1,556 m.	— 110
w Holandyi (1878—83)	„ 1,550 m.	— 57
we Francyi (1848—67)	„ 1,560 m.	— 93
w Saksonii (1852—54)	„ 1,557 m.	— 147
w Belgii (w r. 1875)	„ 1,560 m.	— 61
we Włoszech (1875)	„ d-o	— 159
w Bawaryi (w siódmym dzies. n. stól.)	„ 1,555 m.	— 43
w Prusach „	„ 1,569 m.	— 172.

Wskazane tutaj minima wzrostu w rozmaitych krajach różnią się o 3 do 10 milimetrów, co utrudnia ich porównanie. Ze szczegółowych jednak danych, jakie posiadamy dla Francyi, Królestwa Polskiego i Saksonii, spostrzegamy, że na wzrost 1,56 do 1,57 m., lub bardzo zbliżony do téj miary przypada od 30 do 35 ludzi. Możemy więc przytoczone wyżéj cyfry sprowadzić w przybliżeniu do jednakiéj miary 1,56 m., powiększając je, lub zmniejszając w stosun-

(1) Cyfra dla Królestwa Polskiego stosuje się wyłącznie do rekrutów narodowości polskiéj i obliczona została na podstawie tablicy, opracowanéj przez d-ra Snigirewa. Liczby, odnoszące się do Holandyi, Francyi i Saksonii, zaczerpnęliśmy z dziełka d-ra A. Bertillona *La taille de l'homme en France*; dla innych zaś krajów z dzieła J. E. Jansona *Srawnitielnaja statistika Rossii i zapadno-ewropiejskich gosudarstw*. Petersburg, 1878.

ku 25 na 1 centymetr dla krajów, posiadających mniéj ludzi nizkich od Francyi, i w stosunku 40 na 1 cm. dla Prus, które przedstawiają się pod tym względem widocznie gorzéj nawet od Saksonii i Królestwa Polskiego. Wprowadziwszy tę przybliżoną poprawkę, otrzymamy w rezultacie, że na 1,000 rekrutów nie dosięga wzrostu 1,56 m.:

w Bawaryi	56	w Król. Polskiem . .	125
w Belgii	61	w Prusach	140
w Holandyi	82	w Saksonii	156
we Francyi	93	we Włoszech	159

Z tabliczki téj możemy wyprowadzić wniosek, że, o ile większy, lub mniejszy procent ludzi nizkich, charakteryzuje wzrost danéj ludności wogóle, czyli o ile odpowiada mniejszemu, lub większemu wzrostowi średniemu, Polacy są przeciętnie niżsi od Bawarów, Belgów, Holendrów i Francuzów, lecz wyżsi od Prusaków, Sasów i Włochów. Słuszność zaś bezwarunkową takiego wniosku potwierdzają dane szczegółowe co do różnych kategoryj wzrostu wyższego, jakie mamy dla Belgii, Holandyi, Francyi, Saksonii i Włoch (1). Co do Francuzów wreszcie w wieku poboru rekruckiego posiadamy dokładną cyfrę wzrostu średniego. Wynosi on według obrachowania d-ra A. Bertillona 1,642 m., czyli prawie tyleż, co u Rusinów galicyjskich, a o 1½ centym. więcéj, niż u Polaków z Królestwa. W Austryi w r. 1873, według Majera, średnia wysokość wszystkich popisowych Niemców, Czechów i Rumunów była 1,633 do 1,659, tj. znacznie większa, niż u Polaków; Madziarzy zaś, Słowacy i Chorwaci przenosili nas wzrostem bardzo nie wiele, gdyż dosięgali średnio tylko 1,633 m. W każdym razie jednak ze wszystkich porównań naszych wynika, że Polacy należą do narodowości mniejszego, chociaż nie najniższego wzrostu w Europie. Naturalnie, nie można jeszcze nic z tego wnosić o odporności rasy polskiéj na wpływy wrogie zdrowiu, jak to uczynił „*Głos*,“ gdyż odporność ta nie jest bynajmniéj proporcyonalna do wzrostu, ale raczéj do stosunkowéj krzepkości budowy ciała, która znowu nie zawsze odpowiada wzrostowi. Owszem, badania antropometryczne wykazały nawet, że ludzie wysocy są zazwyczaj zbudowani stosunkowo słabiéj od niskich jednéj i téj

(1) Danych tych nie przytaczamy tutaj dlatego, że, z powodu niejednakowego podziału tablic dla różnych tych krajów, musielibyśmy każdy z nich porównywać osobno z Królestwem Polskiém, dla którego posiadamy podział najbardziéj szczegółowy, a mianowicie co ¼ werszka (11 milim.). Zajęłoby nam to więc za wiele miejsca bez wyraźnego pożytku dla celu, do jakiego w niniejszéj pracy zmierzamy. Ciekawi zaś czytelnicy będą mogli poznać tą rzecz dokładnie z „Charakterystyki wzrostu i budowy ciała ludności Królestwa Polskiego i północno-zachodnich gubernij cesarstwa“, którą opublikujemy wkrótce w kwartalniku etnograficznym „Wisła“.

samej rasy (1). Rozumie się jednak, że przy porównywaniu ras różnych bywają pod tym względem wypadki rozmaite. Winniśmy tu nakoniec dodać jeszcze, iż według obliczeń antropologa francuskiego, Topinarda (2), wzrost średni człowieka dojrzałego w ogólności wynosi 1,65 m., lub cokolwiek mniéj. Ponieważ zaś skończony wzrost średni Polaków w Galicyi jest, jak już wiemy, 1,648 m., a w Królestwie może nawet cokolwiek więcéj, przeto biorąc pod uwagę wiek dojrzały, można powiedziéć, iż należymy do ludów wzrostu średniego, lecz prawdopodobnie rozwijamy się powolniéj od wielu innych.

Stosunkowego rozwinięcia klatki piersiowéj u różnych narodowości na podstawie procentu rekrutów, uwolnionych od służby w rozmaitych państwach, wcale, niestety, porównywać nie można, gdyż w każdém państwie inne pod tym względem są wymagania. Dane zaś zagraniczne co do średniego obwodu piersi posiadamy tylko z jednych Austro-Węgier. Wynosił on mianowicie w r. 1873, według prof. Majera, u popisowych Czechów i Madziarów 0,842 m., u Niemców i Słowaków 0,816 do 0,842 m., u Rumunów i Chorwatów 0,816 m., czyli u wszystkich tych narodowości mniéj, niż u Polaków w Królestwie. Ponieważ zaś, jak widzieliśmy wyżéj, wzrost średni wszystkich tych kategoryi rekrutów w tymże roku był większy od wzrostu średniego Polaków z kongresówki, przeto wynika z tego, że ludzie wszelkich narodowości, osiadłych w Austro-Węgrzech, odznaczają się stosunkowo wątlejszą budową od nas, przynajmniéj w wieku poboru wojskowego.

Ogólnego procentu rekrutów, nieprzyjętych do wojska w różnych państwach z powodu chorób i ułomności, porównywać nie można dla téj saméj przyczyny, jaką wskazaliśmy wyżéj co do niedostatecznego rozwinięcia fizycznego. Musimy więc tutaj wdać się w szczegóły, o ile je posiadamy dla zagranicy dzięki cytowanéj już pracy d-ra Myrdacza. Nadmieniamy przytém, że podawane tu przez nas cyfry dla Królestwa Polskiego mieszczą w sobie nie tylko rekrutów uwolnionych stale i czasowo, lecz zarazem i wszystkich tych, którzy zaliczeni zostali do zapasu *(opołczenija)* z powodu jakiéjś danéj choroby, czy ułomności, nie rozwiniętéj do tego stopnia, żeby przeszkadzała stanowczo wypełnieniu powinności wojskowéj, lub téż oddani do szpitala dla bliższego zbadania, albo wyleczenia. Tym sposobem cyfry dla kraju naszego będą co-

---

(1) P. D-ra Titeca *Faiblesse de complexion et prédisposition à la phtisie pulmonaire.* Potwierdza również to spostrzeżenie prof. Majer i d-r Snigirew.

(2) *Etude sur la taille.* cyt. u Majera.

kolwiek za wysokie, gdyż z pomiędzy oddanych do szpitala wielu chorobę tylko udaje. Czy liczby, odnoszące się do państw zagranicznych, obejmują również takich wątpliwych chorych, nie wiemy na pewno, lecz z wyrażenia „uznano za niezdatnych“ *(wurden als untauglich erkannt)*, należałoby przypuszczać odpowiedź raczéj przeczącą, niż twierdzącą. Wreszcie dodajemy, że cyfry dla Królestwa Polskiego stosują się wyłącznie tylko do rekrutów narodowości polskiéj. Otóż na tysiąc zrewidowanych popisowych okazało się niezdatnych do służby z powodu:

1) wszelkich chorób ocznych i wad wzroku: w Austryi 24,5 ([1]), w Węgrzech 23,9, w Szwajcaryi 58 ([2]), we Francyi 32,3 ([3]), w Anglii 48,4 ([4]), w Królestwie Polskiém 20,2.

2) przepuklin brzusznych *(Unterleibsbrüche)*: w Austryi 15,6, w Węgrzech 14,2, w Szwajcaryi 31, we Włoszech 16,5 ([5]); wszelkich przepuklin (Hernien): we Francyi 33,5, w Anglii 11,7, w Król. Polskiém 20.

3) wola: w Szwajcaryi 88, we Włoszech 8,9, we Francyi 13,4, w Król. Polskiém 2,5; wola i krzywéj szyi: w Austryi 61,1, w Węgrzech 21,5, w Król. Polskiém 2,6.

4) rozszerzenia żył w nogach: w Austryi 36,8, w Węgrzech 26,3, we Włoszech 5, we Francyi 19,4, w Król. Polskiém 20.

5) rozszerzenia żył w sznurkach nasiennych: w Austryi 14,6, w Węgrzech 12,2, we Francyi 16,6, w Anglii 12,7, w Król. Polskiém 8,8, a właściwie nawet mniéj, gdyż cyfra ta obejmuje już zarazem u nas choroby jąder, o których w innych krajach nic nie wiemy.

6) braku i pruchnienia zębów: w Austryi 1,9, w Węgrzech 0,5, we Francyi 18, w Król. Polskiém 0,7.

7) skrofuł: w Austryi 8,2, w Węgrzech 7,3, we Francyi 17, w Król. Polskiém 6,5.

8) kretynizmu i obłędu: w Austryi i Węgrzech 1,3, we Francyi 6,9, w Król. Polskiém 2,6 (kret. 0,1, obł. 2,5).

9) padaczki: w Austryi 0,7, w Węgrzech 0,9, we Francyi 2,7, w Król. Polskiém 2,2.

10) chorób usznych: w Austryi 4,7, w Węgrzech 6,8, w Królestwie Polskiém 7,6.

([1]) W przecięciu za rok 1870—82. Tak samo w Węgrzech.

([2]) W roku 1884.

([3]) W latach 1850—69.

([4]) W r. 1873—79. Ponieważ w Anglii nie ma powszechnego obowiązku służby wojskowéj, lecz armia tworzy się z ochotników, na których zgłaszają się naturalnie ludzie przekonani o swojéj zdatności, przeto cyfry, odnoszące się do tego kraju, są zapewne znacznie niższe, aniżeli byłyby przy ogólnym poborze.

([5]) W latach 1874—78.

11) cierpień serca: w Anglii 22,2, w Król. Polskiém 5,2.

12) syfilisu: w Anglii 14, w Król. Polskiém 0,5.

Co do innych chorób w części nie posiadamy żadnych danych zagranicznych, w części zaś są one tak rozmaicie ugrupowane, że porównać ich niepodobna. W każdym razie jednak już z tego krótkiego przeglądu najczęściéj zdarzających się cierpień łatwo spostrzedz, że chyba tylko jedni Włosi z pomiędzy wymienionych w zestawieniu narodów zachodnio-europejskich są od nas zdrowsi. Wszystkie inne przedstawiają się wogóle gorzéj od nas pod tym względem. Zwracamy przytém uwagę na ten ciekawy fakt, że Szwajcarowie, których nikt podobno dotąd o zwyrodnienie nie pomawiał, dają rekrutów niezdatnych do wojska z powodu 4-ch zaledwie chorób, a mianowicie: ocznych (58‰), wola (88), przepuklin brzusznych (31) i płaskiéj stopy (38), znacznie więcéj (razem 215), aniżeli Polacy z powodu wszystkich cierpień i ułomności ogółem (176,9). Podobnież Francuzi z powodu 11 tylko głównych chorób, które również uwalniają od wojska i u nas, wykazują niezdatnych do służby więcéj (183,7), niż my wszystkich razem. To samo mniéj więcéj znajdujemy w Austryi i Węgrzech, a i w Anglii nawet pomiędzy ochotnikami spotykamy większą cyfrę chorych (z wyjątkiem rubryki przepuklin), niż wśród naszych rekrutów branych do rewizyi bez jakiegokolwiek wyboru.

Z zestawień powyższych widzimy, że zamożniejsze i wyżéj ucywilizowane od nas narody zachodnio-europejskie mają ludzi słabo rozwiniętych fizycznie, a zwłaszcza dotkniętych chorobami chronicznemi i ułomnych więcéj niż my, podobnie jak u nas jest ich więcéj, niż w Rosyi, a w Rosyi europejskiéj znowu więcéj, niż w azyatyckiéj. Porównywając wzrost średni rozmaitych narodowości nie dostrzegliśmy bynajmniéj takiéj analogii, jaką tu znajdujemy. Panująca tam rozmaitość, w któréj nie podobna się doszukać żadnego porządku, żadnego określonego kierunku w spadku, lub podnoszenia się cyfry średniéj przy przejściu z kraju do kraju, ze wschodu na zachód, z północy na południe, od narodów ciemniejszych i biedniejszych do zamożniejszych i wyżéj oświeconych, narzuca nam wniosek, że różnice wzrostu u rozmaitych ludów biorą głównie źródło we właściwościach rasowych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. I warunki klimatyczne, topograficzne, a zwłaszcza ekonomiczne, jakeśmy to wykazali na rekrutach saskich, wywierają bezwątpienia pewien wpływ bardzo wyraźny wśród ludzi jednéj rasy, lecz oddziaływanie ich nie jest widocznie na tyle potężne, żeby mogło znieść przyrodzone różnice rasowe ludów różnego pochodzenia plemiennego. Na poparcie tego zdania dość przytoczyć fakt,

że narody tak zamożne, jak Francuzi i Sasi, ustępują, zwłaszcza ci ostatni, bardzo znacznie pod względem wzrostu średniego swéj ludności wymierającym z głodu Irlandczykom (1), a jednocześnie zarazem i najbogatszemu w Europie narodowi—Anglikom (2).

Inaczéj zupełnie, jak zauważyliśmy, przedstawiają się stosunki pod względem zdrowia ludności. Tu już spostrzegamy w kierunku od wschodu na zachód, od krajów mniéj do więcéj oświeconych i gęściéj zaludnionych — rozpatrując rzeczy z gruba — stałe pogorszenie. Fakt tak ogólny musi miéć jakąś ogólną przyczynę. Otóż, zdaniem mojém, bierze on głównie źródło w podtrzymywaniu życia, w krajach wyższéj cywilizacyi, jednostek słabo rozwiniętych fizycznie i chorowitych, które w krajach mniéj oświeconych wymierają. Spotykamy tu skutki tego „chowu medycznego", przeciwko któremu wymownie piorunował Haeckel w swoich „Dziejach utworzenia przyrody." W przekonaniu o słuszności tego poglądu utwierdza mnie fakt, że śmiertelność tak ludzi wogóle, jak zwłaszcza dzieci maleńkich, zmniejsza się w tym samym kierunku, w którym procent ludzi słabowitych wzrasta. Sprawdza się to nawet w granicach samego państwa rosyjskiego. Tak w przytoczoném przez nas ugrupowaniu gubernii przez d-ra Cykielna, jak przy uważném rozpatrzeniu cyfr w „Statist. Wremienniku Ross. Imperii", spostrzegamy, że procent rekrutów uwolnionych z powodu chorób i niedostatecznego rozwinięcia fizycznego wzrasta w kierunku od wschodu i północy ku południo-zachodowi. Prof. Janson zaś, podzieliwszy gubernie Rosyi europejskiéj na 5 grup według coraz mniejszych cyfr śmiertelności dzieci, dochodzi do wniosku, że „największy procent zmarłych w pierwszym roku życia przypada na Rosyą północną (za wyjątkiem gub. Archangielskiéj) i wschodnią (za wyłączeniem gub. Kazańskiéj i Ufimskiéj); ku zachodowi zaś, a szczególniéj ku południowi zmiejsza się" (3). Różnice pomiędzy oddzielnemi guberniami zawierają się pomiędzy 125‰ (Wileńska) i 438‰ (Permska). Gdybyśmy przeprowadzili linią prostą od Rygi do Nowoczerkaska, to znaleźlibyśmy, że wszystkie gubernie, leżące na zachód i południe od téj linii, wykazują śmiertelność niemowląt

(1) Wzrost średni mężczyzn dojrzałych Irlandczyków wynosi, według Topinarda, 1,698 m., Francuzów 1,658 m. Wzrostu średniego Sasów nie znamy, lecz wiemy, że jest on niższy od średniéj wysokości Polaków, którzy, ogólnie biorąc, w wieku dojrzałym są zapewne równi Francuzom, jak to należy wnosić z cyfry znalezionéj przez prof. Majera dla dojrzałych Galicyan.

(2) Wzrost średni mężczyzn dojrzałych 1,708.

(3) „Srawnit. Statistika Rossii i zap. ewr. gos." tom I, str. 233.

mniejszą od 200‰; wszystkie, leżące na wschód i północ, większą od téj cyfry i to tém większą, im daléj w kierunku północo-wschodu są posunięte. Wyjątek od téj reguły stanowi głównie gubernia Ufimska (187‰), ale zapewne tylko na papierze, dzięki niedokładności statystyki, bo innych powodów téj dziwnéj wyjątkowości doszukać się byłoby trudno. Zaznaczony tu kierunek zmniejszania się śmiertelności dzieci w Cesarstwie Rosyjskiém ma bezwątpienia przyczynę nietylko w różnicach stopnia oświaty ludu, ale zarazem gęstości zaludnienia i ostrości klimatu. Rzecz naturalna, że tam, gdzie po lekarza, lub lekarstwo trzeba jechać mil kilkanaście, lub kilkadziesiąt, śmiertelność musi być znaczna, zwłaszcza gdy choroby nie pozostawia się naturalnemu biegowi, ale słucha się szkodliwych rad znachora. Podobnież musi organizacye słabe usuwać w większéj ilości ostrzejszy klimat. Bądź-co-bądź jednak, wszystkie te przyczyny razem składają się na jeden i ten sam skutek, a mianowicie, że przy życiu utrzymują się tylko jednostki silniejsze i zdrowsze kosztem powolniejszego wzrostu zaludnienia.

Dla Królestwa Polskiego cyfry śmiertelności niemowląt nie posiadamy, lecz jest ona zapewne w podobnym stosunku do cyfry Cesarstwa, jak procent śmiertelności ogólnéj w jednym i drugim z tych krajów. W roku zaś 1885 np. zmarło ogółem na 10,000 ludności w Cesarstwie 351, w Królestwie tylko 258 (*). Że wreszcie większy procent ludzi słabych i chorowitych w Królestwie Polskiém wynagradza szybszy wzrost ludności, niż w Rosyi europejskiéj i azyatyckiéj, dowodzą najlepiéj cyfry poboru rekruckiego. Od roku bowiem 1874 do 1883 wzrosła liczba młodzieży popisowéj:

w Królestwie Polskiém .	z 52,385 do 78,398,	czyli	o 49,7%
w Rosyi europejskiéj . .	z 623,150 —728,149,	„	o 16,8%
„ azyatyckiéj . .	z 27,154 — 34,429,	„	o 26,7%

Gdybyśmy z cyfr tych (1), których dokładność z pewnością jest większa, niż wszelkich innych obliczeń ludności w państwie, mogli sądzić o powiększaniu się zaludnienia wogóle, to doszlibyśmy do wniosku, że w Królestwie Polskiém wzrasta ono 3 razy szybciéj, niż w Rosyi europejskiéj, i dwa razy śpieszniéj, niż w azyatyckiéj. Znacznie większy przyrost w téj ostatniéj, niż w Rosyi europejskiéj, tłómaczy się zapewne w części przyłączeniem nowych ziem, w części zaś immigracyą dobrowolną i przymusową. I w Kró-

(*) Patrz „Sbornik swiedienij po Rossii za 1884—1885 g." Petersburg 1887.

(1) Wziąłem je z cytowanego już kilkakrotnie „Statisticz. Wrem. Ross. Imperii." Seria V, wypusk 12.

lestwie bezwątpienia immigracya musi odgrywać również poważną rolę, lecz nie można w żadnym razie kłaść na jéj karb całéj różnicy szybkości ruchu ludnościowego w kraju naszym i Cesarstwie wobec tego, że różnica ta utrzymuje się obecnie stale. Przekonywają nas o tém nowsze jeszcze cyfry poboru rekruckiego. Mianowicie ogólna liczba popisowych podskoczyła w r. 1885 w Królestwie Polskiém do 84,387, czyli w stosunku do r. 1883 o 7,64%, w Rosyi europejskiéj do 739,529, a więc zaledwie o 1,56%, w Rosyi azyatyckiéj do 35,106, t. j. o 1,96% (*). Tu już różnica pomiędzy Rosyą europejską i azyatycką, jest daleko mniejsza, tymczasem dla Królestwa jeszcze korzystniejsza, niż poprzednio. W ciągu bowiem 2 lat od r. 1883—85 liczba młodzieży popisowéj wzrosła w kraju naszym 5 razy znaczniéj, niż w Rosyi europejskiéj i blisko 4 razy więcéj, niż w azyatyckiéj. I pomyślmy tylko, przyjrzawszy się tym cyfrom, że okoliczność, iż na 100 rekrutów jest w Królestwie 4-ch chorych (licząc już razem z tymi, którym się udało wykręcić od służby pomimo dobrego zdrowia) więcéj niż w Cesarstwie, nasunęła „Głosowi“ „pomimowoli złowieszcze, rozpaczliwe pytanie: jeżeli mamy zmarnieć, w y m r z é ć (!!) jako rasa, to jaki cel mają wszystkie usiłowania, wszystkie prace nasze?“ Czyż ta pessymistyczna nadwrażliwość organu „partyi ludowéj“ na wszelkie objawy ujemne, zakrywająca przed jego wzrokiem wszystko, co by go mogło w strapieniu pocieszyć, nie robi wrażenia „pomimowoli“ komicznego?

Wykazując, że w z g l ę d n i e szybszy przyrost ludności, o ile on w jakimś kraju jest pożądany, wynagradza poniekąd społeczeństwom wyższéj cywilizacyi straty, ponoszone na wzroście liczby jednostek słabo rozwiniętych i chorowitych, nie chcemy przez to bynajmniéj twierdzić, że straty te nie przynoszą szkody doskonaleniu się rasy. Ludzie słabi i chorowici, łącząc się ze zdrowymi i silnymi, obniżać muszą bezwątpienia przymioty fizyczne potomstwa. Wychowanie hygieniczne w warunkach dobrobytu może w wielu wypadkach ujemne wpływy dziedziczności zniweczyć, lub osłabić, lecz wśród warstw ludności biednéj i ciemnéj zachowują one całe swoje znaczenie. Cóż jednak na to począć, kiedy względy humanitarne nie pozwalają nam powrócić do surowych obyczajów spartańskich? Pocieszajmy się więc tém, że w cywilizowanéj walce o byt zwyciężają nie olbrzymi o żelaznych muskułach, ale narody wyżéj oświecone, i w myśl téj prawdy pracujmy nad podniesieniem oświaty i dobrobytu mas, nie stawiając sobie ślamazarnego pytania, „na co się zdały wszystkie usiłowania nasze, jeżeli mamy wymrzéć jako

(*) Patrz cytowany wyżéj „Sbornik swied. po Rossii za 1884—1885 g.“

rasa", kiedy faktycznie nie wymieramy, ale owszem—rozradzamy się coraz szybciéj i liczniéj.

Pozostaje nam tylko jeszcze do rozstrzygnięcia zagadka, czy w ostatnich lat dziesiątkach stan zdrowia i sił fizycznych ludności Królestwa Polskiego podlegał jakimś widocznym zmianom, czy nie, i w jakim kierunku? W badaniu téj kwestyi musimy poprzestać na cyfrach, odnoszących się do poborów po r. 1874, gdyż dopiéro od tego czasu zaprowadzony został powszechny obowiązek służby wojskowéj i jednakowy sposób poboru w całém państwie. Nadto, i w tym czasie nawet, do porównania mogą być użyte jedynie cyfry rekrutów, uwolnionych z powodu za małego wzrostu i chorób chronicznych, gdyż co do rozwinięcia fizycznego od r. 1878, czy 79 wymagania zostały zmienione. Do téj daty mianowicie żądano, ażeby minimalny obwód piersi wynosił połowę wzrostu mniéj ½ werszka, następnie zaś przepisano za *minimum* całkowitą połowę wzrostu. Skutkiem tego procent uwolnionych z powodu słabéj budowy ciała zwiększył się znacznie w całém państwie.

Cyfry rekrutów uwolnionych od służby w latach 1863—68, jakie znaleźliśmy w wydawnictwie N. N. Obruczewa (1), są wogóle kilka razy mniejsze od cyfr po r. 1874, przyczém Królestwo Polskie tak co do wzrostu, jak rozpowszechnienia chorób i „wad cielesnych" *(tielesnych niedostatkow)* (2) przedstawiało się w ich zwierciedle dużo l e p i é j od Rosyi europejskiéj, z wyjątkiem 10 różnych gubernii, dla każdéj rubryki innych. Stosunek więc ludności Królestwa do Cesarstwa pod względem cech fizycznych układać się miał naówczas wprost przeciwnie, aniżeli po r. 1874. Ponieważ jednak 6 lat czasu nie mogło sprowadzić tak gwałtownego „zwyrodnienia", którego w latach następnych, jak to zaraz zobaczymy, żadnego już śladu nie ma, przeto źródła tego paradoksu cyfrowego szukać wyłącznie należy w niejednakowym sposobie dokonywania poboru w obu wzmiankowanych dzielnicach państwa. Ta téż okoliczność, łącznie ze zmianą wymagań wprowadzoną przez nową ustawę, tłómaczy nam znów równie paradoksalne różnice pomiędzy cyframi dawniejszemi i obecnemi dla jednych i tych samych miejscowości.

Podzieliwszy cyfry z lat 1874—83 na dwa pięciolecia, otrzymamy uwolnionych przeciętnie na tysiąc:

---

(1) „Wojenno-statisticzeskij sbornik", wypusk IV, „Rossia." Petersburg 1871.

(2) Uwolnionych w Królestwie Polskiém przeciętnie za pięciolecie było: z powodu za małego wzrostu (*minimum* 2 arsz. i 3 werszki) 18; z powodu „wad cielesnych" 71 i chorób chronicznych 57 n a t y s i ą c.

	Z pow. mał. wzrostu. 1874—78	1879—83	Z pow. chorób chron. 1874—78	1879—83
w gub. Suwalskiéj . . .	14,8 —	15,4 —	192,9 —	115,0
„ Płockiéj	24,7 —	18,3 —	193,1 —	149,1
„ Piotrkowskiéj . .	19,4 —	13,7 —	178,1 —	103,8
„ Warszawskiéj . .	15,9 —	19,6 —	213,2 —	223,3
„ Lubelskiéj . . .	11,1 —	1,7 —	195,1 —	91,6
„ Radomskiéj . . .	12,6 —	27,3 —	195,3 —	196,8
„ Siedleckiéj . . .	26,0 —	18,1 —	232,0 —	216,6
„ Łomżyńskiéj . .	33,3 —	25,0 —	237,3 —	268,2
„ Kieleckiéj . . .	50,5 —	32,3 —	167,4 —	151,5
„ Kaliskiéj	26,1 —	16,9 —	298,1 —	282,1
w Królestwie Polskiém .	23,2 —	18,6 —	211,6 —	184,9
w Rosyi europejskiéj . .	17,0 —	13,1 —	146,5 —	145,5
„ azyatyckiéj . .	10,4 —	9,0 —	132,6 —	127,4

Gdybyśmy mogli zupełnie zaufać dokładności cyfr powyższych, to musielibyśmy wyprowadzić z nich wnioski dla poprawy wad fizycznych ludności w dzielnicy naszéj bardzo pomyślne. Za wyjątkiem bowiem gubernii Warszawskiéj i Radomskiéj w obu rubrykach, oraz Łomżyńskiéj w rubryce chorób, wszystkie inne wykazują tak co do wzrostu, jak zdrowia rekrutów znaczne polepszenie. Porównywając całe Królestwo Polskie z Rosyą europejską i azyatycką, spostrzegamy, że na 10,000 zrewidowanych popisowych w latach 1879—83 było mniéj, niż w 1873 — 78, za nizkich: w pierwszém o 46, w drugiéj o 39, w trzeciéj o 14, chorych zaś w Król. Polskiém o 267, w Rosyi europ. o 10, w azyatyckiéj o 52. U nas więc poprawa bezwzględnie największa. Obliczywszy ją zaś procentowo, znajdujemy, że wynosi ona co do rekrutów za niskich w dzielnicy naszéj 19,8%, w Rosyi europ. 22,9%, w azyatyckiéj 13,4%; co do chorych, wyliczając w tym samym porządku: 12,6%, 0,7% i 3,9%. Ludność więc Królestwa przejawia wybitnie znaczniejszą poprawę zdrowia niż Ceserstwa.

Powiedzieliśmy, że skutkiem powiększenia wymagań co do minimalnego obwodu piersi, cyfry uwolnionych z powodu słabéj budowy w całém państwie wzrosły. I tu jednakże znowu spotykamy fakt bardzo dla nas pocieszający, a mianowicie, że wzrost cyfry Królestwa jest mniejszy i absolutnie i procentowo, niż obu dzielnic rosyjskich. Uwolniono bowiem na każdy tysiąc rekrutów z powodu słabéj budowy cielesnéj:

	w 1873—78	w 1879—83	Procent przyrostu cyfry
w Królestwie Polskiém . .	251,7 —	280,5 —	11,4%
w Rosyi europejskiéj. . .	113,4 —	177,6 —	56,6%
„ azyatyckiéj . . .	62,0 —	122,9 —	98,2%

Winniśmy tu zaznaczyć, że w kraju naszym największy przyrost cyfry słabo zbudowanych, po wprowadzeniu co do nich nowego przepisu, wykazała gubernia Lubelska. Liczba takich rekrutów podskoczyła w niéj z 291,5 do 408,5‰ (czyli o 40%). Jest to zapewne najwyższa cyfra w całém państwie. Zbliża się już ona do stosunku galicyjskiego, a przenosi silnie nawet również wyjątkowo wysoką cyfrę gub. Kieleckiéj, w któréj było rekrutów niedostatecznie rozwiniętych fizycznie w pięcioleciu pierwszém 324,5, w drugiém — 331,7‰. Fakt ten potwierdza uczynione wyżéj przez nas spostrzeżenie co do specyalnych cech budowy cielesnéj Lubliniaków, które ich zbliżają do ludności Galicyi wschodniéj.

Również pomyślnie dla kraju naszego przedstawiają się cyfry z r. 1884 i 1885. W drugiém z tych lat bowiem było popisowych znacznie więcéj (84,387), niezdatnych zaś pomimo to we wszystkich rubrykach nawet absolutnie mniéj, niż w pierwszém (82,112). Mianowicie uwolniono w całém Królestwie Polskiém:

	z powodu				
	małego wzrostu		chorób chronicz.		nierozwinięcia fizycznego
w roku 1884	1,039	—	7,848	—	13,417
„ 1885	994	—	6,354	—	10,604
czyli w r. 1885 mniéj o	4,3%	—	19%	—	21%

Przypomniawszy sobie o energicznych środkach, przedsięwziętych w całém państwie ostatnimi czasy przeciwko przekupstwu komisyi poborowych, nie możemy wprawdzie zupełnie polegać na prawdziwości tego polepszenia stosunków, jakie wykazują wszystkie cyfry powyższe, lecz w żadnym razie nie mogą one służyć za dowód „wyradzania się“ ludności Królestwa Polskiego. Ale kto wié?... Zwaryowany pessymizm niektórych naszych dziennikarzy potrafi niekiedy wywracać cudowne koziołki logiczne, jakoby dla zachęty do... pracy nad poprawą warunków obecnych. Nam się jednak zdaje, że pewniejszą do niéj zachętą jest wiara we własne siły i przyszłość własną, niż powątpiewanie o nich (1).

(1) W części pierwszéj pracy niniejszéj popełniliśmy omyłkę skutkiem przeoczenia. Mianowicie porównywając Galicyą z Królestwem Polskiém, powiedzieliśmy, iż w drugiém jest rekrutów, nie dosięgających wzrostu 1,556 m., 66, a w gubernii Kieleckiéj 95. Powinno zaś być dla całego Królestwa 110, a dla gub. Kieleckiéj 134. Upraszam czytelników o sprostowanie tego błędu.

Władysław Wścieklica.



Z POWODU
NIEZNANEGO POEMATU XV WIEKU,
KTÓRY ODNALAZŁ DR. KĘTRZYŃSKI.

Mając sobie nadesłaną (23 listopada 87 r.) przez łaskawego na mnie d-ra Kętrzyńskiego rozprawkę „o nieznanéj epopei z XV wieku“, którą szanowny dyrektor zakładu Ossolińskich czytał 13 października r. z. na walném zgromadzeniu tegoż zakładu, pośpieszamy z jéj treścią podzielić się z naszymi czytelnikami. Sądzimy, że w ten sposób potrafimy najodpowiedniéj wyrazić naszą wdzięczność szanownemu ofiarodawcy. Drobiazgowy, może za drobiazgowy rozbiór wszelkich twierdzeń lub uwag dr. K. dalekim był w naszéj myśli od jakiegoś nicowania obcéj pracy. Raczéj sądziliśmy, że poważne zastanowienie się nad każdą myślą poważnego badacza, jest najodpowiedniejszym hołdem dla poważnéj jego pracy. Jeśli zdarzyło się nam zanadto subtylizować w ciągu pisania niniejszego, niech raczy darować uczony autor. Przedmiot przez niego podjęty gorąco leży nam na sercu i podbudza silnie choćby wyobraźnię, jak najpiękniejsza poezya.

Autor zacytowawszy dowody istnienia pieśni, jak sądzi, „treści historycznéj i mytologicznéj“ (str. 5), począwszy od XIII wieku, przechodzi następnie do głównego zadania swego referatu. Jest niém przedrukowanie, spolszczenie i objaśnienie urywku epicznego, jaki znalazł w rękopisie N. 171 biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, a którego przedmiotem jest zatarg rodu Gruszczyńskich i Oleśnickich o miasto Koźmin. Autorem tego zatraconego w większéj części poematu mieni dr. Kętrzyński kanonika gnieźnieńskiego Mikołaja Kotwicza.

Poświęceniem 10 stron tekstu na 18 wykazaniu, że z dowodów piśmiennych wypływa fakt istnienia pieśni polskich bohaterskich, sz. autor upoważnił nas do rozpatrzenia pracy jego z dwu punktów widzenia równoważnych. Raz bowiem wypadnie zbadać kwestyą, o ile cytowane przez autora dowody popierają jego tezę—bytu epopei polskich. Powtóre rzeczona epopeja o Koźminie, ilością stron porównana z pierwszą tezą, zwrócić musi naszą uwagę.

Przystępując do pierwszego zadania, wyznać musimy, że na wstępie rzucone przez autora pytanie, czemu nasza pieśń ludowa jest przeważnie liryczną, gdy u innych ludów słowiańskich poezya uderza w ton epicki (str. 5), podnosi fakt nie poraz pierwszy zauważony, a rzeczywiście ciekawy i uderzający. Sz. autor w odpowiedzi na własne pytanie stara się najprzód dowieść ze świadectw źródłowych, że u nas w XIII wieku „jeszcze“, istniały utwory, które „opiewały zdarzenia z przeszłości pogańskiéj, w których historya mięszała się z mytologią polską“ (str. 6). Po rozwinięciu téj tezy, sz. autor powtóre wyjaśnia zagładę utworów epickich u ludu prostego zmianami polityczno-społeczno-literackiemi, zaszłemi w łonie społeczeństwa naszego, które po XIII wieku zobojętniły lud prosty dla wątku dziejowego, a szlachtę znowu skierowały do obcych wzorów literackich. Tym sposobem, gdy w wieku XVI zwrócono się znowu do języka polskiego, „już było zapóźno. Społeczeństwo nasze było się już pozbawiło swojéj pierwotnéj tradycyi, która nie spisana przez nikogo, przepadła dla nas niepowrotnie“ (str. 9).

Ta część argumentacyi sz. autora nie o wiele różni się od teoryi Czarnockiego z początku bieżącego stulecia, który łacinie i wogóle cywilizacyi zachodniéj przypisywał zagładę bogatéj literatury polskiéj przedchrześciańskiéj. Wybitną różnicą tezy d-ra Kętrzyńskiego, od teoryi Czarnockiego jest brak fanatycznéj zaciętości, jaka ożywiała Zoryana Dołęgę Chodakowskiego przeciw katolicyzmowi i szlachcie, dwom głównym sprawcom (jego zdaniem) rzeczonéj zagłady, wypielęgnowanym przez cywilizacyą zachodnią.

Nie ulega kwestyi, że okoliczności powołane przez sz. autora na wytłómaczenie zagłady pierwiastku epicznego w literaturze ludowéj mają wiele prawdopodobieństwa, i że na ich karb wiele można złożyć. Zdaje nam się jednak, że w obu częściach odpowiedzi na pierwsze pytanie, danéj sobie przez autora, wypada zrobić niejakie modyfikacye, do których zdaje się skłonić nas powinien rozbiór dotychczasowéj drukowanéj literatury ludowéj.

Godząc się mianowicie na fakt istnienia polskich epopei ludowych, w epoce tak przedchrześciańskiéj jak i chrześciańskiéj przed wiekiem XIII, (lubo nie na zasadzie cytowanych przez sz. autora

dowodów, o czém niżéj), pozwalamy sobie wierzyć, że chociaż upadek polityczno-socyalny ludu, jego wyłączenie z życia dziejowego i umysłowego w końcu XV wieku dokonywające się, zobojętniło go dla dalszéj historyi narodowéj, jako wykonywanéj tylko przez szlachtę, i odebrało ochotę temuż ludowi (z małym wyjątkiem) do czerpania z niéj wątku dla swéj muzy; przecie muza ta nie zamarła zupełnie, i dla szlachty nie była obcą nawet i w XVI wieku.

Fakt zresztą zauważony przez autora (str. 7), że pieśń „gdy jeszcze nie było dziejopisarzy“ „zastępowała historyą“, tłómaczy w sposób, który „nie sprzeciwia się zdrowemu rozsądkowi“, zamarcie epiki ludowéj w epoce kronik, mianowicie jako konieczność literacką to zamarcie przedstawia. Pismo zabija pamięć, pargamin dławi pieśń. Gdy można było zachować w inny sposób zdarzenia godne pamięci niż wierszem i ustną tradycyą, rzecz naturalna i konieczna, iż te dwa ostatnie środki i źródła epicznéj opowieści słabły w użyciu, wychodziły z praktyki. Do sprowadzenia tego rezultatu, nie było nawet potrzeba zmian politycznych i społecznych.

Przypuszczając działanie kronik, historyi pisanéj, na zastój muzy epickiéj, nie twierdzimy jednak zarazem, by dzisiejsza, z druku już znana, pieśń ludowa była „przeważnie liryczną“. Sądzimy na opak, że nawet dzisiaj możemy znaleść w niéj dowody istnienia epopej u nas! Założyć jedynie wypada, że pierwiastek historyczny, (podobnie jak religijno-mitologiczny), dający byt naszéj epice ludowéj, powoli ulatniał się z utworów poetyckich, które powołał do życia. Mianowicie przypuszczamy, że niejedna dziś pieśń, rzekomo liryczna, jest nią dlatego tylko, że treść jéj została zastosowaną do nowych warunków życia tych, którzy ją śpiéwali. Bohater historyczny stracił swe miano właściwe, jego akcya dziejowa zamieniła się na jakąś przygodę zbliżoną z życia potocznego, przez zmianę celu, i cały koloryt utworu zmienił się bądź przez ogólną taką zmianę celu akcyi, bądź przez uwydatnienie w akcyi pierwotnéj motywów drugorzędnych, które z czasem zatarły bez śladu motywa pierwszorzędne, epickie, bądź przez spółczesną zmianę i celu i uwydatnienie szczegółów drugoplanowych.

Tak ogólnikowo modyfikując odpowiedź sz. autora na pierwszą tezę jego odczytu, powracamy do pierwszéj części jego własnéj odpowiedzi na kwestyą, czy istniała polska epika ludowa?

Autor odpowiada potakująco: „również jak inne plemiona słowiańskie, posiadaliśmy kiedyś bogate pieśni i epopeje treści historycznéj i mitologicznéj, że śpiéwano u nas również jak u innych“ (str. 5).

A priori już o tém nie godzi się wątpić. Teorya, dopiero co przez nas wyłuszczona, o wyzuciu się naszych pieśni ludowych pseudolirycznych z barwy epickiéj zupełnie na tym samym stopniu umieszcza naszą literaturę ludową, na którym stoi bulgarska, serbska, ruska. Jeżeli Bulgarzy opiewają dziś jeszcze bardzo dawne wypadki dziejowe, jeżeli Ruś chlubić się może swą pieśnią o pułku Igora i bylinami (z doby np. Włodzimierza W.), to nasze pieśni, zachowujące w zmienionéj formie ułomki zdarzeń z przed XIII wieku (jak przypuszczamy), równie są starożytne, a to porównanie treści obala w niwecz wysuwany naprzód tak potężnie od czasów Czarnockiego wpływ niszczący cywilizacyi zachodniéj na rozwój epiki ludowéj u nas. Bez łaciny i szlachty, bez upadku społeczno-politycznego w masach ludu, bez wynarodowienia sfer wyższych literackich, Rusin i Bulgar nie posunął się etnologicznie daléj w opiewaniu bohaterów dziejowych od nas! Epoka niepiśmienna, epoka działań narodu jedynie przez wybrane jednostki, przez herojów eponimów, tu i tam jest epoką epiczną zarazem.

I u Serbów Lazar i Marko wyczerpali całą wenę epicką ludowych pieśniarzy. Ni daléj wstecz, ni naprzód muza ich nie sięgnęła. A nic dziwnego, że nie rozpłynęli się w bezimiennych bohaterach lirycznéj pieśni, jak u nas, bo antyteza do Turków, żyjąca w epice, wciąż trwała w życiu, wciąż dawała energią wenie poetyckiéj.

I u nas tedy epoka bohaterów stworzyć musiała epikę, lecz stwierdzenia téj tezy nie możemy szukać, wzorem autora, w następnych słowach żywota św. Stanisława... *In conviviis Slavorum adhuc cantilene gentilium, plausus manuum mosque salutancium servantur usque in diem hodiernum* „Na ucztach Słowian (to się znaczy Polaków) dotąd śpiewy pogańskie, klaskanie w dłonie i zwyczaj witania się zachowuje się do dziś dnia“.

Sz. autor przez szereg ogólnych spostrzeżeń dochodzi do wniosku, że te pieśni były epicznemi. Zdaje nam się jednak, że tak niektóre spostrzeżenia same w sobie, jak i ogólny wynik innéj muszą być natury, jeśli głębiéj rzecz zważymy.

Najprzód oburzenie, jakie pieśni te w żywociarzu budzą, autor uważa za obce faktowi, iż to były pieśni, śpiewy (utwór muzykalny). Zgadzając się na słuszność wogóle zdania, „bo i w kościele śpiewano“, musimy dodać, że żywociarzowi o kwestyą śpiewu, jako śpiewu, właśnie mogło chodzić, bo pisze wyraźnie: *absit autem ut hec corruptela locum habuerit in pontificis et martyris Christi mensa*, to się znaczy, że śpiew uważał za „zepsucie“ niegodne stołu kapłana i męczennika przyszłego. Była to bowiem uciecha cielesna (*carnis cura*), przyjemność słuchu, zadowolenie (estetyczne)

zmysłów, którym kapłan nie powinien był folgować i nie folgował istotnie.

Drugi zarzut podany *e mente* żywociarza, iż mogło go drażnić nucenie pieśni „w języku narodowym“, autor zbija uwagą (dla nas niejasną), że były to pieśni pochodzące z doby przedchrześciańskiéj, więc nieznającéj łaciny, „a duchowieństwo, choć zwykle mówiło po łacinie, mówiło jednak także po polsku“. Jak przykład kamedułów św. Romualda uczy, istotnie po lat siedem obcy ci zakonnicy uczyli się języka polskiego, by módz apostołować wśród miejscowéj ludności (1). „We własnym (polskim) oraz łacińskim języku mogąc godnie chwalić Boga, Mieszko II, temu jeszcze nierad, dodał jeszcze grecki“ (2). Godzi się jednak przypomnieć, że Długosz w historyi swéj pod r. 1087 (za Władysława Hermana tedy) podaje (z siebie lub ze źródeł zatraconych), powieść, iż król i kapituła poznańska, przy obsadzaniu w tym roku stolicy biskupiéj wielkopolskiéj, pragnęli, by porzuciwszy dawny obyczaj (*prisco more abrogato*) nie Włocha, lecz Polaka obrano na ten urząd. Taka zmiana, nie bez oporu papieża, w tymże roku miała jednak dokonać się w płockiém biskupstwie, a we wrocławskiém już pod 1062 r. więc za życia Bolesława II, spełniła się podobno (3). W żywotach biskupów wrocławskich, Długosz całą tę reformę etnograficzną w obiorze biskupów przypisuje specyalnie Bolesławowi II, co téż W. Krasiński w swéj historyi reformacyi (4), kładzie w liczbie motywów zatargu, jaki zamącił koniec i dzieje rządów tego króla. Jędrzejów cysterski (*Morimundus*) głośny był z wyłączności niemieckiéj i francuskiéj swych zakonników, a Wincenty (Kadłubek) miał być pierwszym Polakiem w tym klasztorze, wedle tradycyi XVII w. (5). W Lubiążu kluniaccy benedyktyni ustąpili cystersom niemieckim z Porty (Pforta), słynnym jabłkami „daportami“ (6). W Lędzie osiedli cystersi do czasów Długosza zachowywali „obyczaj godny pochwały i powszechnego zalecenia (*omni commendatione dignus*)“, że przyjmowali tylko rodowitych kolończyków (7). Cystersi do Koprzywnicy przybyli za Leszka białego z Francyi (8). W Wąchocku byli Włosi sami aż do 1420 (9). W kapitule krakowskiéj nawet, 1279 (10) wyniesiono dziekana i kanonika „z narodu francuzów“ (*natione gallici*),

---

(1) *Monum.* Bielow. I. str. 329.—(2) I. str. 323.—(3) Długosz *Hist.* IV, str. 394—5; III,323.—(4) Po niemiecku, str. 12.—(5) Starowolski *Vita et Mirac. Vinc.* str. 57.—(6) Długosz VI, str. 88, r. 1175.—(7) Dł. V. str. 23, r. 1146. — (8) Kod. Małopolski I. 109, 123.—(9) Dług. Liber benef. III. 402. — (10) Kod. św. Wacława I. str. 109. Rytuał „lugduński“ katedry wrocławskiéj zaprowadzony od r. 1148—1169 (Stenzel Scr. R. S. I. 159) może zawiera implicite dowód przymieszki francuskiéj do kapituły, motywujący wprowadzenie onego rytuału.

co może dowodzić, że jeszcze w XIII wieku kler świecki nie był wolny od przymieszki cudzoziemców, gdy powyższe dane świadczą o długotrwałéj obcości zakonów, z czém wogóle zgadza się fakt pisania wyrazów polskich w kazaniach i modlitwach nad tekstem łacińskim, oczywiście przez cudzoziemca kaznodzieję. Stwierdzają się te wskazówki zaleceniami synodu 1285, by duchowni byli Polakami, i wykładali „po polsku“ modlitwy, których sensu, 1248 r. nawet stuletni starcy nie rozumieli, klepiąc je... oczywiście tylko po łacinie (1). Wszystko to razem wzięte czyni wielce problematycznèm prawdopodobieństwo hypotezy, by duchowieństwo w. XIII umiało także po polsku, i nie było przeciwném nuceniu pieśni polskich, z pobudek, już nie duchowych, ale narodowych.

Bardzo słusznie autor *cantilenae gentilium* tłómaczy „przez pieśni pogańskie“, lecz polemika, zmierzająca do nadania im charakteru epicznego, nie zdaje się mieć dość siły przekonywającéj.

Wykluczenie „z góry“ hypotezy, że pieśni, o których żywociarz św. Stanisława mówi, były „obrzędowemi“, niedostatecznie (naszém przynajmniéj zdaniem) usprawiedliwionèm zostało przez zdanie autora: „bo chrześciaństwo od 250 lat w Polsce istniejące oddawna je wypleniło“ (str. 6). Długosz zauważył w swéj historyi, że lubo „od lat 500“ chrześciaństwo przyjęli Polacy, przecie do jego czasów na Zielone świątki odbywa się (*animalis veterum superstitionum gentilium ludus*) doroczny obchód „pogański“ *Stado* zwany. Topienie Marzany i Dziewany „powtarza się do dziś dnia“ na niedzielę postu *Laetare*. O pieśniach (*decantationibus*), jako stałym wszech tych obrzędów dodatku, także ogólnie wspomina, co wskazuje charakter tych pieśni koniecznie obrzędowy (2). Co do niektórych, niby faktów historycznych—jak obiór króla (Leszka) przez wyścigi konne—Długosz tak dokładnie (3) podaje miejsce odbywania obrzędu (równina koło Krakowa nad Prądnikiem) i porę (*Idibus Octobris*), w dawniejszych źródłach (jak Gallus i Wincenty) niewyszczególnione, że koniecznie należy przypuszczać za źródło opowieści autopsyą kronikarza XV w., czego potwierdzenie znajdujemy uboczne w fakcie, że jeszcze na początku XIX w. (4), lubo w innéj

(1) Kod. Wlkps. N. 551, 274. Dbałość arcybiskupa Jakóba II, wyrażająca się w przepisach 1285 r. „o postęp języka polskiego“, może mieć źródło, równie w antytezie do spotęgowanéj przez świeżą kolonizacyą *jure theutonico* siły germanizmu, jak i do pozostałości obcych wśród kleru. Oba cele osiągało spotęgowanie narodowości w duchowieństwie. — (2) Hist. ed. Przeźd. I, str. 48; II, 117. — (3) I. str. 78—79. — (4) Kołłątaj: Listy w przedmiotach naukowych, 1845, IV, str. 225 n. 58; por. Kochowski: Liryki ed. Turows. str. 229.

porze (na Zielone święta), obchód ten widziano odbywany z p i e- ś n i ą, wyraźnie obrzędową:

„Przyprowadzamy wam króla tego chudobnego
W wielkich górach obranego".

Porównanie zakazów papieskich z 1207, 1230 r. (1) co do spełniania obchodów zwyczajowych (*prava et detestabilis consuetudo*) na Boże Narodzenie, przez duchowieństwo i żaków, wykazują ich charakter pogański oraz... towarzystwo śpiewów (*cantilenis*), oczywiście obrzędowych, pogańskich, dziś jeszcze w kolędzie, Turuniu, gwiazdce itd. istniejących.

Zresztą przepisy synodalne wielkopolskie z 1420 (2) zawierają cały skarb dowodów bądź nowych, bądź stwierdzających powyższe wskazówki istnienia obrzędów i wierzeń „zabobonnych" (*superstitiosae opiniones*, § 30; *superstitiosae benedictiones* § 31; *superstitiones* § 38; *superstitiosae consuetudines* § 35, 40). Charakter wszystkich widocznie jest pogański, a spostrzegamy nawet, że wkradały się do obchodów kościelnych, jak to widać z zakazu „nadużycia i rozpusty" tańców i pieśni nieprzyzwoitych (*inhonestarum*), towarzyszących prymicyalnym mszom księży nowowyświęconych (§ 57).

Wszędzie zaznaczony jest koloryt rozpustny, rys rozkoszy cielesnych, towarzyszących tym obchodom pogańskim, które, mącąc świętość i podniosłość obchodów kościelnych, sprowadzały nawet wmieszanie się prohibicyjne władzy świeckiéj, jak tego dowód mamy w akcie z 1468 r. Kazimierza III Jagiellończyka (3).

Ściśle tedy mówiąc, treść zdania, że owe pieśni wspominane przez żywociarza św. Stanisława „nie mogą być także t y l k o miłosne, wesołe lub hymny pochwalne, bo takich nauka chrystusowa i kościół nigdy nie potępiały", nie da się utrzymać, właśnie dla istnienia zakazów tego pierwiastku (miłosnego, wesołego), który zdawało się miał okupić pieśniom przebaczenie w oczach kościoła, wedle autora.

Zdarzało się wprawdzie, że ten i ów duchowny nawet w XVII w., jak np. ks. Birkowski w kazaniu „Bogarodzica" 1623 r. (4) porównał fakt martyrologium chrześciańskiego, „pochodnie Nerona", z obrzędem sobótek („...drugich palono, aby gdy dnia nie stawało, oni miasto s o b ó t k i i łuczywa nocnego byli"), dowodzić to jednak może tylko żywotności samego tego lub innego obrzędu, świadomości

(1) Kod. Wielkop. N. 55. Kod. Tyniecki, N. 12, str. 24. — (2) Starod. Pomn. Prawa pol. V, ed. Heyzmana. — (3) Bartoszewicz, Kod. dypl. Pol. III, str. 444. — (4) Kazania ks. Birk. wyd. Turowsk. str. 28. Półksięży Oczko, doktór (ed. Klink. str. 523) ze swego stanowiska powołuje sobótki.

jego istnienia u kaznodziei, omylności twierdzenia Czarnockiego, że cywilizacya zachodnia wypleniła do szczętu pogańską, rodzimą, braku antagonizmu inkwizytorskiego w klerze naszym, od znanych przepisów o plebejach rekrutującym się w niższych tylko stopniach wyłącznie z ludu, właśnie zarażonego wierzeniami pogańskiemi. Nic wszakże jednak nie można stąd dobyć na korzyść zasadowéj pobłażliwości kościoła dla faktów i pieśni, w zakazie papieża i u żywociarza z XIII w. wspólnie zwanych *corruptela*, dla estetycznego swego charakteru.

Tym sposobem, prawdopodobną zdaje się być nam rzeczą, że negatywny sposób wykrycia charakteru *cantilenae gentilium*, których pominięcie poczytał żywociarz św. Stanisława za zasługę swemu bohaterowi, nie osiąga zamierzonego celu. Owszem, przypuszczamy, że możeby się dało okazać bardzo łatwo pozytywnemi dowodami, jakiemi one tylko być mogły.

Okoliczność, że pieśni te nucono na biesiadach (*conviviis*), albo (jak wyżéj nieco energicznie żywociarz się wyraził) „na nocnych pijatykach“ (*nocturnae potationes*), zdaje się wskazywać na taki charakter pieśni, któryby się zgadzał z czynnością, niejako motywującą, wywołującą ich akompaniament. Nie przecząc, że przy polskich jak przy greckich i rzymskich ucztach, „opiewano czyny bohaterów i przodków“, możemy nawet powołać się na w i e r s z o w a n ą kronikę Gallusa, z góry przez swego autora przeznaczoną do recytowania *in capitoliis* rycerstwu, zamiast praktykowanego po refektarzach czytania żywotów św. itp. mnichom, w czasie posiłków ich peryodycznych (1). Wstęp do 4-téj księgi kroniki Wincentego daje znów obraz rozmowy przy biesiadzie o historyi swego kraju (2).

Wypada jednak zauważyć związek tych kantylen z klaskaniem w dłonie i zwyczajem powitań, które bardzo jasne światło rzucają na treść tych pieśni biesiadniczych, unikanych przez biskupa męczennika. (Nie jest to powiedzianém wyraźnie, ale skoro same biesiady były wstrętne biskupowi, to *eo ipso* takiemi były ich akcesorya, co, mówiąc nawiasem, prowadziłoby koniecznie do wniosku, iż biskup był wrogiem... pieśni dziejowych, czyli... samychże dziejów)!

Desideria et concupiscentiae, wypływające z dbania o ciała zadowolenia (*carnis cura*), żadną miarą w czém innéni nie mogą znaleść bodźca, tylko w pieśniach głoszących przyjemności napoju, jadła, fizycznéj miłości. Takim też tylko pieśniom (jak nam się zdaje) mogą towarzyszyć charakterystyczne klaskania w ręce (*plausus manuum*).

---

(1) Monum Biel. I. str. 461. — (2) Tamże, II, str. 377.

Przy téj sposobności niech nam wolno będzie zacytować pewną liczbę pisarzy, którzy wspominają to klaskanie w odpowiednich razach.

Zaczynając od Kochanowskiego, to on w Psalmach, może z oryginału mówi o klaskaniu (Ps. 47, w. 88; Ps. 88, w. 25—26). Siedemnasto, a raczéj szesnastowieczny Szymonowicz w sielance 12-téj p. t. „Kołacze", opisując weselną ucztę, wyraźnie pisze:

już kołacze dają,
A przed kołaczami panie nadobnie śpiewają,
I taniec prędki wiodą i klesczą rękami (1).

A poniżéj czytamy:

Paniczu, co tu z panną siedzisz za tym stołem,
Tobie teraz wiedziemy taniec pięknym kołem,
Tobie kleszczemy.

Sielanka 20 p. t. „Epithalamium Heleny" ten sam obraz powtarza (niby grecki, a z „kołaczy" widać że polski):

Dwanaście panien u drzwi zamknionych stanęło...
...I wzajem kleskały
Rękoma, i jąwszy się, kołem tańcowały (2).
...kleszczmy rękoma, kleszczmy; dziś wesołe gody,
Tobie nadobna panno, tobie panie młody.

Błażowski w tłómaczeniu Kromera wyraża się w téj saméj materyi: „Ruś pamiątkę pogaństwa po dziś dzień zachowując, zwłaszcza w pieśniach swadziebnych Ladona wyrażają, gdy lub to dłoniami w stół, lub téż ręką o rękę bijąc, na każdym wierszu Ladona opiewają."

To wyraźne świadectwo spółcześnika, tak dla nas jest ponętne i przekonywające, że pod grozą powodowania się nazbyt wyobraźnią, uważalibyśmy kwestyą za przesądzoną na mocy tego jednego dowodu. Widzimy tu nadto połączenie klaskania z wykrzykiem „Lado."

Z początków téż XVII w. Miaskowski w swych *Rytmach* „Na zaczynanie Nowego Roku" (3) opisuje jakby analogiczne zjawisko:

Lechowe plemię...
Wygnawszy z Ladą Lelu po Lelu
Zwykłe tu bożki jeszcze przy chmielu.

Czy wyrażenie „przy chmielu" ma oznaczać tylko ucztę weselną, przy któréj chmiel wspominano i za czasów Szymonowicza (4), wątpić się godzi. Jakkolwiek bowiem Woycicki w *Pieśniach*

---

(1) Sielanki, ed. Mostowskiego str. 87, 88. — (2) Sielanki, str. 133, 135. — (3) Turowski str. 45. — (4) Jako się mocno trzyma chmiel gęsty przy tyce, Tak się i panna trzyma przy swym panice.

ludu Białochrobatów i t. d. (II, str. 72, 75) znalazł pieśni, nucone przy wręczaniu pierścienia, lub przy powrocie z kościoła, z wtórem: „Łado, Łado“, mogące do weselnéj biesiady wzmiankę Łady ograniczać, to mamy u Stryjkowskiego w *Kronice* (I, str. 137) dobitne świadectwo, że „Mazury i Polaki (z Wielkopolski) na biesiadach gdy sobie podleją, Lelum po Lelum wykrzykują.“

To zdawałoby się przekonywać o ogólniejszém może użyciu tych wykrzyków (i klaskaniu), przy każdéj uczcie, kędy obok miodu i chmielny trunek był pity (1). Co zatém idzie, jak klasyczne *Evhoe*, *Jo Bakche*, było u nas „Lado“, „Lelu po Lelu“, wtórem, do którego dytyrambicznie reszta pieśni musiała się dostrajać.

Ów *mos salutancium*, towarzyszący biesiadom, wraz ze śpiewem i klaskaniem w dłonie, jest określeniem (ile się zdaje) kłaniania się wzajemnego przy piciu na cześć tego, którego zdrowie pito.

Część zwyczajów pijackich opisał nam Kochanowski w „Pełnéj prze zdrowie“:

Prze zdrowie gospodarz pije:
Wstawaj gościu! A prze czyje?
Prze królewskie! Powstawajmy
I także ją wypijajmy.

Zgodnie z tém, Kitowicz (2) w dwieście lat późniéj donosi: „Gospodarz pierwszych osób zdrowie pił stojąc, potém usiadł i kończył reszty, toż samo czynili inni dystyngowani. Końcowa zaś drużyna piła stojąc wszystkie zdrowia, nie czyniąc sobie większéj nad drugich powagi.“

Obrazek p. t. „Książę Radziwiłł panie-kochanku“ w Pamiętnikach IMP. Seweryna Soplicy (3) przynosi szczegół z 1781, jeśli nie autentyczny co do chwili osób i miejsca, to bezwątpienia wzięty z natury, a mogący posłużyć do dalszéj pijatyk charakterystyki.

„Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec Bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter repertis* piliśmy. Już tam była mięszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książę napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartéj czapce, zdarł ją z niego, na swoję głowę włożył, a od-

---

(1) Czacki zaprowadzenie browarów przypisuje żonie Przemysława II, Ludgardzie (*O Lit. i Pol.* por. ed. Turow. I, 29 i n.), co miało wyrugować piwo brandeburskie chmielowe. Byłażby tedy *cerevisia* Gallusa czysto zbożowym produktem, i chmiel był późniejszą inowacyą? Jeżeli brać dowód z Rusi kijowskiéj, która za Nestora znała przysłowie: „kiedy kamień zacznie pływać, a chmiel gręznąć“ (*Mon.* Bielow. I, str. 627), to i w Polsce chmiel w XII w. musiał być znany.

(2) *Opis obyczajów i zwyczajów*, wyd. lwowskie 1883, II, str. 87.

(3) Wydanie 2-e, Paryż 1841, I, str. 57.

dał mu swoję aksamitną. Na to hasło zaczęliśmy mieniać między sobą czapki a pić, ale tak, że w momencie każdy z nas inną czapkę miał na głowie."

Jakby prototyp tego zwyczaju wymiany nakryć głowy na znak pobratania się pijackiém kumostwem, na biesiadzie—już w XII wieku (względnie XIII), więc w wieku istnienia *mos salutancium* przy biesiadzie, czytamy opis przyjęcia Ottona III przez Bolesława I-go w Gnieźnie.

Gallus (1) mianowicie donosi, że Bolesław „przez trzy dni swéj koronacyi wyprawiał biesiadę po królewsku i po cesarsku." Godzi się przypuszczać z tego, że wedle jego pojęcia rzeczy, była to prawdziwa koronacya, odrębna od faktu uczty. Widać to z osobno podanego opisu saméj niby koronacyi. „Zdejmując cesarski wieniec z głowy swéj, włożył go na głowę Bolesława na znak przyjaźni." Zaciekawia wszakże frazes ostatni *in amicitiae foedus*. Pomijamy znaczenie feudalne *amicus*, *amicitia*, przeciwne godności króla, zwracamy za to uwagę na okoliczność rażącą, że o koronacyi 1000 r. nie wiedzą Niemcy spółcześni tylko Polacy z XII w. (Gallus i Wincenty), a o koronacyi nie wiedzą drudzy tylko pierwsi, coby znaczyło, że jeden i ten sam fakt w dwu datach podano. Gallus właśnie mówiący o 3 dniach koronacyi i tyluż biesiadach, oraz o włożeniu korony cesarskiéj na głowę Bolesława w 1000 r., a milczący o koronacyi 1024, mówi to w lat 100, co najmniéj, po fakcie. Snadnie mógł tedy zbicia się dwu różnych zdarzeń w jedno dopuścić, przez zwykłą redukcyą na zasadzie analogii. Za źródło do tego mogła mu posłużyć zwyczajowa ale wzajemna wymiana nakryć głowy przy biesiadzie, o któréj Soplica jako zwyczaju XVIII w. mówi, a co wyraźnie mistrz Wincenty podaje, jako rys uczty gnieźnieńskiéj (2).

„Tak więc cesarski niemiec *(diadema)* z głowy sobie ściągając (Otto), nie bez uszanowania *(non sine reverentia)* włożył na głowę Bolesława, jego kiwiorem (tj. czapką) na odwrót *(e converso)* własną głowę zdobiąc."

Wyrażenia: „nie bez uszanowania" i „naodwrót" wskazują dobitnie na czynność, która nie mając na celu poniżenia biesiadnika, przez odkrycie mu głowy (co za feudalizmu miało i sens polityczny), owszem wymianą wzajemną nakryć głowy feudalnéj *amicitiae* nadała znaczenie polskiego „pobratania się", równości (3).

---

(1) *Monum.* Bielow. I, str. 401. — (2) *Monum.* Bielow. II, str. 278; por. *Przycz. do dziejów Med. w Polsce*, 1879, I, 20. — (3) Kronika polska ma dosadnie: „eum *intra prandium in mensa* residens, coronavit suo dyademate" (*Monum.* III, 617).

Być może, że i wyrażenie przysłowiowe o „utratnie bankietującym", że „nas niczém nie obliguje sobie, jeno chlebem a czapeczką" (1), odnosi się także do wymiany czapek przy pijatyce (por. Rysiński, Ad. 5: „Czapką, chlebem i solą, Ludzie sobie ludzi niewolą", zwłaszcza, że dwie ostatnie rzeczy należą do gościnności objawów, do biesiady).

Przypuściwszy w najgorszym razie, że ostatnie szczegóły dla wyjaśnienia *mos salutancium* z XIII w. nie ostoją się, to wypadnie w każdym razie na zasadzie wszystkich innych dotąd podanych wskazówek, *cantilenae gentilium* przy ponocnych biesiadach nucone, poczytać za liryczne, dytyrambiczne, ale nigdy nie za epiczne, jak sądzi szanowny autor.

Nie idzie zatém, by nie było u nas pieśni epicznych.

Autor cytuje w téj mierze najprzód „powieść" o Wisławie, księciu wiślickim, cytowaną w kronice wielkopolskiéj (2), o Piotrze Właście, o Kraku, Popielu, Wandzie i Piaście. Co do Piotra, mamy istotnie wskazówkę u Benedyktyna z Poznania (1520): *vidi ego in libello quodam pergamineo huius foeminae in Petrum comitem nefandae machinationis rithmico contextu descriptam tragoediam* (3), a obok tego w kronice polskiéj szląskiéj jest wzmiankowany *carmen Mauri*, tęż samą treść rozwijający (4), który uważają krytycy za identyczną z powyższą tragedyą (5). Gdyby wtręt królewieckiego rękopisu, zawierający szczegół o *carmen Mauri*, pochodził z przed r. 1385 (6), mielibyśmy dowód, że utwór o Piotrze Właście jużby istniał w XIV wieku. Znalezione, jakoby z niego, wiersze (7) okazały się być przeróbkami... Wergilego! Toby charakteryzowało pracę Maura w ten sam sposób, jak Leutschovius określił literacką pracę Stanisława Ciołka, który pieśni *(carmina)*, sprawy polskie, *more institutoque veterum* opiewające, z zapomnienia dobył *suopte ingenio elaboravit* (8), czyli do treści polskiéj, ułożonéj „obyczajem i zwyczajem przodków", dodał cały balast wykształcenia średniowiecznego, reminiscencyi biblijnych i klasycznych.

Jeżeli jednak istnienie pieśni łacińskiéj o Piotrze Właście (Duninie) tak mamy zadokumentowane, to rzecz o Wisławie znamy tylko... w prozie, bez żadnych wskazówek jéj obrobienia wierszowego po kronikach. W każdym razie, porwanie Heligundy to przez Waltera, to przez Wisława, uważamy, jak sz. autor (str. 7), za konglomerat polskich motywów z germańską epopeją, z tą walną

---

(1) Starowolski, *O reform. obyczajów*, roz. X, str. 55. — (2) *Monum.* Bielow. II, str. 510—514. — (3) *Mon.* Bielow. IV, str. 755—6. — (4) III, 629. — (5) III, 758, 929. (6) II, 595. — (7) III, str. 757, 805. — (8) Autor str. 7; Wiszniewski, *Hist. lit.* III, 367.

różnicą, że powód zlania się tych różnych pierwiastków widzimy w analogii, jaką przedstawia schemat ogólny obrzędów weselnych polskich z przygodą Heligundy. Odmawiamy zaś powieści o Heligundzie (Wisławie) wszelkich podstaw historycznych, czyli epickich (1).

Nie sądzimy się też, by „podania“ o Kraku, Popielu, Wandzie i Piaście pochodziły z „przedawnych epopéj polskich.“ Charakter ich, zdaje mi się, być wyłącznie mitologiczny, nie zaś połowiczny, historyczno-mitologiczny. Jako myty, to jest uczłowieczenia zjawisk przyrody lub ducha, jako walki słońca z wodą (Krak i smok, książę Lemański i Wanda), lub słońca z samém sobą, to w postaci dwu braci zawistnych (synowie Kraka, jak Romulus i Remus), to w postaci własnéj i swego symbolu (Popiel i myszy, jak Herkules i lew, Samson i lisy), należą do sfery dogmatów religijnych, więc stanowią wątek pieśni religijnych. Nierychło dopiéro Achacy Kmita w *Łowie Dyanny* wątki te obrabia wierszowo, a Szymon Zimorowicz w *Roksolankach* w pieśni „Tymoreny“, „drugiéj z chóru panieńskiego“ zachowuje czterowiersz o Wandzie już Długoszowego stylu (2).

Powieść o Piaście, t. j. o cudowném pomnożeniu się strawy u niego, w nagrodę gościnności, gdy niegościnny Popiel strawę z swych piwnic traci (Gallus), zdaje się być z typu powiastek, chwalących gościnność, bez danych historycznych w swéj pierwszéj, przed-Wincentowskiéj redakcyi.

Wątpić tedy, by mogła być tematem... epicznym.

Prędzéj byśmy sądzili, że Gallus przechował nam po łacinie ludową epopeją o Szczerbcu Chrobrego, jak na to już Karłowicz wskazywał, nie przecząc z drugiéj strony istnieniu miecza lub wyprawy kijowskiéj.

Następnie śmierć Henryka sandomierskiego, syna Krzywoustego i jego rycerstwa była, zdaje się przedmiotem pieśni żałosnych, jeszcze Wincentemu znanych (3) w różnych waryantach. *A diversis diverso modo* jest niewątpliwym dowodem z jednéj strony istnienia pieśniarzy fachowych lub doraźnych, a z drugiéj pieśni, które, przechodząc przez ich usta, ulegały pewnym zmianom i odstęp-

---

(1) Por. *Epopeja ludowa o Chrobr. i szczerbcu jego*, 1882, str. 67.

(2) Także i Wanda nie chcąc cudzoziemca
W małżeństwie cierpieć, Rotogera niemca,
Nad Wiślnym brzegiem pogrzebiona, wszędzie
Rymem mu będzie.

(3) *Monum.* Bielows. II, 375: „lamentationum varietates a diversis, *diverso modo*, deploratae, usque hodie lugubriter deplangunt.

stwom od usłyszanego przez nich tekstu autentycznego, w końcu XII i początkach XIII wieku. Kombinując wyjątek z kroniki jakiegoś Alberta Strepy (znany z Paprockiego *Herbów* str. 743), opisującéj zgon Henryka sandomierskiego i początek herbu *Przyjaciele* (serce przebite strzałą na czarze), z pieśnią ludową u Kolberga *(Pieśni ludu pol.* I, 9), w któréj kochanka serce przebija mieczem i pływa łodzią, możnaby nawet wskazać na przykładzie jak waryanty takie tworzyły się równolegle, i jak one mogą do dziś dnia istniéć w literaturze ludowéj, zniknąwszy z literatury piśmiennéj.

Obok téj pieśni polskiéj, znamy z Długosza *publicum et vulgare carmen* o Ludgardy zabiciu (1283), śpiewaném do jego czasów na publicznych zgromadzeniach śpiewanych *(nostrique saeculi illud concinunt theatra).* Polskość jego zdaje się być widoczną z charakterystyki, jako *carmen vulgare*, którego też ślady K. W. Woycicki znajdował w pieśni ludowéj o Anulce (1), jak Ludgarda proszącéj o odesłanie do domu, choćby w koszulinie. Echo tego „*concinunt theatra*“ jeszcze dziś brzmi w téj pieśni ludowéj, jako zwrot śpiewaka do publiczności:

Widzicie wy panie i wy stare babki,
Jak to źle wędrować od ojca, od matki, —

albo: Przypatrzta się panny i wy téż mężatki,
Jaka to wędrówka od ojca, od matki.

Rocznik wielkopolski zapisuje „wiersz“:

Anno milleno tercenteno minus uno
Deflet theutonicos Poznania passa secundos (2)

Zdaje się on opisywać albo (sądząc z miejsca cytaty) przywołanie Łokietka po śmierci Przemysława II, poniesionéj z rąk niemieckich, albo też uciski za jego rządów w Poznaniu doznane, i być różnym od poprzedniego poematu o Ludgardzie.

Czacki mówi o pieśni góralskiéj, za jego czasów nuconéj oczywiście, w któréj jest wspomnienie, jako „Władysław Łokietek gwałciciela kobiéty uczynić kazał rzezańcem“ (3). Pieśń ta więc opowiadałaby rzeczy wręcz przeciwne temu, co rocznikarz wielkopolski donosi o rządach Łokietka, o bezkarnéj rozpuście jego rycerzy i t. p. i co zdaje się odbijać w „płaczu utrapionego Poznania po szczęsnych Niemcach.“

Byłoby rzeczą ze wszech miar ciekawą, gdyby kiedy wykazało się, że te dwie pieśni, tak sprzeczne w ocenie zdarzeń jednéj epoki, ją dwustronnie malujące, rzeczywiście istniały po polsku.

---

(1) Długosz, ed. Przeźdz. VII, 469—470; *Pieśni ludu Białochr.* I, str. 78; Kolberg, *Pieśni ludu pol.* N. 5. — (2) *Monum.* Biel. III, 41. — (3) *O lit. i pol. praw.* ed. Turow. II, str. 138, n. 2.

Mężobójstwo opisane przez Długosza pod 1466 r. zdaje się uwieczniła pieśń „Pani zabiła Pana", dotąd żyjąca.

Krótkich wierszów łacińskich znajdujemy dosyć w rocznikach: w gnieźnieńskim pod 1320, w świętokrzyskim pod 1298 *(sic)*, w Krasińskich pod 1331 (1). Nie wiadomo jednak, czy to cytaty większych pieśni, czy wiersze autora rocznika. Obok tego pod 1410 czytamy opis wierszowy bitwy grunwaldzkiéj (2), z którym warto porównać pieśń łacińską téjże treści, drukowaną przez Wiszniewskiego i Narbuta, oraz polską przez Rzyszczewskiego. Możnaby sądzić, że te trzy pieśni stopniowo rozwijały temat wspólny, coraz bogacąc go szczegółami i wyjaśnieniami. Pieśń rocznikarza Stokrzyckiego nasycona jest statystyką; pieśń Narbuta, równie jak tamta łacińska, wygląda na kanwę, na której rozwinęła się pieśń polska Rzyszczewskiego (3). Nie dalekiém tedy byłoby przypuszczenie, że pieśń o „wielkiém pobiciu", jak zwą roczniki bitwę grunwaldzką, jest dziełem literatów, nie ludu polskiego.

Takimże tworem muzy uczonéj, piśmiennéj, jest wiersz łaciński, opisujący zniszczenie Sambora przez Tatarów w 1448 r. (4).

Ułamek poematu, znaleziony i wydrukowany przez d-ra Kętrzyńskiego, do tejże kategoryi utworów sztucznych (5) należy.

Wydawca uważa (str. 13), „że fakta w mowie będące (treść poematowi dające) musiały zbudzić niemało zapału i zajęcia wśród ówczesnego społeczeństwa, skoro się znalazł nawet poeta, który je uznawał godne, aby je wierszem uwiecznić." Zdawałoby nam się, że tego rodzaju miara, przy widocznym charakterze sprawy saméj, winna być używaną bardzo oględnie. Fakta, opiewane w odkrytym ułamku, były zaiste „godne" uwiecznienia, ale... podobno ze stanowiska tylko szlacheckiego. „Poemat nasz (jak mówi sz. wydawca) gdyby się był przechował w całości, byłby niepośledniém źródłem do wewnętrznych stosunków w Polsce, za ostatnich lat panowania Kazimierza Jagiellończyka. Objaśnia on nas istotnie w gruncie rzeczy, co do sporu między dwoma rodami szlacheckimi, z których każdy jednego z członków ma prymasem. Wysoka godność twórcy niejako oporu, Gruszczyńskiego, a potém takaż sama godność bohatera poematu, Oleśnickiego, przedstawiały niemałą wartość i zainteresowanie... lecz tylko dla kleru i szlachty. Ponieważ już wów-

---

(1) *Mon.* Biel. III, s. 44, 45 (i 228) 77, 210; por. 216.—(2) *Mon.* Biel. II, 868 i 894.
(3) Czy dwuwiersz znany Sarnickiemu: „Witold idzie po ulice, Za nim niosą dwie szablice", pochodziłżeby z jakiéj nieznanéj, drugiéj redakcyi polskiéj pieśni o Grunwaldzie?
(4) *Mon.* Biel. III, 253. — (5) Sztucznych, to się znaczy ułożonych przez literatów, ludzi wykształconych na pewnych wzorach, świadomie i ogólnie przyjętych.

czas agitowało się usunięcie plebejów od wyższych godności duchownych, rzecby nawet można, że cała sprawa obchodziła... tylko dobrze urodzonych, szlachtę wyłącznie. Przypuszczalny autor poematu, ksiądz Mikołaj Kotwicz, h. Kotwicz, i z powołania i z herbu (1), jest związany z prymasem Oleśnickim; opiewa zatém własną prawie sprawę.

Zaczém stronność w wyborze treści widoczna i ta modyfikować musi wrażenia wielkości płynące z w y b o r u tematu. Modyfikacya podobna tém jest konieczniejszą, że na pieśni o zabiciu Jędrzeja Tęczyńskiego mamy przykład dobitny, jak fakta, wielce doniosłe w kwestyi stosunków społecznych, mogą być przeinaczane pod wpływem uczuć jednostronnych.

Dla stanu mieszczańskiego, sprawa zabicia tego i sądu, była niemal walką o życie, bo chodziło o autonomią sądową, gwarantującą istnienie stanu trzeciego. Pieśń tymczasem zachowana, dzięki K. Wł. Woycickiemu, sprawę jak najstronniéj na korzyść szlachty przedstawia, i zaledwo znając dokumenta odnośne, ważność podanego w niéj odwołania się krakowian do Wrocławia, ocenić możemy. Ni wielkość pieśni, ni ton jéj nie budzą w nas poczucia tragiczności, jaką miał ten wypadek dla dziejów mieszczaństwa. Co najwyżéj, mamy wylew oburzenia szlacheckiego na motłoch „chłopski“, za zwykłą burdę!

Jeśli następnie weźmiemy na uwagę zatarg urzędników wielkopolskich z Kościanem w 1447, przy którym krew się polała, a w którym były zainteresowane i arystokracya (Łukasz Górka, wojewoda poznański; Dobrogost z Kolna, podsędek poznański; Jadwiga, tegoż siostra i jéj syn Stanisław, w bójce zabity) i mieszczaństwo Kościana (2), to okaże się, że ten zatarg wraz z spółczesnemi zatargami we Lwowie, w Lublinie i Krakowie (1461), cechuje jakieś powszechne poruszenie stanu trzeciego, przeciw uroszczeniom szlachty. Znany utwór Ostroroga, *Monumentum pro respublica ordinanda*, będący (zdaniem naszém) programem stronnictwa szlacheckiego, głoszący zagładę mieszczaństwa pod hasłem walki z nadużyciami kleru i germanizmu (3), jest jedynym (obok pieśni o zabiciu Jędrzeja Tęczyńskiego) dokumentem literackim, rzucającym światło na starcie, którego rezultat już ostatni mamy w prawach antyplebejskich XV i XVI w.

---

(1) Herb prymasa ma obok innych herbów, herb Kotwicz. (Papr. *Herby*, str. 386). (2) Por. w *Ateneum* (1884, maj i czerwiec): „Jan Ostroróg i niższe klasy społeczeństwa polskiego w XV wieku.“ — (3) Helcel, *Star. Pom. Pr. Pol.* II, N. 3306.

Starcie ono dopiero dzisiaj poznajemy w całéj jego rozciągłości. Interesowało ono zapewne i spółczesnych, a jednak... w poezyi nie ma jego śladu. Żaden poeta XV wieku (o ile wiemy) nie wziął za temat dla swego utworu epicznego walki stanów, prowadzonéj za jego czasów, mimo jéj doniosłości. Z tego jednak braku pieśni, nikt nie będzie brał miary dla faktu téj walki, mogącego, lub mającego być treścią poematu.

Vice versa, istnienie odszukanéj epopei o walce Gruszczyńskich z Oleśnickimi nie może służyć za miarę ważności téj walki dla całego społeczeństwa. Co najwyżéj świadczy owa epopeja o bogactwie zatraconém poezyi XV wieku, i to poezyi układanéj na nutę szlachecką! Przytém nasuwa się myśl, czy istotnie brakło śród *rimarii* („rymarzy" jak zowią jeszcze Reja w XVI w aktach metryki koronnéj) mieszczańskich naszego kraju ludzi, utrwalających na piśmie swe utwory, mieszczańskim duchem natchnione, czy też los zawistny tak je zniszczył z kretesem, mimo śladów ich bytu w akcie 1336 (*rimarii cantantes et loquentes canciones. Mon. Med. Aevi* V, str. 24), że tylko „dobrze urodzoną" nutą dźwięczy nasza poezya!

W żadnym więc bądź co bądź razie, nie zdaje nam się właściwém, nastrajając definicyą jeszcze wyżéj, nazywać odnaleziony fragment „naśladowaniem na mniejszą skalę Iliady" (str. 17 rozprawki) w któréj Koźmin rolę Troi, Oleśniccy Greków, a Hektora Mikołaj Kośmider odgrywaliby. I treść i obrobienie odszukanego złomku polsko-łacińskiéj epiki XV w. nie da się porównać z dziełem Homera. Koźmin jest (jak powiedzieliśmy) tylko jabłkiem niezgody dwu rodów, nie zaś jądrem sporu o zasadę, i takim jest, jak był przed laty. Walka o Ilion dla Greków była sprawą zewnętrzną, była objawem ich narodowéj reakcyi. Herodot z opinii swych czasów na pewno zaczerpnął myśl, że porwanie Heleny i zniszczenie Troi jest jedném tylko ogniwem w liczbie wiekowych zatargów, jakie istniały między dwowa kontynentami (Europą i Azyą), między dwiema cywilizacyami.

„Burda prywatna i osobista" mogła się zamienić, jak uważa sz. wydawca, na „wojnę domową"; mogła nawet i książąt zagranicznych (jak Bogusław pomorski) wciągać w swe wiry. Nie był to jednak fakt wyjątkowością swoją budzący wenę poetyczną.

Pod r. 1460 z dokumentu Kazimierza III Jagiellończyka dowiadujemy się o zatargach Włodka z Domaborza, kasztelana i starosty Nakła, z prymasem Janem (IV Sprowskim), Stanisławem Ostrorogiem wojewodą kaliskim, kapitułami i klasztorami, które sejm piotrkowski uspokoił (1). Zbrojne utarczki o stolicę i dobra biskupie

(1) Codex Epistolaris XV seculi. I, str. 297—8.

krakowskie, wiedzione z rozkazu króla przez starostów z administratorami kościelnymi (1), mają ten sam charakter zewnętrzny, co burda, uczczona poematem, lubo wewnętrznie są wyższe, jako skutek walki zasad (2).

Zaczém oczywistą jest rzeczą, że nie ważność wewnętrzna walki o Koźmin była powodem wzięcia jéj za treść wiersza, i że racya jego bytu leży w stosunkach stanowych i osobistych samego poety z opiewanym bohaterem, jak to już wspomniano.

Opracowanie téż poetyczne Homerowemu nie zdaje się równać. Już wzmiankowane na wstępie ułamku sejmowe zgromadzenie, na którém zapaśnik arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego, Mikołaj Kośmider, ma nakazany spokój, skoro jego wina okazała się,—dawała wątek do obrazu... którego niema. Idący zatém opis znęcań, się „od lat dziesięciu“ trwających nad klerem ze strony Kośmidra, ma charakter kronikarskiéj relacyi, nie epopei. Rzucenie klątwy przez arcybiskupa na łupieżców nie wiele ma wyrazistości. Motywa i wzory skłaniające Zbigniewa do oręża (*e mente ejus*)—stanowią przejście do wykazu stronników Zbigniewowych... na czém téż i fragment urywa się w pół zdania.

Z obszerności tego wykazu, możnaby przypuszczać (trzymając się porównania z Homerową epopeją), że jak w Iliadzie, po „katalogu“ dopiero, rozwijać się zaczyna akcya epopei, tak i tu sam opis wojen miał jądro poematu stanowić. Wówczas rodzi się domysł, że krótkie powyżéj streszczone ustępy fragmentu, stanowią ekspozycyą poematu, i dla tego tak zwięźle są traktowane. W takim razie zarzut niewyzyskania treści, jak się należy (wyżéj uczyniony) o wieleby się osłabił. Atoli w tym razie zagajenie fragmentu zdaje się dużo liczyć na domyślność słuchacza, jeśli, mając być ekspozycyą, tak zwięźle (lubo nie bez naśladownictwa klasycznego) rzecz obwieszcza:

Postquam pacificum prolixa iniuria patrem
Atque austera dolor stimulavit in arma benignum
Sbigneum, varios primum temptare labores
Duxit.....

Tłómaczyłoby się to jedynie okolicznością, że poeta liczył słusznie na doskonałe w tym względzie informacye u spółczesnych, dla których swój utwór przeznaczał. Utwór musiał być pisany w samym wirze walki, gdy wszyscy widzieli, a po części doznawali jéj losów i zwrotów, stąd dla nich dostateczném było odrazu, bez wielu korowodów, wejść *in medias res.*

---

(1) Długosz ks. XIII, str. 313, r. 1461. — (2) Kto mianowicie decyduje o oblorze biskupa nowego? król, kurya czy kapituła.

W ułomku zachowanym najwięcéj wypukleje, i dla nas przynajmniéj okazuje tętno życia i bliższego zajęcia się ze strony autora, część katalogowa, wymieniająca sprzymierzeńców prymasa Oleśnickiego.

Pierwsze miejsce w katalogu zajmuje Jędrzej, brat (*germanus*) prymasa Oleśnickiego. Poeta o nim wyraża się:

„który dawnym obyczajem,
Rycerskie w całym obyczaje pokazał świecie".

Syn ten Jana Głowacza z Oleśnicy wojewody sandomierskiego i marszałka oraz jego żony Anny z Tęczyna a brat prymasa i Jana Feliksa Oleśnickich, zwący się z Pińczowa (1), wedle Długosza 1457 jest w Gdańsku na przyjęciu Karola Szwedzkiego przez Kazimierza III, 1461 ujmuje się za Jakóbem Sienińskim, niedoszłym biskupem krakowskim, za co dopiero 1463 r. uzyskał przebaczenie. Zdaje się że ten Jędrzej, („nepos" kardynała) przywłaszczył sobie wbrew klątwie wyrzeczonéj na ten przypadek przez biskupa-kardynała, stryja, trzy łany przezeń kupione w Chocimowie (2). Ten fakt, podobnie jak obecność przy potwierdzeniu królewskiém wszech przywilei z 1470 (3), rozgłośności Jędrzejowi przyczynić nie mogły. Jedynie do „dawnego obyczaju" powtórzonego w chwili wojny przez poemat uniewinnionéj, można zastosować ujęcie się Jędrzeja za Sienińskim w 1461. Był żonaty z Katarzyną Kurowską (4), a 1470 wytoczył sprawę Skarbimirzanom (5).

Drugi sprzymierzeniec prymasa Jędrzej z Szamotuł, „któremu silny Kalisza zamek tytuły pisze", jako „zięć" (*gener*) za Jędrzejem Oleśnickim „postępuje" „z samym kołczanem", a „nazwisko bierze od miasteczka ojcowego".

Dzieje tego Jędrzeja są nieco lepiéj znane. W r. 1474 wspomniany jest jako właściciel zamku międzyrzeckiego, któren zagarnął chwilowo z pomocą Węgrów i Głogowian, służebnik Piotra z Szamotuł, dawnego starosty, Kacper Zach h. Trach. Późniéj król zwrócił zamek Szamotulskiemu, za namową „dwu senatorów najzaufańszych." Widać stąd, że był już wcześniéj Jędrzej ten kasztelanem w Międrzyrzeczu, gdzie téż (wedle prof. Pawińskiego) miał siedzieć od 1472 (6). W latach 1478 do 1485 on i brat jego, jako dzierżawcy cła poznańskiego, w skutek dziennych zatargów z magistra-

---

(1) Długosz *liber. benef.* III, 138, 129; *Historia* XIII 246. r. 1457; Helcel II, str. 832 N. 3775 i 3900 (3701, 3704) 3973, 419; 4230, 4298. — (2) *Lib. ben.* II, 477. — (3) *Cod. epist. sec. XV*, I, str. 248. N. 217. — (4) Helcel II. N. 4529, 4431. — (5) Helcel II. N. 4025. — (6) Por. 1476. *Herby* Paprock. str. 940; 1475, dziedzic ruskich włości A. G. Z. II, str. 214—217. Czyby jego ojcem był Wincenty z Szamotuł starosta ruski, po którym dziedziczył te majątki w Galicyi?

tem i mieszczaństwem Krakowa o niesłuszny cła pobór (1) mieli sprawę na sejmie w Piotrkowie i Kole. W pierwszéj dacie Jędrzej jest jeszcze kasztelanem międzyrzeckim, w drugiéj gnieźnieńskim (2), gdy brat jego Jan Swidwa, zrazu tylko dworzanin, 1485 21/2 jest już wojewodą kaliskim. Te awanse są tém ciekawsze, że obaj bracia mimo wyroku z 1478 dla nich nieprzychylnego, ponownie taki sam na się ściągnęli 1485 z dodatkiem zlecenia krakowian w opiekę ówczesnemu staroście Wielkopolski Mikołajowi z Kutna. Obaj więc dygnitarze mogli władzy stawiać opór, nie ulegać królowi, a jednak (może właśnie dla tego)... iść w górę. Zwykła to charakterystyka tych czasów, które w dziejach naszych zupełnie odpowiadają zatargom wasalów, większych i mniejszych, ze swymi królami na zachodzie Europy. (Mówiąc nawiasem, ta analogia powinna w nas łagodzić moralny niesmak, podobnym widokiem wzbudzony. Konieczna to i ogólna faza rozwojowa, któréj poznanie nic nie ma wspólnego z *pietas* patryotyczną).

W listopadzie 1488 na sejmie piotrkowskim na kasztelanii gnieźnieńskiéj siedzi Sędziwoj z Czarnkowa, a na kaliskiéj nasz Jędrzej z Szamotuł wbrew wydawcy po rok 1497 (3), objąwszy ją po Bartłomieju Gruszczyńskim z Iwanowic, dziedzicu Koźmina (kasztelanie jeszcze 1485 r.). W téj téż epoce musiały zajść wypadki opisane w poemacie, to jest przygotowania do walki między spadkobiercami powaśnionych z sobą o Koźmin braci Gruszczyńskich, Bartłomieja (więc i Oleśnickich) oraz Mikołaja Kośmidra (4).

Rola Jędrzeja ciekawie jest określona w walce: *Hunc gener Andreas sequitur... cum sola faretra.* „Sam kołczan“ może oznaczać stan zupełnéj bierności, bo jako „sam“ nie ma strzał, do zaczepki tedy nie może służyć. Co najwyżéj, Jędrzej zachowywał (jeśli słusznie tłómaczymy przenośnią) przychylną neutralność dla prymasa. Poeta, z umysłu, zestawieniem *forte castrum*, ze zwrotem *cum sola faretra* mógł nawet chcieć zaakcentować sprzeczność, jaka istniała między środkami wojennemi kasztelana (obronny zamek) a rodzajem jego udziału (sam, to jest pusty kołczan, orszak bezbronny)?

---

(1) Kodeks dyplom. Krakowa, I, str. 265, 269.—(2) Gnieźnieńskim był w styczniu 1484 (Bartosz. *Cod. dypl.* III, 453) Jędrzej a Jan Mielżyński 1480 (Rzyszczew, I, 341—2). (3) Kod. dypl. Krakowa, V, str. 280—1. Przez omyłkę druku, jest (str. 24) uczyniony wojewodą kaliskim 1493, gdy tego 1493 jest tym wojewodą Jan Swidwa z Szamotuł, (*Mon. Med. Aevi* V, str. 287. A. G. Z. VII i 79), a 1496 Sędziwoj z Czarnkowa (*Jus Pol.* Bandtkie 359. Kod. Mazow. 307—310; od 1501 3/10 Mikołaj z Lubrańca (do 1501 kasztel. gnieźn. Kod Mazow. 320—328, Rzyszczews. str. 305), A. G. Z. IX, 156, wojewodą kaliskim jest 1501 8/2 i dopiero po śmierci Jana Ostroroga mógł zostać wojewodą poznańskim (A. G. Z. IX, 189). Jest nim 3/10 1801 (Rzyszcz. I, 356). — (4) W broszurce, str. 22 n. 2 mylnie cześnikiem sandomierskim za sieradzki wydrukowany.

Taż sama myśl delikatnéj nagany, owiniętéj w pochwalne niby wyliczenie zalet, tkwić się zdaje w wierszu następnym:

w. 51. Hujus forma, genus, mores, prudencia, virtus
w. 52. Nota, et vicino cuicunque potencia magna est.

Owa „potęga każdemu sąsiadowi wielka" jakby na antytezę wygląda do tego „samego kołczana", z którym śpieszy w pomoc arcybiskupowi posiadacz „silnego zamku". Znaczyłoby to, że Jędrzej z każdym drze łatwo koty, groźny każdemu jest nawet, a tu, chłodno się zachowuje, tu z pustą ręką przychodzi, zamiast dobyć w innych sprawach nieleniwego oręża (1).

Brak mi danych do orzeczenia, byłli ten Jędrzej z Szamotuł *gener* to jest mężem siostry prymasa czyli „szwagrem", jak chce uczony wydawca, lub téż zięciem prawdziwym (jak sądzimy) Jędrzeja Oleśnickiego, „zą którym idzie" (*hunc sequitur*). Za to wyjaśnienie pokrewieństwa, *deque sorore nepos mox arripit arma Johannes Signifer*, z Niesieckiego przez dra Kętrzyńskiego poczerpnięte, zdaje się, że możemy zmodyfikować dowodniéj. Mianowicie powieść „aczkolwiek niedokładna" Niesieckiego, że dwie Oleśnickie poszły za Szamotulskiego i Walewskiego, ma wszelkie pozory bycia wziętą choć w części przez jezuickiego heraldyka z Paprockiego. Ten ostatni w *Herbach* (2), cytuje spółczesnego sobie Adama Walewskiego, wnuka Kościeleckiéj, wojewodzianki brzeskiéj a przez tę matkę, prawnuka Oleśnickiéj z Bochotnicy, wojewodzianki lubelskiéj. Stąd wynika, że Johannes Signifer z XV w. nie może się nazywać z tytułu owego małżeństwa XVI-o wiecznego: Walewskim. I ślub drugiéj Oleśnickiéj może u Niesieckiego pochodzić z Paprockiego, źle zrozumianego (3).

Wyznajemy szczerze, że taki negacyjny rezultat zupełnie nas nie zaspakaja, i wolelibyśmy być w stanie wyraźne daty położyć przy owym *de sorore nepos Johannes signifer*. Nastręcza się tylko uwaga, czy poeta latynizując (jak sądzi wydawca) nazwisko Kościeleckich (*Templarius*), Bobrowskich (*de castorum arce*), Borowskich (*Silvanus*) Szamotulskich, (*sola faretra*); tegoż nie zrobił z nazwą Jana, i zamienił ją w *Signifer*, któraby w takim razie oznaczała nie „chorążego", jak sądzi sz. wydawca, ale nazwę któréj z rodzin pieczętujących się herbami Radwan lub Przyrowa.

Co do osobistości ukrytéj pod nazwą *Templarius*, możnaby zauważyć, że będący nim, wedle wydawcy, Mikołaj Kościelecki, kaszte-

---

(1) A może prosty Kalambur „same tuły" (*solae faretrae.*)? — (2) Wyd. Turowsk. str. 159, 594. — (3) Piotr Czarnkowski żonaty z Kościelecką (210, 519), mógł być wzięty za Piotra z Szamotuł z XV w.

lan kruszwicki, tylko pomyłką zapewne druku, umorzony jest 1494, gdyż jako żyjący występuje na aktach z 1496 r. (1).

Andrzej z Woli kasztelanił w Kruszwicy 1490 r. (2), co jeszcze dokładniéj niż kasztelaństwo kaliskie Jędrzeja z Szamotuł określa czas pisania fragmentu.

Wykład *Silvanus* przez Borowski u wydawcy może dałby się zastąpić przez kogoś z rodziny z téj saméj, z któréj pochodzi znany 1446 r. kasztelan nakielski Maciej Borek z Osieczny (3). Nadmieniwszy, że *facundus Firlegius*, ze względu na przydomek „wymowny“, pewno wzięty z najbliższych okoliczności, mógłby oznaczać w r. 1488 wysłanego w poselstwie do Bajazeta tureckiego, Mikołaja Firleja z Dąbrowicy i sprawcę pokoju z tym sułtanem od 21/3 1489 na lat 2 (4), przechodzimy do niezmiernie ważnéj wzmianki poematu o Sciborze która, podobnie jak początek odczytu sz. wydawcy, zwraca się do nieznanych dotąd poematów, i poetycznéj działalności naszego narodu przed XV w. Ustęp rzeczony poematu brzmi:

Venit item letus Stiborius ille, facetus (5)
Qui carmen vulgare iocis scit fingere.....

Pomijając daty biograficzne Scibora292 Szameckiego, o którym tu mowa, na razie tak pojętego chronologicznie, jak chce tego wydawca (6), godzi się zauważyć, że w przekładzie dr. Kętrzyńskiego zdaje się zawierać pewien rys charakterystyczny. Mianowicie rzeczony przekład brzmi: „Przybył także wesoły Scibor Poniecki ów żartowniś, który krotochwilne umiał składać wiersze w polskim języku“... Zdaje nam się, że należy odróżniać *carmen vulgare* od *iocis scit fingere*, i obu nie podciągać pod kategoryą określeń *letus* i *facetus* tak pojętych, jak to czyni dr. Kętrzyński:

Letus może oznaczać wprost tylko „przyjemność czyniący“ jako rymotwórca, jeżeli nie jestto *lentus* (ze względu na wiek późny). *Facetus* może określać dodatnio stopień wykształcenia Scibora, lub też odnosić się do jego sprawek donkiszockich, w rodzaju znanéj z r. 1450 (7), gdzie żart polegałby na odbiciu przez Scibora banity i rozbójnika Kieperlina z gródka Ponieca, gdzie był więziony, na czele 60 szlachty i 100 pachołków przez Scibora z Ostrowa.

Carmen vulgare znaczy istotnie wiersz polski, co pomnaża liczbę poetów polskich nową nieznaną dotąd z téj strony postacią rycerza sędziego i starosty Scibora.

---

(1) Kod. Mazow. str. 307—310. *Jus Polonic.* Bandtkie, str. 359. — (2) Helcel II, N. 4363. — (3) Rzyszczew. I, str. 329. Inni właściciele Borka, Łukaszewicz, Krótki hist. stat. opis miast i wsi, II. 5—8. — (4) Kod. dypl. Krakowa str. 291. — (5) Waryant *facetus Ponyeczski.* — (6) Sądzilibyśmy, że Scibor poematu jest innym od starosty z 1460. — (7) Helcel II, N. 3409. W 1469 sędzią jest II, N. 3947.

Atoli *jocis scit fingere* zdaje się coś więcéj orzekać niż „krotochwilne składanie“. Mianowicie musi tu być mowa o ilustrowaniu poematu (*carmen*) polskiego jakąś akcyą, czy to twarzy, czy ciała. Już wyrażenie Liwiusza (VII 10 § 13) *inter carminum prope in modum incondita quaedam militariter joculantes* wskazuje na coś więcéj jak proste żarty, dowcipy. U czeskiego Kosmasa (ks. III wstęp) podany opis zaduszek, styp czy tryzien: *iocos profanos*, *quos super mortuos suos*, *inanes cientes manes*, *ac induti faciem larvis bacchando exercebant*, łączy te *joci* (*profani*, byłyć więc i *sacri*?) ze śpiewem i przebraniem, a dodaje im charakterystyczny epitet *bacchando*, w szale tym samym dytyrambicznym, który w Grecyi miał zrodzić sztukę dramatyczną. To téż już wspomniany akt Kazimierza W. 1336 r. a przeciw zbytkom krakowian wydany, wymienia po weselach jokulatorów, odróżnionych od rymarzy, którzy śpiewają i deklamują *canciones*. Niemiecki wilkierz z 1363 r. (1) zupełnie zgodnie z tym naszym wnioskiem pierwszych zowie *spielleute* a drugich *zenger i lytssprecher*.

Może najciekawszy dla naszéj kwestyi jest tekst ustaw dyecezyalnych prymasa gnieźnieńskiego Mikołaja II Trąby, wydanych 1420 (w Wieluniu i Kaliszu) dla duchownych całego kościoła polskiego (2). Powtarzając niejako zakazy synodalne z 1279 (§ 8), 1326 (§ 1), by duchowni unikali społeczności jokulatorów, jak innych aktorów *(mimis histrionibus—goliardis et buffonibus—joculatoribus non intendant)*, Mikołaj II zarazem objaśnia wyraz *joculator* wyrażeniem *turpis verbi vel facti esse joculatorem*, *vel jocum seculare diligere*. Tu wyraźnie jokulator jest nazwany wykonawcą szpetnego słowa lub czynu, a więc jest uznany za niewątpliwego aktora, recytującego lub grającego ciałem i twarzą treść poematu. Co do joty zgadza się to z przekładem *joculatores*, uczynionym w Wilkierzu z 1363 r. przez wyraz *Spielleute*, nie *Sänger*, ani też *Liedsprecher* (3).

Dzieje zachowały nam imię pierwszego znanego dotąd jokulatora w Wielkopolsce. Jest to Juryk (Jurzyk? Jerzy), o którego nadaniu wsi dla kościoła mówi Władysław Ottonicz, czytamy pod 1239 r. (4). W 1388 występują Wacław z towarzyszami „jokulatorzy nagradzani z rozkazu Jagiełły, a 1441 Rafael Taraszko, rusin, jokulator ówczesnego żupnika soli wielickich czy drohobyckich (?) (5).

---

(1) *Starożytności polskie* Grabowskiego str. 101. — (2) *Starod. Pom. Prawa pol.* IV, 233. — (3) To okazuje mylność przekładu Grabowskiego. (*Skarbniczka Archeologii* str. 202), przez żartowniś, błazen, trefnis. — (4) Kod. Wielkopolski, N. 180, I, str. 156. (5) Grabow. l. s. l.

Gdy teraz w świetle tych objaśnień źródłowych, zechcemy jeszcze raz rozważyć talent Scibora z Ponieca *scit fingere jocis carmen vulgare*, okaże się prawdopodobnie możliwość utworzenia hypotezy, że to określenie czynności Scibora oznacza chyba jego umiejętność wyrażania i odtwarzania mimiką i gestykulacyą treści poematów polskich.

Gdyby tak było, to cały poemat, choćby nam nic innego nie przynosił, już z tego względu, jako przyczynek do dziejów dramaturgii XV wieku byłby nieoceniony.

O. B-a.





ZE ŚWIATA CZĄSTECZEK.

Żyjemy w dobie rozkwitu atomistyki. Objęła ona przewodnictwo całych działów wiedzy; łączy i porządkuje zjawiska i spostrzeżenia; tłómaczy ich związek; rozwija się spokojnie, lecz trwale. Kontroluje nieustannie prawdziwość swych wywodów; dociekania dalsze zasadza na rezultatach, zdobytych poprzednio. Przypadają jéj przeto znamienne cechy teoryi naukowéj.

A jednak liczyła atomistyka już za czasów greckich przeciwników pośród wybitnych myślicieli i odtąd spadały na nią wielokrotnie sądy potępienia. Zbadawszy zarzuty, które dziś jeszcze atomistyce stawiane bywają; wydobywszy na jaw, o ile mogłem, sądy jéj wrogie, które, choć nie głoszone publicznie, w niejednym umyśle panują, przekonałem się, iż wynikają one z niezrozumienia celu, który atomistyka, jak każda w nauce teorya, zakłada sobie; lub z lekceważenia doniosłości w s z e l k i c h w o g ó l e teoryi.

Nieporozumienie, dotyczące celów atomistyki, przytrafia się często, lecz wyjaśnia się łatwo. Nierównie trudniéj jest zwalczyć lekceważenie, które z przykrem zadziwieniem spotyka się niekiedy w poglądach ludzi, oddających nawet nauce istotne usługi. Jako poparcie zdań lekceważących przytaczane nieraz bywają orzeczenia o istotnéj wartości hypotez, a w szczególności hypotez atomistycznych, wypowiedziane przez uczonych rozgłośnych. Lecz pomiędzy głębokim krytycyzmem, cechującym wielkie umysły a powierzchowną pochopnością do odrzucania rozumowań, cechującą małe, leży przepaść, któréj nie dostrzegają małe.

Krytycy podobni sądzą, iż o ruchach i własnościach cząsteczek i atomów—jeżeli nawet cząsteczki i atomy istnieją — nic wiedzieć nie możemy; zwą zatém rzeczą próżną i dowolną budowanie

hypotez o ruchach i własnościach cząsteczek i atomów, a rozumowaniom i wnioskom, opartym na téj podstawie, odmawiają wartości umiejętnéj. W sądach takich przesłanki są błędne. Zjawiska, które dostrzegamy, są (zawiłemi wprawdzie) objawami ruchów i własności cząsteczek i atomów. Badając zjawiska, możemy więc nabierać coraz nowych wiadomości o cząstkach i atomach, podobnie jak mógłby wytworzyć sobie pojęcie o osobach, wiodących rozmowę, ktoś, słyszący i rozumiejący ich mowę, choćby ich nie znał i nie widział. Jak powiedziałem na wstępie, atomistyka jest dzisiaj ś c i s ł ą, jest naukową.

Wprowadzeniu poglądów atomistycznych do nauk ścisłych opierali się jeszcze nieraz matematycy, przeciwstawiając im hypotezę, iż materya jest bezwzględnie ciągłą. Hypoteza ta jest niezaprzeczenie ponętną. Gdyby była prawdziwą, zawarlibyśmy wszystkie własności materyi w niewielu wzorach, prostych i ogólnych; aby zjawiska fizyczne rozumiéć, potrzeba by było tylko we wzorach owych czytać. Atomistyka zaś usuwa im podstawę. Wszelako o prawdziwości hypotez ponętność ich nie może rozstrzygać. Napróżno szukalibyśmy, kierując się przypuszczeniem o ciągłości materyi, wyjaśnienia tych właśnie szeregów zjawisk, z których urodziła się nowoczesna atomistyka. Wobec praw tworzenia się związków chemicznych, wobec zjawisk rozszerzania się ciał pod wpływem ogrzania, kurczenia się ich przy ściskaniu, wobec zjawisk dyfuzyi i osmozy, wobec zjawisk rozpuszczalności, różnic stanów skupienia, wobec faktów izomeryi, wobec nowych poglądów o istocie ciepła, wobec tylu innych jeszcze — przypuszczenie o bezwzględnéj ciągłości materyi oddawna już stoi bezsilne.

Chwilą narodzin atomistyki umiejętnéj było odkrycie i wytłómaczenie (przez Daltona) praw, według których tworzą się związki chemiczne. Pierwiastki wchodzą do związków w stosunkach stałych, to jest niezależnych od okoliczności, w których związek powstaje. Z jednakowych pierwiastków, wchodzących w rozmaitych stosunkach do związku, powstają połączenia rozmaite; wszakże ilości pewnego pierwiastku w tych ciałach złożonych, są wzajemnie wielokrotne. I wogóle stosunkowa ilość, w któréj jakikolwiek pierwiastek łączy się z innemi, jest bądź jedną i tąż samą dla wszelkich związków danego pierwiastku, bądź wielokrotną pewnéj minimalnéj ilości.

Podstawowe te prawa prowadzą natychmiast do atomistycznego tłómaczenia. Przypisując atomom każdego pierwiastku masę

jednakową i niezmienną, zakładając, że atomy nie ulegają zmianie masy podczas reakcyi chemicznych, tylko grupują się na sposób odmienny od początkowego, widzimy, iż wspomniane prawa wynikają, jako naturalne następstwa, z poczynionych przypuszczeń. Odtąd atomistyka zapanowała w chemii; zdaje mi się wszakże, że w téj pierwszéj fazie swego rozwoju rozszerzyła się, lecz nie pogłębiła. Dla chemii atomistycznéj pojęcie masy atomowéj było podstawą zasadniczą, niemal wystarczającą; usiłowania jéj dążyły do wykrycia wzajemnego zachowywania się atomów w cząsteczkach związków. Chemicy-atomiści odosobniali w abstrakcyi pojedynczą cząsteczkę badanego połączenia, szukali jéj budowy i starali się tą drogą w ł a s n o ś c i związków tłómaczyć.

Druga doba rozwoju atomistyki poczęła się od powstania kinetycznéj teoryi gazów (1). Teoryą tę wolno uważać za najdaléj wysuniętą placówkę ogólnéj kinetycznéj teoryi materyi. Teorya taka widzi naraz wszystkie cząsteczki; poruszają się one, działają na siebie, spotykają się wzajemnie według praw mechaniki. Teorya kinetyczna znajduje wytłómaczenie z j a w i s k, którym podlega materya, w analizie matematycznéj tego szybkiego, pogmatwanego, na pozór zupełnie bezładnego ruchu cząsteczek.

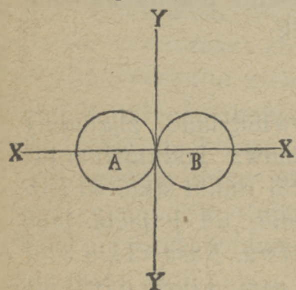
Dla sprawdzenia wszystkiego, co tu powiedziano, zbadajmy teraz jedno z zagadnień kinetycznéj teoryi gazów. Podniosłem już powyżéj okoliczność, że główny przedmiot téj nauki stanowi rozważanie ruchu cząsteczek. Ważną cechą ruchu, od pojęcia jego nieodłączną, jest p r ę d k o ś ć, z jaką się odbywa. Nasuwa się więc pytanie: czy wszystkie cząsteczki, składające pewną ilość gazu, poruszają się jednakowo, czy niejednakowo prędko?

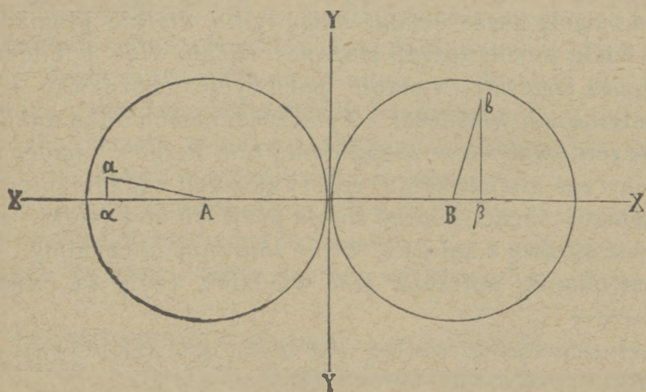
Wydać się może, iż na zapytanie to odpowiedzieć jest niepodobna. Na zmysły nasze działać mogą tylko wielkie gromady cząsteczek, z wielu pojedynczych złożone: różnic więc pomiędzy cząsteczkami nie jesteśmy w stanie pochwycić. Poznawać możemy tylko przeciętne ich własności. Tymczasem mechanika analityczna pozwoli zoryentować się w zagadnieniu tém w sposób nader prosty; po głębszém zaś rozpatrzeniu rzeczy pozwoli zagadnienie rozwiązać. Wszelako, chcąc opierać się na prawach mechaniki, musimy zdawać sobie sprawę z założeń, które tém samém czynimy. Do rachunków mechaniki potrzeba jest wiedzieć, czém są cząsteczki?

(1) Czytelnik zechce przypomnieć sobie artykuł p. t. „O jedności materyi", pomieszczony w zeszycie „Ateneum" za styczeń 1886 r.

czy są np. ciałkami sprężystemi, które uderzają się i odskakują od siebie, czy też są niezmiernie małemi bryłkami materyi, działającemi na siebie wzajemnie z odległości, podobnie jak ciała niebieskie, nie dochodzącemi nigdy, lub w niezmiernie tylko rzadkich wypadkach, do bezpośredniego zetknięcia? Jakkolwiek osobiście przekonany jestem, iż cząsteczki są raczéj drugiém niż pierwszém, pragnę jednak rozumowania poniższe przeprowadzić w założeniu, iż cząsteczki zachowują się jak kule sprężyste. Wybór tego założenia ułatwia bowiem pojmowanie rzeczy, na rezultat zaś, do którego doprowadzeni zostaniemy, wpływa tylko drugorzędnie.

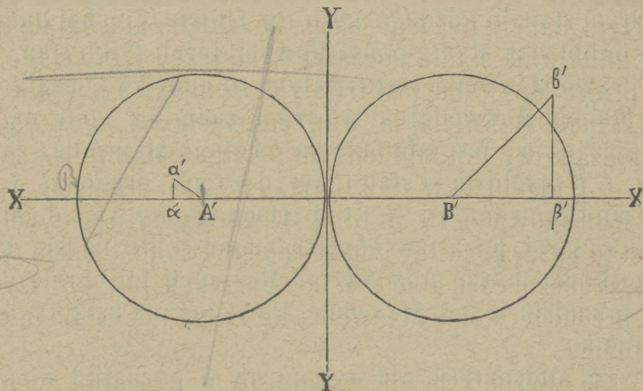
Wróćmy teraz do szybkości, z jaką poruszają się poszczególne cząsteczki jakiego bądź gazu jednorodnego. Wszystkie one mają masę jednakową; dla czegoż więc nie miałyby być równouprawnione pod względem prędkości? zkąd źródło jakiejkolwiek nierówności? zapyta czytelnik. Wystawmyż sobie stan gazu taki, iż wszystkie cząsteczki poruszają się z jednakową prędkością i nazwijmy go „stanem równouprawnienia“. Przekonamy się, iż stan równouprawnienia, gdyby w jakimkolwiek gazie na chwilę się urzeczywistnił, po krótkim czasie przestałby istnieć. Przypuśćmy, iż dwie cząsteczki o równych masach A, B spotkały się z sobą. Niech rysunek oboczny przedstawia je w owéj nader krótkiéj chwili, przez którą pozostają z sobą w zetknięciu. Przypuśćmy, że w chwili téj przeprowadziliśmy przez środki obu kul linią prostą XX; prosta ta łączy więc miejsca, w których środki obu kul podczas zetknięcia się znajdują. Niech linia YY będzie do XX prostopadłą. Przypuśćmy, iż wiemy, z jaką prędkością poruszała





się każda kula przed uderzeniem; mechanika uczy sposobu, jakim możemy znaleść prędkości obu kul po uderzeniu. W tym celu na-

leży r o z ł o ż y ć geometrycznie prędkość ruchu danéj kuli przed spotkaniem (rezultants) na dwie składowe (komponenty), z których jedną będzie rzut prędkości na linią XX, drugą rzut jéj na linią YY. Inaczéj mówiąc składowemi będą przyprostokątne $B\beta$ i $b\beta$, $A\alpha$ i $a\alpha$ w trójkątach $Bb\beta$, $Aa\alpha$, jeżeli przeciwprostokątne Aa, Bb przedstawiają wielkość i kierunek prędkości obu kul przed spotkaniem. Przypuśćmy, że panuje w gazie stan równouprawnienia; prędkości kul przed spotkaniem się więc równe: $Aa = Bb$. Chcąc otrzymać prędkość kul po spotkaniu, należy teraz: dla kuli B złożyć składową $b'\beta'$, równą dawnéj $b\beta$, z nową $B'\beta'$, równą dawnéj $A\alpha$; zaś dla



kuli A złożyć składową $a'\alpha'$, równą dawnéj $a\alpha$, z nową $A'\alpha'$, równą dawnéj $B\beta$. Innemi słowy: na skutek uderzenia składowe prędkości w kierunku XX zostają pomiędzy kulami wymienione, składowe w kierunku YY pozostają bez zmiany. Prędkości ostateczne odpowiadają przeto co do kierunku i wielkości liniom $A'a'$ i $B'b'$. Dwie kule o masach równych, które przed spotkaniem biegły z równą prędkością, odskakują więc od siebie po uderzeniu się z prędkościami wogóle mówiąc nierównemi. Do równości ostatecznych prędkości potrzeba by jeszcze, jak widzimy, jednakowego nachylenia kierunku obu prędkości względem linii XX, łączącéj środki kul podczas spotkania. Cząsteczki biegną we wszystkich możliwych kierunkach, a zatém olbrzymia większość spotkań cząsteczkowych niweczyłaby jednakowość prędkości wszystkich cząsteczek. Zważmy wreszcie, iż każda cząsteczka spotyka się wciąż z wielką, z bardzo wielką liczbą innych cząsteczek, z kilku tysiącami milionów w ciągu jednéj sekundy, jak wylicza teorya kinetyczna; okazuje się, że stan owego równouprawnienia cząsteczek pod względem prędkości, gdyby nawet zapanował kiedykolwiek pośród cząsteczek jakiegobądź gazu, nie przetrwałby dłużéj, niż przez nadzwyczaj drobną część sekundy.

Tym sposobem przekonaliśmy się, iż stan gazu, polegający na równości prędkości biegu wszystkich cząsteczek, jest nietrwałym; istotny stan musi przeto być odmiennym. James Clerk-Maxwell dostrzegł pierwszy, że istnieje pewien stan, który jest trwałym; pewien sposób rozdziału prędkości na pojedyncze cząsteczki gazu, którego spotkania cząsteczek zachwiać by już nie mogły, gdyby w gazie zapanował. Jednocześnie okazał Maxwell, że jest mało prawdopodobném, aby istniał inny stan (odmienny sposób rozdziału prędkości), któryby również był trwałym. Stąd już wnosić trzeba, że stan, określony przez prawo Maxwella (które zaraz bliżej roztrząśniemy), jest rzeczywistym stanem każdego gazu. W istocie, niechaj dany będzie gaz w jakimkolwiek stanie początkowym; jeżeli tylko stan, określony przez prawo Maxwella, jest trwałym, to albo ów początkowy stan gazu jest stanem Maxwella, a wówczas zachowa go i nadal, albo stan ów początkowy jest odmiennym od stanu Maxwella, zatém jest nietrwały, t. j. przejdzie w stan inny; do tego drugiego stosuje się tož samo wnioskowanie i t. d. i t. d. Dochodzimy więc do alternatywy: albo stan gazu, pozostawionego samemu sobie, będzie się zmieniał do nieskończoności, albo téż, po dłuższych lub krótszych przemianach, przejdzie w stan Maxwella, który już nie ustąpi miejsca żadnemu innemu.

Pierwsza alternatywa nie wydaje się z początku niemożliwą. Spojrzyjmy na miryady naszych cząsteczek; patrzmy na cząsteczkę *A*. Dokoła niej biegną inne cząsteczki: jedne wolno, inne prędko, te pod górę, tamte w bok, inne na dół. Którą z pomiędzy nich uderzy nasza cząsteczka *A*? Jak się uderzy, centralnie, czy bokiem, czy stycznie? — jakże trudno powiedzieć! A od wszystkiego tego zależy prędkość, jakiéj nabędzie w spotkaniu najbliższém. I czy może istnieć prawo, które dotyczyłoby wielkości tak kapryśnéj, zależnéj, zda się, tylko od przypadku?

Gdyby było w gazie dziesięć cząsteczek, prawo, o którém mówimy, nie działałoby wcale. Liczba możliwych kombinacyj prędkości i kierunków ruchu cząsteczek przed spotkaniem jest tak wielką, że wypadałoby czekać przez długie okresy czasu, zanim by zdarzyła się po raz drugi kombinacya dokładnie taka sama, jak pewna kombinacya, wydarzona po raz pierwszy. Cząsteczki zmieniałyby coraz daléj prędkości, z jakiemi biegną, nie zbliżając się do żadnego prawidłowego rozkładu prędkości. Wszelako te ilości gazów, które działają na zmysły nasze, składają się z trylionów cząsteczek (1).

(1) W jednym centymetrze sześciennym dowolnego gazu, przy 0°C i 760 mm. ciśnienia znajduje się 21 tryllonów cząsteczek.

W tak znacznéj liczbie cząsteczek poczynają się ukazywać prawidłowości, które przybrałyby postać ścisłego prawa wtedy dopiéro, gdyby liczba cząsteczek była nieskończoną. Na skutek bardzo znacznéj liczby cząsteczek nie ma takiéj prędkości, któréjby nie można było odnaleźć pomiędzy cząsteczkami gazu. Co więcéj: zdarza się, iż pewną określoną prędkość ma nie jedna, lecz wiele cząsteczek. Wprawdzie każda cząsteczka zmienia swą prędkość w każdém spotkaniu; lecz każdemu przypadkowi zaniknięcia pewnéj prędkości odpowié natychmiast lub prawie natychmiast przypadek pozyskania takiéjże prędkości przez inną cząsteczkę. Podzielmy wszystkie cząsteczki na kategorye tak, iż cząsteczki, mające jednakową prędkość, zaliczymy do jednéj kategoryi. Wówczas powiemy: liczba cząsteczek pozostaje w każdéj kategoryi stałą, choć pojedyncze cząsteczki przechodzą nieustannie z jednéj kategoryi do drugiéj. Jakkolwiek bowiem rozmaitym może być przebieg spotkania, to jednak, powtarzany niezmierną liczbę razy, wyda on stałe rezultaty: stałą liczbę prędkości małych, stałą liczbę średnich, stałą — wielkich. Mamy tu do czynienia z prawem, które każdy przeczuwa. Nazwano je „prawem wielkich liczb“ i przybrano w formę twierdzenia matematycznego, dzięki pracom Bernouilli'ego i Laplace'a. Jakże zawiłemi są przyczyny, które wywołują obniżenie lub podniesienie się temperatury, ciśnienia lub wilgotności atmosfery w danéj miejscowości; jakże zawiłemi są przyczyny, które powodują samobójstwo człowieka, które sprawiają, iż adresując list, zapomniano wymienić miasto, do którego list ma zostać przesłanym. A jednak zmiany meterologiczne, uważane w długich okresach czasu, okazują bieg prawidłowy, który podobna jest ująć w stosunkowo proste wzory analityczne. A jednak liczba samobójstw, spełnianych corocznie, lub listów o adresach nie zupełnych, jest stałą—przynajmniéj tam, gdzie warunki, pod wpływem których żyje społeczeństwo, nie ulegają nagłym zmianom. Podobnież dzieje się w świecie cząsteczkowym.

Na wielkość prędkości cząsteczkowych wpływają warunki zewnętrzne, np. temperatura gazu. Przypuśćmy, że przy danéj temperaturze przeciętną prędkością cząsteczek gazu jest prędkość 500 metrów na sekundę. Spotkania cząsteczkowe wytwarzają więc szybkości mniejsze i większe od 500 metrów, tak iż wpływ ich wzajemnie się równoważy. Oczywistą wszakże jest rzeczą, że trzeba wyjątkowego zbiegu okoliczności, aby cząsteczka nabyła niezmiernie wielkiéj lub niezmiernie małéj prędkości, bardzo odległéj od 500 metrów i że takie prędkości muszą trafiać się rzadko. Żeby urodził się człowiek, genialnemi obdarzony zdolnościami, potrzeba zejścia się wielu warunków; iluż jeszcze trzeba, by zdolności te właściwie

skierowane zostały, rozwinęły się należycie i stworzyć mogły jakiekolwiek dzieło wielkie. To też ludzie genialni są wyjątkami; ludzi utalentowanych jest w każdém społeczeństwie i każdego czasu względnie szczupłe grono; społeczeństwa składają się prawie wyłącznie z jednostek, mało różnych od przeciętnéj. Gdy mierzymy jakąbądź wielkość, popełniamy, wogóle mówiąc, pewien błąd, o nieznanéj nam wielkości. Błąd mały może się łatwiéj przytrafić, niż wielki, jeżeli obserwujemy starannie; zatém w szeregu liczb, jakie otrzymamy dla mierzonéj przez nas wielkości, znaczna większość będzie się wahała około pewnéj przeciętnéj wielkości a tylko mały procent danych okaże znaczniejsze odstępstwa. Tak samo zupełnie, pośród cząsteczek: zarówno małe, jak wielkie prędkości, są rzadkością i większość cząsteczek biegnie z prędkością, niezbyt różną od przeciętnéj.

Jakaż jest zależność pomiędzy wielkością pewnéj prędkości a liczbą cząsteczek, które prędkość tę mają? Takie pytanie rozwiązał właśnie Maxwell; wzór, dający na nie odpowiedź, nosi nazwę prawa Maxwella. Wzór ten nie zainteresowałby czytelnika, nie przygotowanego matematycznie; zastąpimy go przeto omówieniem, wyjętem z książki O. E. Meyera p. t. „Kinetyczna teorya gazów“.

Cząsteczki tlenu, znajdującego się przy temperaturze 0°C., poruszają się (porównaj powołany wyżéj artykuł) z prędkością przeciętną 425 metrów na sekundę. *Z* pomiędzy tysiąca cząsteczek tlenu, tylko 13 ma prędkość, mniejszą od 100 metrów; 82 cząsteczki mają prędkość zawartą pomiędzy 100 a 200 metrami; 167 cząsteczek—między 200 a 300 metrami; 215 cząsteczek—między 300 a 400 metrami; 203 cząsteczki—między 400 a 500 metrami; 152 cząsteczki—między 500 a 600 metrami; 92—między 600 a 700 metrami; i wreszcie 77 cząsteczek ma prędkość, wyższą od 900 metrów.

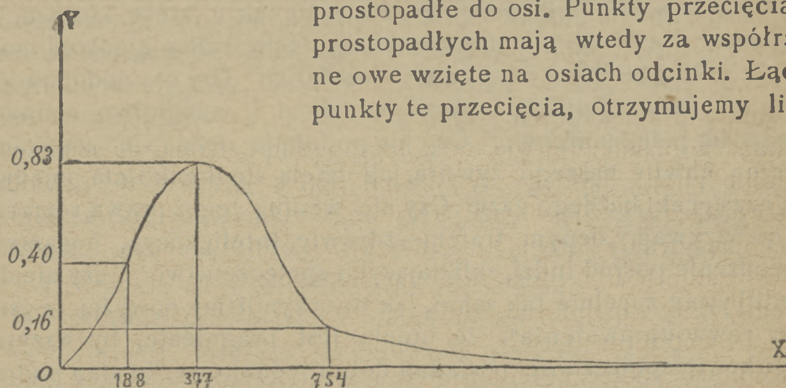
Od przeciętnéj wielkości prędkości należy odróżniać n a j p r a w d o p o d o b n i e j s z ą, tj. tę, która się najczęściéj przytrafia, która przypada największéj liczbie cząsteczek. Prędkości: przeciętna i najprawdopodobniejsza są blizkie siebie, ale nie są sobie równe. Wyjaśni się to na prostym przykładzie. W szeregu liczb:

0; 1; 1; 3,5; 2; 2; 9; 4; 4; 4; 7,5; 8; 0; 3; 5; 4; 3

liczba *4* przytrafia się najczęściéj; najprawdopodobniejszą więc liczbą w tym szeregu jest *4*. Przeciętną zaś otrzymamy, dzieląc ogólną sumę liczb, tj. *61*, przez liczbę ich, tj. przez 17. Przeciętna zatém wynosi około 3,6. Jest ona abstrakcyą, rezultatem rachunku; w istocie rzeczy nie przytrafia się ani razu pomiędzy naszemi liczbami. Podobnież dzieje się z prędkościami cząsteczek. Przeciętna prędkość dla tlenu wynosi, jak powiedziano, 425 metrów; najprawdopo-

dobniejsza wynosi 377 metrów. Dla przykładu obliczyłem, co następuje: Weźmy granice 150 i 225, daléj 340 i 415, wreszcie 525 i 600 metrów, odległe o 75 metrów jedna od drugiéj. Liczby pomiędzy niemi zawarte, mają się odpowiednio do siebie, jak mniéj więcéj 1 : 2 : 3. Nadto środkowe granice zawierają prędkość prawdopodobną. Otóż liczby cząsteczek, których prędkości leżą w tych granicach, mają się do siebie jak 1 : 2 : 1 $^1/_4$. Ztąd widać, iż maximum częstości przypada w istocie na prędkości, położone nie daleko od 377 metrów.

Graficzne przedstawienie rzeczy przemówi jeszcze bardziéj do oczu. Na załączonym rysunku podstawową rolę grają linie proste *OX* i *OY* (tak zwane osie współrzędnych), wzajemnie do siebie prostopadłe. Na osi *OX* odmierzono długości, proporcyonalne do prędkości cząsteczkowych (tak zwane odcięte); na osi *OY*—długości, proporcyonalne do procentu cząsteczek, posiadających daną prędkość, w stosunku do ogólnéj liczby cząsteczek (tak zwane rzędne). Rzędne mierzą więc częstość przytrafiania się danéj prędkości (jak tutaj w tlenie przy 0°C), lub, jak się jeszcze wyrazić możemy, jéj prawdopodobieństwo. Od końców odmierzonych w ten sposób na osiach długości poprowadzono prostopadłe do osi. Punkty przecięcia się prostopadłych mają wtedy za współrzędne owe wzięte na osiach odcinki. Łącząc punkty te przecięcia, otrzymujemy linią,



okazaną na rysunku: uzmysławia ona związek, jaki zachodzi pomiędzy wielkością pewnéj prędkości, a częstością przytrafiania się jéj pośród cząsteczek gazu. Prędkość zera i prędkości nader małe przytrafiają się nadzwyczaj rzadko; dla tego przy początku tj. tuż przy punkcie *O* krzywa idzie tuż nad osią *OX*. Szybko jednak wzrasta częstość prędkości, w miarę jak zbliżamy się do prędkości znaczniejszych, to téż krzywa raptownie podnosić się poczyna. Najczęściéj przytrafia się szybkość 377 metrów, to téż w miejscu, odpowiadającém takiéj wielkości odciętéj, krzywa wznosi się najwyżéj, przechodzi przez największość rzędnéj. Potém już spada, choć wolniéj

niż się wznosiła, i przy szybkości, dwa razy większéj od 377 metrów nie o wiele odległą jest od osi OX. Im daléj zaś wzrasta prędkość, tém bardziéj maleje jéj częstość, tak iż szybkość 3 razy od prawdopodobnéj większa (1131 metr) już niezmiernie mało jest prawdopodobną; tj. zdarza się niezmiernie rzadko.

Mimowoli nasuwa się uwaga, iż poznajemy tu prawo niezmiernie głębokie: kto wie, czy nie ogólne prawo, według którego rozdzielają się wszelkie własności na pojedyncze jednostki każdego aglomeratu. Według prawa Maxwella dzielą się cząsteczki swemi prędkościami; może podobne prawo powoduje, iż pośród mnóstwa napotykanych w ziemi dyamentów, nie znaleziono dotychczas więcéj jak dziesięć o wadze przewyższającéj 100 karatów, gdy średniéj wielkości kamienie na miliony się liczą; iż pośród gór, pokrywających ziemię, nieliczne tylko szczyty wznoszą się ponad 6000 metrów, gdy gór niskich jest mnóstwo i tém więcéj, im są niższe. Meteoryty, małe i wielkie planety—czy nie nasuwają przypuszczenia, iż w naszym układzie słonecznym masy brył, biegnących dokoła słońca, rozdzielone są według jakiegoś podobnego prawa? Czy prawdopodobieństwo, iż koń, wzięty zupełnie przypadkowo (np. przez losowanie) z danéj stadniny, okaże pewną wysokość wzrostu lub siłę pociągową, nie ulega podobnemu prawu, jak to które oznacza, jakie mamy prawdopodobieństwo wyciągnięcia trafem z pośród masy gazowéj cząsteczki o oznaczonéj prędkości? Czy nie podobny jest stosunek prac średnich, wyjątkowo złych i wyjątkowo cennych w każdém piśmiennictwie? Czy nie podobnie dzielą się szczęściem kolejne chwile naszego żywota, jak dzielą się prędkością pojedyncze cząsteczki każdego gazu? Czy nie według tegoż prawa rozrzuca to, co nazywamy ślepym trafem—zdrowie, inteligencyą, bogactwo, powodzenie pośród ludzi, składających społeczeństwo? I czy nie dowiedlibyśmy zupełnie tak samo, jak to uczyniliśmy powyżéj ze „stanem równouprawnienia", że utopią jest pragnienie, by wszyscy członkowie społeczności posiadali dobra jednakowe, że stan podobny, gdyby go sztucznie urzeczywistniono, nie przetrwałby jednéj godziny pracy i zabiegów ludzkich? Ale wróćmy do cząsteczek.

Jeżeli, zamiast prędkości saméj, rozważać będziemy jéj składowe, to znajdziemy dla nich nieco inne prawa rozdziału. Pod składowemi prędkości rozumiemy tutaj trzy jéj rzuty na trzy, wzajemnie prostopadłe, linie podstawowe, osie współrzędnych. Niech czytelnik spojrzy na krawędzie, które tworzą z sobą, przecinając się, dwie ściany i podłoga jego pokoju i w kącie tym umieścić jeden koniec pręta. Oświetlając pręt w taki sposób, by promienie, idące stycznie do drugiego (wolnego) jego końca, były prostopadłe

do jednéj z krawędzi, czytelnik otrzyma rzut pręta na ową krawędź pod postacią cienia, rysującego się na niéj. Zmieniając nachylenie kija i oświetlając go zawsze w sposób powyższy, czytelnik przekona się, iż składowe pewnéj prostéj określają w zupełności nie tylko długość owéj prostéj, lecz również nachylenie jéj do osi współrzędnych. Z tego powodu prawo rozdziału składowych prędkości (gdzie za osie wzięto dowolne trzy linie proste, wzajemnie do siebie prostopadłe) musi być odmiennėm od prawa rozdziału samych prędkości. Składowe są tém mniéj prawdopodobne (t. j. tém rzadziéj się przytrafiają) im są większe.

Wprowadźmy tutaj jeszcze jedno pojęcie, którego zaraz potrzebować będziemy. Wystawmy sobie, iż dla prędkości wszystkich cząsteczek utworzono składową równoległą do pewnéj, obranéj przez nas linii; że daléj uporządkowano wszystkie te składowe według ich wielkości. Możemy znaleźć zawsze taką składową, aby było t y l e ż cząsteczek, mających większą składową, niż upatrzona, i l e jest takich, które mają składową mniejszą od upatrzonéj. Taką składową nazywamy p r z e c i ę t n i e p r a w d o p o d o b n ą (1). Prawo dotyczące składowych prędkości mówi, iż np. pomiędzy tysiącem cząsteczek jest 500 takich, które mają składowe mniejsze od składowéj przeciętnie prawdopodobnéj, 323 takich, dla których składowa jest większą od przeciętnie prawdopodobnéj, ale jest mniejszą od dwa razy wziętéj wartości przeciętnie prawdopodobnéj; 133 takich, których składowa mieści się pomiędzy podwójną a potrójną wartością przeciętnie prawdopodobnéj, 37 takich, gdzie granicami są potrójna i poczwórna, 6 takich, gdzie poczwórna i popiętna wartość przeciętnie prawdopodobnéj składowéj. Nie będzie wreszcie więcéj nad jednę cząsteczkę, dla któréj składowa jest więcéj niż pięć razy większą od przeciętnie prawdopodobnéj.

To ostatnie prawo, rzecz godna uwagi, rządzi téż błędami, które popełniamy, mierząc jakąkolwiek wielkość. Związek, jaki zachodzi pomiędzy wielkością błędu a prawdopodobieństwem popełnienia go, ma matematycznie kształt dokładnie ten sam, jak związek pomiędzy wielkością składowéj prędkości a częstością przytra-

---

(1) Pojęcie przeciętnie prawdopodobnéj możemy znów wyjaśnić sobie przy pomocy powyższego przykładu liczbowego. Uporządkowawszy liczby według ich wielkości:

0; 0; 1; 1; 2; 2; 3; 3; 3,5; 4; 4; 4; 5; 7,5; 8; 9

widzimy, iż jest *8* liczb, większych od 3,5 i *8* liczb mniejszych od 3,5; a zatém 3,5 jest w tym szeregu liczb „przeciętnie prawdopodobną." Przeciętna wynosiła 3,6, najprawdopodobniejsza 4.

fiania się jéj pośród cząsteczek gazów. Moglibyśmy zdania, wygłoszone o składowych, powtórzyć bez innéj zmiany, jak z zastąpieniem wyrazu „cząsteczka"—przez wyraz „błąd" ; „wielkość składowéj prędkości" — przez „wielkość błędu" ; „składowa przeciętnie prawdopodobna"— przez „błąd przeciętnie prawdopodobny." Wygłosilibyśmy wówczas jedno z naczelnych twierdzeń rachunku najmniejszych kwadratów.

Takie prawo dostrzegł pośród chaosu cząsteczkowego James Clerk-Maxwell. Odnalazł je zaś i udowodnił mocą rozumowań, przybranych w szatę matematyczną, lecz bynajmniéj nie różnych w zasadzie od powyższego rozumowania naszego. Stan, określony przez prawo Maxwella, jest stanem trwałym; wprawiony weń gaz już go nie opuszcza, chyba pod działaniem czynników zewnętrznych. Stan ten jest przeto możliwym. Inne względy prowadziły Maxwella do wniosku, że jest on jedynym, który jest możliwym. Dalsze te usiłowania, jakkolwiek zręczne, nie dostarczyły wszelako dowodu, którego szukał w nich Maxwell. Dopiéro Boltzmann, profesor uniwersytetu w Gradcu, wykazał drogą ścisłą, iż stan Maxwella jest istotnie rzeczywistym stanem gazów; że bez względu na warunki początkowe, w jakich znaleść się może, wszelki gaz dąży do uregulowania prędkości swych cząsteczek stosownie do krzywéj, o któréj była mowa, t. j. zmierza ku stanowi Maxwella (1).

Stosunek wzajemy prac Maxwella i Boltzmanna godnym jest uwagi. W pracach Maxwella o kinetycznéj teoryi gazów nie masz więcéj nad kilka kartek, poświęconych wygłoszeniu i udowodnieniu związanego z jego imieniem prawa. Boltzmann wydał o tym samym przedmiocie przeszło dwadzieścia rozpraw, stanowiących łącznie tom spory. Maxwell rzucał hojną dłonią nowe idee, odgadywał raczéj niż udawadniał prawdy, niecił światło wśród najciemniejszych zagadnień, aby je wnet znowuż porzucać. „Z niepojętą dla mnie gorączkowością szukał on nowych zdobyczy" — tak wyraził się do mnie, mówiąc przed niedawnym czasem o Maxwellu, prof. Boltzmann. Zdanie to dobrze charakteryzuje zarówno tego, o kim było wyrzeczone, jak tego, kto je wypowiedział. Spokojny, sumienny, ostrożny Boltzmann wziął na siebie dobrowolnie rolę nieledwie komentatora Maxwella. Myśli jego rozwinął, dowody pouzupełniał, od zarzutów bronił i do rozwiązania nowych zagadnień stosował.

---

(1) Jednocześnie wykrył Boltzmann fakt nadzwyczaj ważny, iż tego zbliżania się każdego pozostawionego samemu sobie gazu, do stanu Maxwella, wymaga drugie prawo mechanicznéj teoryi ciepła (prawo eutropii).

Dowodząc, iż każdy gaz zbliżać się musi do osiągnięcia stanu, przepisanego przez prawo Maxwella, Boltzmann, rzecz szczególna, nie podniósł faktu, który z równań jego bije w oczy. Prędkość, z jaką gaz dąży do stanu Maxwella, zależy od tego, jak dalece odeń różnym jest stan gazu w danéj chwili. Jeżeli gaz jest bardzo odległym od stanu Maxwella, to dąży doń ze znaczną szybkością; jeżeli zaś przeciwnie stan, w którym gaz się znajduje, niezbyt wiele różni się od stanu Maxwella, to szybkość ta jest nader małą. Wyobraźmy sobie, iż gaz, wychodząc ze stanu początkowego, bardzo odmiennego od tego, którego wymaga prawo Maxwella, dąży ku temu stanowi. Z początku będziemy zbliżali się szybko ku zapanowaniu prawa Maxwella; w miarę jednak, jak się doń zbliżamy, słabnie przyczyna, powodująca owo zdążanie; zbliżamy się więc coraz wolniéj do celu, tém wolniéj, im mniejsza dzieli nas odeń odległość. I jakkolwiek dowolnie zbliżyć się doń możemy, ściśle przecież nie osiągniemy go nigdy. Zamiast mówić „nigdy“, matematycy mówią: „po upływie czasu nieskończenie długiego.“ Prawo Maxwella jest więc ideałem, do którego świat cząsteczkowy zdąża, zbliża się bardzo blizko, lecz którego ściśle osiągnąć nie może.

W geometryi zachowanie się podobne znane jest pod nazwą zbliżania się asymptotycznego.

Podobnie asymptotycznie zdążają do wyrównania temperatury dwa ciała, niejednakowo gorące, a wprowadzone we wzajemne oddziaływanie. Ciało zimniejsze ogrzewa się wtedy na koszt cieplejszego; ciepło więc przepływa, lecz tylko wówczas, gdy istnieje różnica w temperaturach obu ciał, i tém prędzéj, im różnica ta jest większą. I tu więc w miarę przebiegu zjawiska słabnie przyczyna, która je wywołuje. Im bliższe są temperatury obu ciał, tém przepływ ciepła jest słabszy: dopiéro po upływie czasu nieskończonego temperatury dokładnie wyrównać się mogą. Jeżeli np. ciałami temi są dwa gazy, przy temperaturze 0°C. i ciśnieniu zwykłém atmosferycznem, wzięte w objętości jednego centymetra sześciennego każdy, to zjawisko wyrównywania temperatur zachodzić będzie w sposób następujący. Po upływie niezmiernie krótkiego czasu, wynoszącego

$$\frac{1}{10{,}000{,}000{,}000}$$

część sekundy, różnica temperatur zostanie już zredukowaną do jednéj setnéj początkowéj swéj wartości (np. jeśli wynosiła 30°C., zostanie sprowadzoną do 0,3°C.); lecz dla wyrównania owéj pozostałéj, drobnéj już różnicy,—potrzeba wieczności.

Podobnie asymptotycznie zdążamy do pewności w sądach naszych o wartości przypuszczeń, któremi posługujemy się w nauce. Gdy pracując pod natchnieniem pewnéj hypotezy, zbieramy coraz nowe fakty, z nią zgodne, gdy nie napotkamy żadnych, któreby z nią stały w sprzeczności, posuwamy zwolna, i coraz wolniéj prawdopodobieństwo, iż hypoteza jest zgodna z prawdą. U kresu prawdopodobieństwa leży pewność. Kresu tego nigdy i nigdzie nie osiągniemy; wszelako duch badawczy człowieka w wiecznêm zdążaniu ku niemu wystarczającą znajduje nagrodę.

Wł. Natanson.





SŁOWO O FARYSIE MICKIEWICZA.

(Próchnicki Franciszek: Kilka słów o genezie i znaczeniu „Farysa“. (Odbitka z „Muzeum“). We Lwowie 1887. 8⁰ str. 24).

Geneza i znaczenie Farysa? oto dwa pytania, postawione na czele niniejszéj książeczki. Minęło już pół wieku, gdy z pod pióra Mickiewicza wypłynął „Farys“, ten niczém nieustraszony jeździec, zwyciężający nadzwyczajną potęgą swéj woli wszystkie, chociażby najbardziéj szalone na swéj drodze przeszkody. Od chwili zjawienia się śledzono go z zachwytem i ogólną sympatyą: widocznie rozumiano go, wiedziano, kim jest i dokąd dąży. Z uwielbieniem mówili o nim nawet niektórzy z ówczesnych klasyków. Długo jednak, bardzo długo, nie podaje nikt szczegółowego rozbioru Farysa, nie zapuszcza się w głąb jego myśli, nie objaśnia go; czasem tylko zwierzy się któryś z poetów, powié nam, jak sobie wyobraża bohatera poematu, jak go pojmuje. Dla Wężyka jest on obrońcą ojczyzny, dla Stanisława Starzyńskiego istotą „niezrozumiałą niewolniczéj tłuszczy“, któréj nic innego nie pozostaje, jak schronić się na pustynię „szczęsnéj Arabii“, aby odetchnąć jéj swobodném powietrzem, odżyć w nowém otoczeniu, wolném od więzów krain cywilizowanych. Głoszą to o „Farysie“ obaj poeci już w r. 1829 w wierszach swych „Do A. Mickiewicza“. Późniéjszy nieco poemat Balińskiego, przejmujący obraz cierpień i mgłę „Farysa-wieszcza“, zbyt jest znanym, ażebyśmy potrzebowali dłużéj nad nim się zastanawiać. Wolno zapewne poetom snuć myśli swoje z wątku nęcącego ich wyobraźnię—u nich atoli nie szukać nam ani ostatecznego sądu, ani poważnego rozbioru. Rozbiór taki zjawia się dopiero w kilku ostatnich latach; dzisiaj-to pytają nasi pisarze, jaką jest geneza „Farysa“ a przedewszystkiém, jakie jego znaczenie — pytają o to pp. Prus, Chmielowski, Próchnicki i Lenartowicz.

Cóż znaczy więc ten „Farys“, jaką jest główna myśl tego arcydzieła Mickiewicza? Sama nazwa utworu nic nam nie wskaże, w objaśnieniach bowiem rozumié poeta przez farysa tylko jeźdźca, rycerza arabskiego; należy więc wniknąć głębiéj w jego treść i z niéj wydobyć na jaw zamiar i intencye autora. Prof. Próchnicki zwalcza przedewszystkiém zwycięsko zapatrywanie p. Prusa, że Farys „to człowiek potężnych sił i nadludzkiéj odwagi“, lecz zarazem „próżniak“, który „w społeczeństwie nie potrafi sił swoich zużyć dla dobra innych, więc ucieka bodaj na pustynię, ćwiartując i wywracając wszystko, co jego fantazyom kładzie zaporę“; a następnie zgadza się z tém znaczeniem, jakie nadaje „Farysowi“ dr. Chmielowski, jak również, dodajmy, i p. Lenartowicz w swoich włoskich wykładach o poezyi polskiéj. Farys—jestto „rycerz nowéj idei“, idei postępowéj, staczający walkę ze wszystkiem, co temu postępowi staje na drodze, co przygłusza nowe hasło: „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“, hasło powszechnéj miłości, swobody i wolności. Prof. Próchnicki idzie jeszcze daléj i przypuszcza, że tym „rycerzem nowéj idei“ mógł być u Mickiewicza tylko „poeta-wieszcz“, który „z nadziemskich sfer, z krainy ideałów znosi na ziemię nowe światło, nowe prawdy“. Czy sam „Farys“ upoważnia do takiego sądu, czy z jego ustępów da się wyprowadzić, ta tak ścisła łączność z „Odą do młodości“, jaką widzą w nim dr. Chmielowski i prof. Próchnicki? Zdaje się, że nie: nic nam tutaj nie dostarcza podstawy do wysnucia podobnego wniosku, gdy tymczasem „Oda“ głosiła myśl odrodzenia się ludzkości tak jasno i wyraźnie. Przypuśćmy jednak, że tak jest rzeczywiście, że Farys występuje w obronie postępu i swobody, to cóż znaczy w ustach jego, ów krzyk zachwytu po usunięciu już wszelkich przeszkód:

„Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi“.

Dla kogóż walczy ów rycerz „nowéj idei“, jeżeli obok siebie nie widzi nikogo na ziemi, jeżeli to właśnie napawa go największą rozkoszą:

„Jak tu mile oddychać piersiami całemi!“

Czyż w chwili, gdy święci tryumf zupełnego zwycięstwa, może chociażby na jedno okamgnienie zapomniéć o téj ludzkości, dla któréj zbawienia podjął walkę pełną trudów i niebezpieczeństw?! Czyż by poeta, stając się apostołem téj idei w poemacie, nie wypowiedział jéj wyraźnie i bez żadnych obsłonek, czyż dozwoliłby, ażeby się jéj d o m y ś l a n o tylko z następujących słów:

„Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę“,

ze słów, które dla nas mają zupełnie inne znaczenie? A skoro Farys

nie jest tém, za co go uważają dr. Chmielowski i prof. Próchnicki, to w takim razie i ich objaśnienia obrazów poematu są dowolne, podjęte pod wpływem téj głównéj i przewodniéj myśli, jaką znajdują w „Farysie“; objaśnienia, co prawda, różniące się w szczegółach u obu autorów a u prof. Próchnickiego podane nie bez zastrzeżeń, w postaci prawdopodobieństwa więcéj, aniżeli stanowczych pewników.

Dzieło sztuki tém jest wyższe, tém wspanialsze, im mniéj potrzebuje wyjaśnień i komentarzów. Dlaczegóż nie zastosować tego do „Farysa“, nie czytać w nim tego, co poeta wypowiada z taką dobitnością i siłą, co odczuwano zapewne aż po nasze czasy, chociaż prof. Próchnicki uważa to za rzecz więcéj uboczną i dodatkową. A przecież pustynny ten rycerz jest uosobieniem poczucia własnéj siły, własnéj potęgi, tak wielkiéj, tak doniosłéj, że nic w nim nie budzi bojaźni, że z góry wié, iż wszystko pokona i zwycięży. Tylko pierś organizacyi niezwykłych i geniuszów ożywiają podobne uczucia. „Ja pędzę, ja nie znam trwogi“, woła on, ujrzawszy przed sobą ostatniego a najbardziéj srogiego wroga, straszny huragan afrykański, woła jeszcze wtedy, zanim huragan potargany jego rękoma, runął, aby już nie powstać. Lecz walczy on i zwycięża nie dla walki saméj ani z chęci niesienia zatraty dla wszystkiego, co obok niego istnieje, walczy z konieczności, zmuszony do tego, wyzwany temi przeszkodami, które tamują jego zapędy i czyhają na życie; a czynią to z pobudek niskich, nieszlachetnych i złych, z zazdrości, gniewu lub obawy współzawodnictwa. Duch to szlachetny—nie duch zniszczenia, którego zwycięstwo odczułoby boleśnie wszelakie stworzenie; opanowany błogiem uczuciem oswobodzenia się od wszystkich nieprzyjaznych mu żywiołów, śpiéwa wprawdzie w ostatnim ustępie radosny, pełen uniesienia pean zwycięstwa, lecz zarazem miłość przepełnia całe jego jestestwo, miłość ku wszystkiemu, ku całemu światu:

„Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się, że go ze wschodu na zachód obejmę“.

W potędze swéj czerpie tylko uczucia najszczytniejsze, myśl przejęta niemi wznosi się coraz bardziéj ponad ziemskie padoły „aż do niebios szczytu“ i tam tonie.

Tak pojmujemy „Farysa“ —a nie jako „rycerza postępu“, „poetę-wieszcza“. Miłosném spojrzeniem objął Farys całe „ziemskie kolisko“, ale gdzież to słowo, to zaklęcie, któreby zwiastowało ludzkości otwarcie przestronych bram wolności i swobody?

Zapytajmy teraz z kolei: jak powstał „Farys“? co wywołało tę postać w umyśle Mickiewicza? Po pracy, z któréj teraz właśnie

zdajemy sprawę, odpowiedź nietrudna. Pozostanie to już zasługą prof. Próchnickiego, że wskazał na związek, jaki istnieje między „Farysem“ a przedmową Mickiewicza do petersburskiego wydania poezyi: „Do recenzentów i krytyków warszawskich“, zagajającą tak stanowczo i bezwzględnie walkę z klasykami warszawskimi, że wyśledził w usposobieniu ówczesném poety, w jego korespondencyi zupełnie te same pierwiastki, które złożyły się (wedle nas wyłącznie) na stworzenie poematu o niezwyciężonym jeźdźcu arabskim: to samo poczucie własnéj siły i potęgi swego talentu. Wiemy przecież, jak życzliwe, pełne uznania przyjęcie znalazł Mickiewicz w Moskwie i w Petersburgu, ze strony ziomków i ze strony Rosyan: wszyscy zgodnie składali mu hołdy, jako pierwszemu polskiemu poecie; i w nim samym zaszły również znaczne zmiany, w towarzyskiém pożyciu wyrabiał sobie coraz większą pewność i swobodę, a w walce z areopagiem warszawskich literatów, drażniących go swojémi uwagami i krytykami, dawał poznać własną wyższość dosadnemi, nieraz jaskrawemi wyrazy. Wobec tego więc pewném jest i niewątpliwém, że przedewszystkiém w ówczesnym nastroju ducha Mickiewicza, w zdobyciu świadomości swego geniuszu, należy szukać genezy poematu; czy jednak Mickiewicz kreśląc zapasy swego bohatera, miał również na myśli swój stosunek do klasyków, na to zapewne stanowczéj odpowiedzi ani nie damy, ani dla braku świadectwa dać możemy. Trudno jednak opędzić się temu przypuszczeniu, wiedząc, jak ściśle łączyło się wówczas u poety to poczucie sił swoich z walką z klasykami. Czyż w następującym ustępie z listu jego do Odyńca (z 1 maja 1829. Koresp. I, 41) nie znajdujemy coś nakształt streszczenia „Farysa“: „Dla mnie zapewne byłoby lepiéj nikogo nie zaczepiać; wiesz, że j e s t e m w p o ż y c i u b a r d z o t o l e r u j ą c y c z ł o w i e k i z e w s z y s t k i m i w z g o d z i e; ale mnie znudziła klasyczna wasza hołota i pokażę, że s i ę i c h w s z y s t k i c h r a z e m n i e b o j ę“. A czytając inny ustęp z listu do Lelewela (z 16 stycznia 1828. Koresp. III, 285), czy nie przypomnimy sobie znowu naszego poematu: „Złamałem kopię ze wszystkimi prawie literatami... Ta przedmowa jest tylko zagajeniem wielkiéj walki, k t ó r ą m a m c h ę ć w r ę c z r o z p o c z ą ć i ś m i a ł o ś ć c z u j ę d o k o ń c a w n i é j w y t r w a ć“. Przedmowie do recenzentów i krytyków warszawskich towarzyszyła jakoby świetna, powiedzmy genialna illustracya w postaci „Farysa“ (Por. także Pamiętnik im. Mick. I, str. 164, nr. 36 i Bełcikowskiego: „Mickiewicz“. Przew. nauk. lit. 1887, 501).

Wszystko to wprawdzie podnosi prof. Próchnicki w zakończeniu swojéj rozprawy, lecz mimo to genezę poematu przedstawia sobie nieco inaczéj. Wedle niego myśl „Farysa“ spoczęła już w improwizacyi Mickiewicza o dzielnym i nieustraszonym żeglarzu Parry'm, który urządził cztery wyprawy naukowe do bieguna północnego, przebył najróżnorodniejsze, najstraszniejsze przygody, był wreszcie przedmiotem podziwu dla całéj ówczesnéj Europy. Improwizacyą tę, jak opowiada pamiętnik Mikołaja Malinowskiego, wypowiedział poeta dnia 27 grudnia 1827 r. po jednym z proszonych obiadów w Petersburgu, na prośbę zebranych tam gości, którzy mu poddali, jako temat do niéj, właśnie te wyprawy podbiegunowe głośnego marynarza. P. Próchnicki znajduje „dziwną analogią“ między improwizacyą o Parry'm a „Farysem“ i dowodzi, że myśl jéj główną, znoszenie wszelkich trudów, narażanie życia swego dla postępu wiedzy i nauki, przeniósł Mickiewicz do „Farysa“, a dopiero pod wpływem własnych stosunków i własnego usposobienia przedstawił w nim siebie samego. Czy w istocie improwizacya ta odegrała taką rolę? Opierając się na tém, co się wyżéj powiedziało, zauważymy najprzód, że idea główna, to posłannictwo dla dobra ludzkości, wspólna wedle autora obu utworom, nie da się w „Farysie“ wykazać i należycie uzasadnić; a to bardzo znaczne podobieństwo, jakie widzi autor w téj walce obu bohaterów z żywiołami morza i pustyni, jest tak zewnętrzne i przypadkowe, że nie może służyć za żaden punkt oparcia. I to przeciw zdaniu autora dowód najpoważniejszy. Są i inne. Datę improwizacyi i powstania „Farysa“ zbliżył autor bezzasadnie zanadto do siebie, utrzymując, że rozdzielało je zaledwie kilka dni (Data „Farysa“ u Estreichera 1 stycznia niepoparta niczém; data ucieczki Mickiewicza przed burzą w Petersburgu zupełnie nieznana, Odyniec bowiem nie podaje żadnej; na jakiéj więc podstawie łączy autor w jednym dniu obiad i improwizacyą, zapisane u Malinowskiego, z ową ucieczką przed burzą? Pozostaje więc notatka pod „Farysem“: „Petersburg r. 1828“, a z tego wniosek, że „Farys mógł powstać w styczniu lub w pierwszych dniach lutego r. 1828, zanim poeta wyjechał do Moskwy, improwizacya zaś, jak wiemy, przypada na 27 grudnia 1827 r.). A wreszcie jedna jeszcze uderzająca okoliczność. Dlaczego Mickiewicz, jeżeli rzeczywiście sława „Parry'ego natchnęła go do stworzenia „Farysa“, nie poświęcił go jemu samemu, lecz ułożył „na cześć“ Emira Wacława Rzewuskiego? Dla czego tło poematu to samo—bezbrzeżna pustynia, na którém się Emir obracał? A czyż Rzewuski, znany ze swojéj odwagi i z usposobienia awanturniczego, nie mniéj wówczas głośny i sławny, jak Parry, nie

mógł być dla poety równie godnym, chociaż tylko zewnętrznym wzorem bohatera, jakiego tchnieniem swojém powoływał do życia? Przecież swoją dedykacyą wskazał to najwyraźniéj! P. Próchnicki przywiązuje do niéj bardzo małą wagę, a jednak ten przypisek dedykacyjny przemawia stanowczo przeciw upatrywaniu związku między improwizacyą a „Farysem“. Zgadzamy się zresztą, że postać Rzewuskiego, jego przygody, wpłynęły przedewszystkiém na zewnętrzne kształty, na treść i obrazy poematu, podobnie, jak jego „senzacye“ mogła obudzić owa ucieczka Mickiewicza przed burzą w Petersburgu: te głębie myśli, jakie w sobie zawarł, nadał mu jedynie geniusz poety.

Tyle o genezie i znaczeniu „Farysa“. Czyż mamy teraz koniecznie wyjaśniać każdy obraz poematu, domyślać się, jakie głębsze znaczenie każdemu z nich nadano? Albo czy raczéj nie przywołamy sobie na pamięć wyrażenia Goethego: *Dichtung und Wahrheit*! Fantazya poety snuje się wprawdzie około motywów zaczerpniętych z rzeczywistych stosunków, lecz zgodnie z prawami twórczości zmienia szczegóły, uzupełnia je i porządkuje tak długo, aż dopóki nie stworzy całości w sobie skończonéj, pełnéj miary artystycznéj i piękna. Wszak te obrazy tak mistrzowskie, tak pełne życia, przemawiają do nas tak zrozumiale i jasno!

Praca prof. Próchnickiego pod względem zebrania materyału wzorowa, podjęta z widoczną i prawdziwą czcią dla poety i dla jego utworu, opracowuje z niezwykłą sumiennością tło historyczne, wydobywa niejeden ciekawy szczegół, jest wybornym przewodnikiem dla tego, ktoby się chciał w téj sprawie bliżéj rozpatrzyć; praca ta jednak nie dozwala nam przyjąć w całości wyników swoich ani co do zasadniczéj idei „Farysa“, ani co do jego genezy. Czy nie było w tym wypadku trochę za wiele skłonności do szukania myśli ukrytéj a może poważniejszéj tam, gdzie tego czynić nie trzeba i czy nie usiłuje prof. Próchnicki czasem zbyt stanowczo określić to, na co dostatecznych wskazówek nie starczy?

Bronisław Czarnik.





BOLESŁAW CZERWIEŃSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

W téj saméj chwili, gdy przeczytałem telegram, donoszący o śmierci Bolesława Czerwieńskiego, mimowoli przypomniały mi się słowa autora „Maryi“: „robak się lęgnie w bujnym kwiecie.“ Kwiat to był bowiem dopiéro, który zwolna, z latami w owoc miał się przeobrazić. Nie mogłem na razie pogodzić się ze smutną myślą, że ten mężczyzna, wzrostem przerastający innych, pleczysty, o piersi wypukłéj, a więc silny, o twarzy rumianéj i krągłéj jest już zimnym trupem. Prawda jednak, że oblicze to było krągłem, a raczéj obrzękłem ową pełnią nieco niezdrową, w lekarzach zawsze budzącą podejrzenia. Broda—hiszpanka, wąs duży w górę podkręcony i czarny o szerokich skrzydłach kapelusz *à la* Boliwar nadawały mu jakiś wyraz rycerski, czyniły go podobnym do wojowników, walczących z Maurami lub przynajmniéj do owych śmiałków, którzy w pogoni za losem, za nowością i wrażeniami zapędzali się aż na drugą półkulę. Lecz główną ozdobą, przynętą dla tego, kto do niego się zbliżył, były oczy—oczy tak pełne ognia, błyszczące i bystre zarazem, często, bardzo często tęskne, smutne lub tkliwe, nieraz znowu płonące oburzeniem i gniewem niemal świętym, że każdy musiał zawołać: „To są oczy poety.“ Sześć lat już minęło szybkim lotem od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Czerwieńskiego. Było to na krakowskim bruku w teatrzyku, a raczéj w budzie teatralnéj na ulicy Wolskiéj. Po słynnym, a smutnym i przerażającym w następstwach pożarze wiedeńskiego Ringtheatru, z rozkazu prezydenta miasta zamknięto gmach teatralny, jako nie odpowiadający przepisom policyi ogniowéj. P. Stanisław Koźmian, będący wówczas i przedsiębiorcą i kierownikiem artystycznym trupy krakowskiéj,

nie upadł na duchu, nie zwątpił o możności wyjścia z tego położenia, rujnującego i jego i aktorów, rąk tedy nie założył, lecz począł szukać odpowiedniego budynku, z któregoby prędko można było zrobić teatr. Oko jego padło na duże domostwo, stojące na powyżéj wymienionéj ulicy, długie, dość wązkie, posiadające jednak odpowiednią wysokość. Dawniéj miała tu swe siedlisko fabryka mebli giętych; po jéj bankructwie atoli świeciło ono pustkami. Raźno wzięto się do pracy i po kilku tygodniach z czystém sumieniem p. Koźmian mógł kazać umieścić na białym froncie domu czarne litery, które razem złożone i przeczytane tworzyły napis: „Teatr krakowski.“ Na owéj scenie maleńkiéj, nieco nad poziom podniesionéj, oświetlonéj naftą, w sali wyglądającéj ohydnie, gdzie goście, siedzący w dalszych rzędach krzeseł, widzieli głowy swych poprzedników i w najlepszym razie czubki głów wzrostem najwyższych aktorów, gdzie loże poprzedzielane słupami i tarcicami, zaledwie oheblowanemi, mimowoli nasuwały pojęcie przegródek w stajni, gdzie nie mogło być mowy o jakichkolwiek warunkach akustycznych, gdzie więc głos aktorów niknął w tysiącznych zakątkach sali i w hałasie dochodzącym z ulicy, bawiono się przecież wybornie, słuchano tém uważniéj, im gorzéj słychać było, grano z wielkim zapałem i starannością. Na téj scenie pojawił się raz pierwszy i raz ostatni zarazem dramat, wstrząsający do głębi, bo oparty na motywach prawdziwych, a obfitych w kolizye i burze. Od dni kilku cieszyliśmy się, że ujrzymy „Niewolnika“ i jego autora, Bolesława Czerwieńskiego, który wydanemi w 1881 „Poezyami“ swemi gorące wśród młodzieży obudził sympatye. Wreszcie przyszedł ów wieczór. Sala została przepełnioną, tylko tu i owdzie loże świeciły pustkami jako znak, że „towarzystwo“ usunęło się od dzisiejszego przedstawienia i nie zaszczyci swą obecnością sztuki, wyszłéj z pod pióra niesympatycznego. Nasza garstka młodych wiedziała, że Czerwieński większe aniżeli stu innych posiada do imienia poety prawo, że piórem jego nigdy nie kieruje chęć zysku, lecz czyste jedynie natchnienie. Poezya więc nie dawała mu chleba; zdobywał on utrzymanie w inny sposób, pracą w kieracie dziennikarskim. Zaciągnął go do niego Jan Dobrzański, człowiek niezmiernych zasług, położonych około rozbudzenia ruchu umysłowego w Galicyi. Pierwotnie wydawca „Dziennika literackiego“, późniéj „Gazety Narodowéj“, sam niemal bez pisarskich zdolności, lecz obdarzony rzutkości i energii niepospolitym zasobem, stwarzał, można śmiało powiedzieć, czytelników i wyszukiwał młode talenta literackie, nieświadome siły, jeszcze cicho w ich piersiach drzémiącéj. Nie przesadzajmy atoli jego wartości. Naginając się do chwilowych poglądów

chwiejnéj u nas opinii publicznéj, protegując rozczochrany republikanizm, przyczynił się do wytworzenia chorobliwego oportunizmu, zatrącającego nieco romantyką, uczuciem w polityce zgoła niepotrzebném. Odgrzebywał młode pióra i dawał im zajęcie, to prawda, lecz pola do wyrobienia się, témbardziéj do popisu nie otwierał, nadmierną pracą prędko je zużył, ścierał z nich blask pierwotny, marnował to złoto rodzime, chcąc mieć posłusznych skinieniu dziennikarzy pod sobą, nie zaś krytycznie wyrobionych literatów, posiadających pewną samowiedzę i jasny cel przed sobą. Trzeba było wielkiéj siły, wielkiego natężenia, by módz choć cząstkę czasu i umysłu poświęcić pracy twórczéj, trzeba było potężnego talentu, żeby zdawkową monetą, codziennie sianą, nie wydać go całkiem, a zachować z niego choć kilka drogocennych krążków. I Czerwieński ucierpiał na bliższém zetknięciu się z „królem Janem“, jak nazywano Dobrzańskiego w Galicyi. Skrzydła jego nie pokrywały się pierzem, nie rozrastały, mogły wzbijać się wysoko, lecz do ciągłego, trwałego lotu zdolnemi nie były. Pisał jednak. Sam uciśniony i sam biedny miał serce czułe i tkliwe na nędzę, nieszczęścia i biédę bliźnich. To téż ich bóle i ich cierpienia opiewał. Nie znajdziesz tam wiele teoretycznego podkładu, głęboko filozoficznych zaciekań, wniosków na naukowéj opartych podstawie. Są to tylko bezpośrednią obserwacyą zebrane spostrzeżenia z dziedziny szarych stron życia, są to dumania bolesne nad nierównością podziału dóbr społecznych na świecie, są to szlachetne, w oczach niektórych ludzi może fantastyczne marzenia o polepszeniu doli biédaków, o wyrównaniu różnic położenia socyalnego i o zniesieniu przesądów kastowych. Mogły więc one wzruszyć i porwać czytelników. A nadto te wszystkie sny swoje odziewał poeta w wspaniałą szatę strof jędrnych, ognistych, ukutych w płomieniu natchnienia z czystego i pięknego metalu. Takie same zupełnie myśli i poglądy rozwinął przed słuchaczami dramaturg. Z obrzydzeniem patrzyliśmy na owe postaci starożytnych Rzymian, pogrążonych w epikureizmie, zatopionych po szyję w morzu samolubstwa, gdyż dzisiaj również nie brak ludzi, którym tętni zatłuszczone podobnemi przywarami serce. Z zapałem atoli, z przejęciem słuchaliśmy tyrad, głoszonych przez bohatera. Brzmi w naszych uszach głos Żelazowskiego, gdy wyrzucał je z piersi niezwykle namiętnie, w burzliwém uniesieniu, jako skargę, płynącą jękliwie w przestworza, jako przestrogę, jako groźbę, jako zachętę wreszcie, zapalającą gromy w sercach towarzyszy. Mimowoli łza cisnęła się do oczów i zwilżała powieki, gdy miękki i łagodny głos Stachowiczówny szeptał jeszcze miększe i tkliwsze skargi patrycyuszki, rozmiłowanéj w niewolniku. Zimny dreszcz

grozy nakoniec przebiegł nasze członki, gdy rozległy się wycia dzikiéj i bezrozumnéj tłuszczy, któréj nawet chleba i cyrkowych igrzysk nie dawano, a wyciskano z niéj ostatnią kroplę krwi, kazano pracować nawet wtedy, gdy czoło zléwał pot już nie trudu, lecz śmierci. W sali rozległy się oklaski, dały słyszéć się wołania: „Autor, autor.“ Jakaś wdzięczna ręka podała wieniec Czerwieńskiemu, który zarumieniony z radości, zjawił się na scenie i prostym, niewymuszonym ukłonem szczerze dziękował za tę przychylność i za tę oznakę hołdu. Lecz nazajutrz serce jego, to serce kochające i czułe, na które w trzydziestym szóstym roku życia umarł 3-go kwietnia r. b., rozdarła i zakrwawiła recenzya umieszczona w „Gazecie Krakowskiéj“, w któréj godny autor godném siebie piórem wprost oskarżał Czerwieńskiego, że w sztuce swéj przeprowadza dążności, mające na celu zburzenie istniejącego porządku społecznego, że podszczuwa bezdomnych nędzarzy przeciwko bogatym, że chce rozpalić w Galicyi wojnę socyalną. Prosił tedy na zakończenie, by władza zapobiegła takiéj klęsce za pomocą zakazu dalszych przedstawień. A prokuratorya austryacka, nigdy głębiéj w istotę sprawy nie wnikająca, wiecznie zestraszona i lękliwa, dogodne narzędzie w rękach tych ludzi, którzy znają jéj słabość i umieją wyzyskać ją, nie pozwoliła długo na podobne rozporządzenie czekać. Dramat zabłysnął jak meteor świetlny na niebie, przysłoniętém cieniami nocy i zagasł. Nie czujemy się na siłach, by wiernie i dosadnie odmalować smutek, żal i rozpacz poety, który swe najładniejsze i najgodniejsze długiego życia dziecko tak prędko ujrzał na marach.

Po tych wypadkach Czerwieński chwycił się niebawem publicystyki na własną rękę. Z Bolesławem Spaustą, który także był jednym z pokolenia z m a r n o w a n y c h, pisarzem zdolności wielkich, wykrzywionych jednak jakąś dziwną duchową niemocą czy chorobą, a który również niedawno zakończył życie śmiercią wielce tajemniczą i niespodziewaną, założył pismo literackie, noszące skromną nazwę „Ziarna“. Wydawcy sądzili zapewne, że owo „Ziarno“ trafi na grunt żyzny, wystrzeli w górę płonką, a potém zmieni się w drzewo, i kwiat wonny i owoc smaczny co roku przynoszące. Snem były podobne nadzieje. Galicya, kraj o niejednolitéj ludności biednéj a więc zmuszonéj myśléć tylko o potrzebach ciała, a nie ducha, zdobyła się dotychczas na kilka dzienników politycznych, bo tamtejsze społeczeństwo rozpolitykowało się jak nigdzie, lecz nie sprawami krajowemi, jeno ogólno-europejskiemi. Pisma literackie, nawet tak dobrze redagowane, jak ongi „Tydzień“ Rogosza (gdzie Czerwieński pierwsze swe utwory pomieszczał), po kilku latach lub co gorsza kilku miesiącach istnienia upadały

z powodu braku poparcia ogółu. Z „Ziarnem“ stało się zupełnie tak samo.

Wtedy Czerwieński uchwycił inną gałęź publicystyki. Począł wydawać pismo humorystyczne p. t. „Śmigus“, bo widocznie doszedł do przekonania, że głowy galicyjskie prędzéj rozrusza śmiech, żart wesoły, a zawierający prócz soli atyckiéj, ironii, nieraz osobistéj zaczepki, także i szczyptę nauki, niżeli poważny artykuł, który płytki czytelnik, sięgający do gazet przy czarnéj kawie, czémprędzéj na bok odsunie. Rachuba była trafną, bo „Śmigus“ trzyma się dotychczas, a niebawem dla Czerwieńskiego, często mrożonego, o ile wiemy, lodowatym oddechem niedostatku, lepsze zaświtały czasy.

Na pierwsze miejsce między dziennikami lwowskiemi wskutek zdolności, sprytu i nieskazitelności redaktorów wysunął się „Kuryer lwowski“, organ o barwie ściśle demokratycznéj, zaciekle wojujący na polu polityczném ze stronnictwem konserwatystów. Henryk Rewakowicz, jego kierownik, powołał Czerwieńskiego do swego boku jako współredaktora. Tu poeta, wyzwolony z pod nacisku wszystko przygniatającéj ręki Dobrzańskiego, począł swobodniéj oddychać, skrzydła do lotu rozwinął i umieszczał prócz artykułów politycznych to poezye, to znowu małe rozprawy estetyczne. Z pomiędzy tych ostatnich zapamiętaliśmy jednę, dokładnie charakteryzującą poglądy Czerwieńskiego w téj ważnej dziedzinie. Oto wystąpił gorąco przeciwko zgubnemu prądowi, który porywa belletrystów dzisiejszéj doby i każe im dla efektu, mającego przynęcić czytelników, poświęcać częstokroć prawdę życiową, nie obliczać skutków wedle przyczyn tak, jak to dzieje się na świecie, nie rozwijać charakterów podług praw psychologicznych, ale bohaterów, nakręconych niby pozytywki, przerzucać to tu, to tam, jak tego wymaga zaciekawiająca, gazą tajemnicy przysłonięta intryga, Nie był on zwolennikiem teoryi „sztuki dla sztuki“, owszem cała jego działalność świadczy o zapatrywaniach wprost przeciwnych. Żądał atoli, by tendencya, wyrażona w dziele sztuki, była pożyteczną społeczeństwu, a nietylko romansowo-sensacyjną. Zrobił nadto jednę ciekawą uwagę. Oto niemal każdy utwór zdaniem jego kończy się z g r z y t e m, a pod wyrażeniem tém rozumié on końcową scenę lub końcowy zwrot, do fajerwerku podobny, a nie zawsze dobrze sklejony z całością. Pisarze przyzwyczaili publiczność— są to mniéj więcéj jego słowa — do tego z g r z y t u, wstrząsającego nerwami tak, jak nierozważni rodzice jedynaka do łakoci. Utwory proste więc, pogardzające błyskotliwością, nie znajdują teraz uznania.

Rok zaledwie minął, kiedy miałem szczęście uścisnąć jego zacną prawicę we Lwowie, w redakcyi „Kuryera“. Pierwszy raz zwiedzałem wtedy ów gród nadpełtwiański i wtedy to jasném po części stało się dla mnie pytanie, dla czego prawie żaden talent, żaden duch nie rozwinął się tam wspaniale, lecz skisł i usechł. Miasto leży w kotlinie, wilgotnéj i dusznéj, świeższe powiewy wiatru rzadko tam dolatują i hydra germanizmu nie ustąpiła jeszcze z jego murów, a działa ona zawsze tak ujemnie, wywołuje taki cuchnący rozkład moralny w naszych miękkich słowiańskich naturach. Zamiłowanie więc do literatury i do sztuk pięknych bujnym nie porasta liściem; artystyczne dusze przeto, warzone obojętnością, często popadają w zwątpienie, w rozterkę z otoczeniem, a ból i żal serdeczny do społeczeństwa, które ich zrodziło, a które ich zrozumiéć nie chce, starają się zagasić, zalać w sposób niezawsze ich godny. Pamiętniki Lama, gdyby je był zostawił po sobie, a pisał całkiem szczerze i otwarcie, dałyby nam dużo, bardzo dużo materyału do rozwikłania ciemnych zagadek życia literackiego we Lwowie.

Dzisiaj wiele rzeczy szybkim ku naprawie posuwa się krokiem. Młodsze siły wprowadzają krew świeżą, myśli nowe, a więc i zwyczaje inne. Pod sztandarem „Kuryera“ stanęły najlepsze głowy, kupi się garść dzielnych szermierzy, którzy przez pewien czas umożliwiali istnienie poważnego miesięcznika naukowego i barwnego literackiego dwutygodnika p. n. „Ruch“.

W redakcyi „Kuryera“ i „Ruchu“ zasiadają prawie ci sami ludzie, a wśród nich wydatne miejsce z powodu swego talentu zajmował Czerwieński. Pisał wiele i dobrze, gdyż władała nim radość, że spełniły się złote pragnienia całego jego życia. Marzył bowiem zawsze o tém, by pracować w dzienniku, szerzącym jego własne, gorąco ukochane hasła, by prócz polityki i literacka niwa nie leżała odłogiem, by móc uprawiać ją, mając przynajmniéj na jutro zapewniony kawałek chleba. Stało się, jak sobie życzył, lecz nie długo cieszył się ową zmianą na lepsze, bo w niespełna trzy lata śmiertelny grot rozdarł jego serce nazawsze.

Adam Nowicki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. Edward Strasburger. Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z botaniki mikroskopowéj. Warszawa 1887 (str 367). Cena rs. 2.

Dziełem powyższém rozpoczęła redakcya „Wszechświata" wydawnictwo „Biblioteki przyrodniczéj", w któréj zakres mają wejść zarówno prace oryginalne, jak i przekłady najlepszych dzieł zagranicznych. Biblioteka przyrodnicza „Wszechświata" różni się od podobnegoż wydawnictwa Gebethnera i Wolffa tém, że ma na celu nauczanie wyższe, podczas gdy to ostatnie przeznaczone jest dla użytku szkolnego. Wobec braku literaturze naszéj książek specyalnych z dziedziny przyrodoznawstwa, dających obraz całych gałęzi wiedzy w jéj dzisiejszych kształtach, myśl powyższego wydawnictwa uważamy za nader szczęśliwą i poparcia godną. Żałować tylko można, że redakcya „Wszechświata" w wykonaniu swego zamiaru nie zakreśliła sobie odpowiedniego planu co do porządku przedmiotów, w skład Biblioteki wejść mających. Bo jeżeli szczupłe środki, jakiemi redakcya rozporządza, nie pozwalają jéj zobowiązywać się ani do określonych terminów wydawania książek, ani do liczby tomów, to przecież należało przedewszystkiém pomyśléć o potrzebach ogółu i w wyborze książek kierować się zasadami jak najszerszéj użyteczności. Tymczasem wydane dotychczas książki, mianowicie dzieło Strasburgera i Zasady meteorologii Mohna, nie dowodzą wcale, żeby na to zwrócono uwagę. Wiadomo, że nakładem kasy im. Mianowskiego wychodzi od lat kilku „Biblioteka matematyczna", która między innemi ma objąć także kurs uniwersytecki fizyki. Otóż nie było nic łatwiejszego, jak w ten kurs fizyki wcielić rozdział, traktujący o meteorologii, co naszém zdaniem zupełnie by odpowiadało wymaganiom publiczności, ci zaś, co chcie-

liby gruntowniéj zaznajomić się z obecnym stanem meteorologii, mogliby się uciec do oryginalnego dzieła Mohna. Jeszcze błędniéj postąpiła redakcya, wydając powyżéj przytoczoną książkę Strasburgera, bo jeżeli Meteorologią Mohna można czytać bez uprzedniego przygotowania specyalnego, to korzystanie z botaniki mikroskopowéj staje się bez niego wprost niemożebném. Sam autor w przedmowie do niniejszego dzieła mówi, że książka jego przeznaczona jest dla tych, co się zapoznali z treścią jednego z nowszych podręczników, albo téż wysłuchali wykładów botaniki ogólnéj. Tymczasem publiczność nasza, z wyjątkiem nieliczn éj garstki naturalistów, wcale nie jest przygotowaną do tego, ażeby z pomocą niniejszéj książki bez obcego współudziału mogła przerobić botanikę mikroskopową i jednocześnie technikę mikroskopową. Nadto z doświadczenia wiemy, że początkujący naturaliści, przystępujący do praktycznych zajęć z botaniki mikroskopowéj, nawet po uprzedniém przygotowaniu teoretyczném nie są w stanie dać sobie rady bez obcéj pomocy ze wskazówkami w niniejszém dziele nagromadzonemi. Naszém zdaniem, książka prof. Strasburgera stanowi cenne źródło wskazówek nie dla uczących się, lecz dla wykładających oraz asystentów, którzyby przy praktycznych ćwiczeniach ze studentami mogli zajęcia swoje prowadzić systematycznie i wyczerpująco. Ale niestety nasi profesorowie i asystenci z książki niniejszéj korzystać nie mogą lub nie potrzebują, posiłkują się oni wydaniem niemieckiém, lub innemi tłómaczeniami. Zresztą nawet dla studenta już więcéj doświadczonego, wydanie polskie nie jest niezbędném, gdyż zapoznawszy się z podręcznikiem, w języku obcym napisanym, mogą również dobrze korzystać z wydania niemieckiego. Z tego wynika, że redakcya „Wszechświata" przed wydaniem niniejszéj książki powinna była pomyśléć o podręczniku teoretycznym botaniki, gdyż książka prof. Strasburgera bez kursu teoretycznego, żadnéj zgoła korzyści przynieść nie może. Byłoby zatém do życzenia, ażeby wydawcy błąd ten naprawili jak najprędzéj, a mamy nadzieję, że profesorowie galicyjscy, wykładający po polsku, lub nawet sam prof. Strasburger, chętnieby się tego zadania podjęli. Zresztą literatura niemiecka posiada taką moc doskonałych podręczników, że wybór w tym względzie nie jest trudnym.

Powyższe uwagi nie są bynajmniéj zwrócone przeciwko saméj książce prof. Strasburgera, która—biorąc rzecz bezwzględnie—stanowi cenny nabytek dla polskiéj literatury botanicznéj. Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że w naszych stosunkach książka niniejsza przedstawia pewnego rodzaju zbytek. Wydawcy Bibioteki przyrodniczéj wychodzą z błędnego punktu widzenia, jeżeli potrzeby na-

szego społeczeństwa utożsamiają z potrzebami ogółu zagranicznego. W Niemczech, Francyi, Anglii poziom wykształcenia przyrodniczego jest nieporównanie wyższy. aniżeli u nas, literatura przyrodnicza oprócz prac specyalnych posiada mnóstwo podręczników, z których ogół może czerpać wiedzę, i dlatego książka prof. Strasburgera prawdziwy pożytek przynieść tam może. U nas pożytek z téj książki może być tylko bardzo ograniczony.

Przechodząc do oceny samego dzieła, zaznaczymy przedewszystkiém, że pierwotną myśl napisania téj książki powziął autor w samym początku swego zawodu naukowego, gdy jako docent wykładał botanikę w b. Szkole Główném. Myśl jednak, powzięta w Warszawie, dojrzała w 16-cie lat późniéj w uniwersytecie w Bonn, gdzie autor obecnie zajmuje katedrę botaniki. W r. 1884 ogłosił on znakomite dzieło p. t. *Botanisches Practicum*, przeznaczone zarówno dla początkujących, jak i dla botaników fachowych. Zbyt obszerne jednak rozmiary tego dzieła zniewoliły autora, jeszcze w drugiéj połowie tegoż roku, do wydania krótkiego przewodnika, przeznaczonego wyłącznie dla początkujących. Zarówno obszerny jak i krótki przewodnik znalazły wysokie uznanie w sferze specyalistów, a dowód użyteczności ich stanowi potrzeba drugiego, uzupełnionego wydania obszernego przewodnika (1887), oraz tłómaczenia krótkiego przewodnika na języki francuski, angielski i rosyjski. Obecne wydanie polskie nie jest tłómaczeniem, lecz posiada charakter pracy oryginalnéj, tekst został znacznie zmieniony, a niektóre działy zupełnie przerobione. Praca wyszła z rąk samego Strasburgera przy współudziale prof. Wrześniowskiego i K. Filipowicza.

Ze względu na cel dzieła, przeznaczonego przeważnie dla młodzieży uniwersyteckiéj, zawartość książki podzielona jest na 32 zadania, które odpowiadają mniéj więcéj liczbie ćwiczeń praktycznych, odbywanych z początkującymi w ciągu jednego półrocza akademickiego, przyjmując, że każde ćwiczenie trwa kilka godzin. Ponieważ autor, jak rzekliśmy, liczy na odpowiednie przygotowanie teoretyczne, określenia pojęć anatomicznych zostały pominięte. Natomiast nie wymaga się od początkującego znajomości obchodzenia się z mikroskopem, którą wraz z techniką mikroskopową pracujący nabywa stopniowo podczas studyów. Trudność zadań wzrasta z każdém nowém zadaniem. Materyał, służący do badań, wybrano w ten sposób, że każdy z łatwością może go zgromadzić, na co autor zwraca baczną uwagę w odpowiednich miejscach tekstu. Na końcu każdego zadania znajdujemy spis odpowiednich prac, dotyczących badanego przedmiotu. Wysoką wartość dzieła stanowią liczne wskazówki z techniki mikroskopowéj, oparte prawie wyłącz-

nie na własnych poszukiwaniach autora, nawet dane dotyczące rzeczy znanych. Również wszystkie figury rysował autor sam z natury. Cenne wskazówki, nawet dla botanika fachowego, zawarte są w trzech spisach, umieszczonych na końcu dzieła. Pierwszy spis obejmuje rośliny, potrzebne do pracy, z uwzględnieniem stanu, w jakim mają być badane, oraz niezbędnych przygotowań przed rozpoczęciem pracy, ażeby materyał mógł być zebrany we właściwym czasie i ażeby badacz nie był zależny od wpływu pór roku. W tymże spisie wskazano, jakie części rośliny lub zarodka są do badania potrzebne. Spis II zawiera ukaziciel odczynników, mających znaleść zastosowanie, ze wskazówkami, dotyczącemi sposobu ich przygotowania oraz użycia. Nakoniec spis III ogólny daje możność oryentowania się w kwestyach technicznych, rozproszonych w tekscie. Trzy te spisy oddać mogą wielkie usługi pracującym nad specyalnemi zagadnieniami botanicznemi.

Co się tyczy ugrupowania materyału, dzieło niniejsze—oprócz niewielkiego ustępu, informującego o mikroskopach i najważniejszych narzędziach optycznych, niezbędnych przy zajęciach mikroskopowych, tudzież naczyniach, pudłach do preparatów i t. p. utensyliach, ze wskazaniem cen oraz fabryk renomowanych,—składa się z dwóch części. W części pierwszéj, obejmującéj 17 zadań, zawarta jest cała anatomia mikroskopowa (histologia) roślin, wyłożona naturalnie nieco odmiennie aniżeli w zwykłych podręcznikach: gdyż po pierwsze, pojęcia zasadnicze, jak już wspomnieliśmy, zostały pominięte jako przypuszczalnie znane, powtóre zaś, przy zajęciach praktycznych nie może być zachowany ścisły porządek rzeczy, właściwy podręcznikom teoretycznym, ponieważ jeden preparat częstokroć ujawnia rozmaite szczegóły. Tu i owdzie znajdujemy także niektóre spostrzeżenia fizyologiczne, ściśle związane z naturą traktowanego przedmiotu, np. ruch protoplazmy, wpływ światła na budowę liścia, na ugrupowanie ciałek chlorofilowych i t. d. Część druga poświęcona jest morfologii roślin, wyłożonéj w ostatnich 15-tu lekcyach, obejmujących kolejno wszystkie główniejsze grupy systematyczne, poczynając od roślin niższych. Szczególną uwagę zwraca autor na metody badania grzybków rozszczepkowych (bakteryi), uwzględniając w ten sposób potrzeby medyków, również na rozmaite metody barwienia, odgrywające bardzo ważną rolę w nowoczesnéj technice mikroskopowéj.

Zawartość oddzielnych zadań podajemy poniżéj w pobieżnym zarysie, odsyłając czytelnika do oryginału. W zadaniu 1-ém poucza autor o użyciu mikroskopu, przygotowaniu preparatów bez kra-

jania oraz o ich badaniu; jako przedmiot poszukiwań służy budowa mączki (krochmalu) u rozmaitych roślin. Następnie (zad. 2) znajdujemy wskazówki, dotyczące przygotowania skrawków oraz preparatów trwałych, stosowania odczynników i używania mikroskopu prostego, przyczém pracujący zaznajamia się z własnościami aleuronu (glutenu) w ziarnach grochu, pszenicy i innych roślin. W dalszych dwóch zadaniach rozpatruje autor na rozmaitych preparatach budowę i ruch protoplazmy, jądro komórkowe, obznajmia czytelnika z rysowaniem za pomocą kamery, oznaczeniem powiększenia (zad. 3-cie), poczém przedstawia budowę chromatoforów, t. j. ciałek chlorofilowych, oraz ciał barwnych kwiatów i owoców, w końcu zaś bezbarwnych ciał mączko-twórczych czyli leukoplastów (zad. 4). Zaznajomiwszy w ten sposób ucznia z głównemi częściami składowemi komórki, przechodzi autor do rozmaitych jéj postaci i podaje reakcye mikrochemiczne na cukier i melin, azotany, garbnik, drzewnik (zad. 5). W zadaniu 6-m i 7-m opisana jest budowa naskórka i jego utworów, jak szparki, włoski i t. p.; następne ośm zadań poświęcone są budowie wiązek włókno-naczyniowych, oraz anatomii łodygi i korzenia roślinnego i okryto-zalążkowych, paproci i widłaków; zadanie 15-te poucza o budowie liści i okryw kwiatowych, oraz o zakończeniu wiązek naczynionych. Stożek wegetacyjny łodygi i korzenia, oraz różnicowanie tkanek stanowią treść następnych dwóch zadań, poczém idzie morfologia mchów, grzybów, porostów i wodorostów, z których to grup przytoczone są najpospolitsze gatunki, łatwo dostępne (zad. 18—20). Bardzo wyczerpująco traktowane są metody poszukiwania bakteryi, a szczególniéj bakteryi chorobo-twórczych (zad. 21). Tu również autor obznajmia pracującego z użyciem systemów imersyjnych, służących do silnych powiększeń. Przy traktowaniu niższych organizmów podane są wszędzie środki do badania w stanie żywym lub martwym, oraz metody barwienia. W dalszym ciągu rozpatruje autor (zad. 22—31) zjawiska, zachodzące przy płciowém i bezpłciowém rozmnażaniu roślin, opisuje organy rozrodcze, oraz rozwój oddzielnych grup systematycznych, zwracając szczególną uwagę ucznia na pasorzyty, niszczące pożyteczne rośliny, oraz na hodowlę grzybów na szkiełku przedmiotowém w celu bezpośredniego obserwowania ich historyi rozwoju pod mikroskopem. Budowa nasienia i owocu roślin okrytonasiennych wyłożona jest w zadaniu 30 i 31. Zakończenie dzieła (zad. 32) poświęcone jest badaniu dzielenia się komórek i jąder na rozmaitych preparatach oraz świeżo odkrytemu zjawisku połączenia protoplazmatycznych ciał komórkowych rośliny w jedną nieprzerwaną całość.

Taka jest treść tego pouczającego dzieła. Obfitość materyału, jasny i przystępny wykład, trafny wybór oraz staranne wykonanie rysunków (jest ich 115) stanowią niepospolitą zaletę książki, którą w całém znaczeniu słowa klasyczną nazwać można. Wydaniem téj książki dowiódł Strasburger, że nietylko znakomitym jest uczonym, ale również znakomitym pedagogiem. A chociaż szanowny profesor w przedmowie do niniejszego wydania mówi, że dzieło jego poświęcone jest tym, którzy nie mając zamiaru zostania fachowymi botanikami, pragną zapoznać się z zasadami botaniki naukowéj, jednak śmiało można powiedziéć, że kto z książką niniejszą gruntownie się zaznajomi, bez wszelkiéj trudności może się zająć specyalném badaniem roślin.

Ze względu na to, iż prawidłowy rozwój Biblioteki przyrodniczéj „Wszechświata" jest zależny od materyalnego jéj powodzenia, ponieważ dalsze dzieła ukazywać się mogą tylko wtedy, gdy wyłożone na poprzednie fundusze zostaną zwrócone kasie im. Mianowskiego, książkę niniejszą polecamy uwadze czytelników, zwłaszcza zaś nauczycieli nauk przyrodniczych, medyków, oraz farmaceutów. Bardzo przystępna cena powinna się przyczynić do jéj rozpowszechnienia. *S. Grosglik.*

= **Sylwetki i szkice literackie** *przez Maryana Gawalewicza* (Kraków, J. K. Żupański i K. J. Heumann, 1888, str. 280). — O najobszerniejszéj i najcenniejszéj z prac tu pomieszczonych, to jest o szkicu zatytułowanym „O śpiewaku Wiesława" była już w *Ateneum* mowa z okoliczności wydania owéj sielanki Brodzińskiego z ilustracyami w r. 1886. Zawiera ona rzeczywiście najwięcéj poszukiwań i spostrzeżeń własnych autora i stanowi istotnie cenny przyczynek do krytycznego poznania twórczości Kazimierza z Królówki, jakkolwiek jest w niéj także niemało twierdzeń powtórzonych nieuważnie za innymi lub dowolnie całkiem wypowiedzianych, bez należytych dowodów faktycznych. Za tym artykułem idzie w zbiorku ładna pogadanka o Auguście Wilkońskim, znanym „chirurgu filozofii i kawalerze krzyża naturalnego". Nie rozwija w niéj autor poglądów na znaczenie i wartość ramotek tego facecyonisty i satyryka, lecz korzystając z materyałów rękopiśmiennych, a mianowicie listów Wilkońskiego do redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj", kreśli bardzo zręcznie i zajmująco przykre stosunki pieniężne, w jakich się zarówno nasz ramotkarz jak i większość literatów naszych naówczas znajdowała. A ponieważ opowiadanie swoje przeplata wyjątkami z owych listów, mamy więc obraz owéj biedy nie w tonie lamenta-

cyjnym, lecz żartobliwym, bo Wilkoński nawet w najciaśniejszéj potrzebie zdobywał się na wesołość i rozśmieszając starał się wprawić tych, których prosił o zasiłek, w dobry humor a tym sposobem skłonniejszymi ich uczynić do robienia zaliczek na przyszłe prace. Mamy tu wyborny przykład szlachcica w literaturze, sprzedającego zboże na pniu i wełnę na baranach. Odkąd Wilkoński zjechawszy do Warszawy po nieudaniu się gospodarki na wsi, wszedł w stosunki z „Biblioteką Warszawską“ jako ramotkarz rozweselający ostatnie karty poważnego wydawnictwa uśmiechem żartobliwym lub satyrycznym, aż do chwili, w któréj rozstał się z tym miesięcznikiem w r. 1844, słyszymy ciągłe tylko dopominania się o pożyczki lub zaliczki na artykuły, które ma opracować, dowiadujemy się, że go chcą z mieszkania rugować, lub że musi się przed wierzycielami ukrywać w hotelu pod zmyśloném nazwiskiem. Znalazły się pomiędzy owemi dokumentami w archiwum „Biblioteki Warszawskiéj“ dwa, które były prawdopodobnie artykułami dla niéj napisanemi ale z jakichś powodów niewydrukowanemi, a które choć nie przynoszą nic nowego do charakterystyki dobrze znanych demokratycznych przekonań Wilkońskiego, słusznie zostały przez autora szkicu streszczone i w wyjątkach podane, ażeby wskazać, że ten ramotkarz w tarapatach nie o sobie tylko i biédzie swojéj myślał, ale bolał nad stanem ludu wiejskiego i jako literat robił co mógł, ażeby stan ten poprawić, mógł zaś działać tylko za pośrednictwem słowa, używał go więc zacnie w tym kierunku.—Kończą książkę p. Gawalewicza dwie charakterystyki tragedyj Szekspira: Antoniusz i Kleopatra oraz Makbet. Rzecz o Makbecie jest bardzo pobieżna, kreślona, jak się zdaje, pośpiesznie, bez zagłębienia się w przedmiot; rozprawka o Antoniuszu i Kleopatrze jest pomyślana szerzéj i wykonana staranniéj. Oba artykuły nie są rozbiorem krytycznym utworów jako całości dramatycznych, ale mają jedynie na celu przedstawienie i oświetlenie naczelnych postaci obu tragedyj. Styl ładny, gładki, potoczysty, w tonie łagodnym i spokojnym trzymany, doskonale się nadawał do dotworzenia sylwetek Brodzińskiego i Wilkońskiego, ale na oddanie potężnych kreacyj Szekspirowskich nie starczył, bo był zbyt miękkim i wypieszczonym.

═ **„Wisła“**, czasopismo poświęcone etnografii i geografii krajowéj, przeszło w roku bieżącym pod kierunek literacki p. *Jana Karłowicza.* Pierwszy zeszyt (trzymiesięczny) stanowi książkę poważnych rozmiarów, bo 246 stron obejmującą. Treść tu obfita i wielce urozmaicona. P. El. Orzeszkowa podaje nazwy roślin u ludu białoruskiego nad Niemnem, wskazując zarazem zastosowanie ich lekarskie w medycynie tradycyjnéj po wsiach. Cztery powieści w gwa-

rze górali Beskidowych nadesłał p. R. Zawiliński. Zajmująco skreślił podróż Niemnem od Grodna ku Kownu p. Z. Gloger (planu cerkwi w Kołoży, wspomnianego w tekscie na str. 36, nie znaleźliśmy w tym zeszycie; wzmiankę o widokach téj budowli uzupełnić wypada drzeworytem, pomieszczonym niegdyś w „Tygodniku ilustrowanym“, — a książe litewski Witenes nie jest „domniemanym pradziadem Jagiełły“, lecz, jak wykazał p. Józef Wolff, bratem Gedymina). Jaką rolę odgrywała jemioła w podaniach i zwyczajach ludowych—dowiadujemy się z artykułu prof. J. Rostafińskiego. Oryginalne wyroby metalowe (fajka i spinka) górali z Ratułowa przedstawił p. W. Gerson ; on téż ozdobił niniejszy zeszyt „Wisły“ wyobrażeniem młodéj góralki z téj wsi. P. Stefania Ulanowska opisuje szczegółowo zwyczaje, zachowywane na Boże narodzenie u Zagórzan nad Rabą, oraz dwie anegdotki, płody humorystyki ludowéj. Rysunek i opis „drzwi chaty góralskiéj w Zakopanem“ zawdzięczamy p. S. Witkiewiczowi, który dostarczył téż rysunków na okładkę zeszytową. Pod tytułem „Materyały do etnografii ludu z okolic Przasnysza“ p. St. Chełchowski daje ogólną charakterystykę ludu i 16-cie dumek z melodyą. Czternaście znowu pieśni nuconych przez szlachtę żmudzką, zebrał i ogłosił p. Miecz. Dowojna-Sylwestrowicz. Nad „ludem, jako twórcą terminologii językoznawczéj i niektórych nazw plemiennych“, zastanawia się p. St. Ciszewski. O „naszym obszarze etnograficznym“ mówi p. Ad. Zakrzewski, kreśląc próbę klasyfikacyi plemiennéj ludu polskiego. Artykulik podznaczony literami A. W. dotyczé tak zwanego „mętowania“, t. j. formułek, odmawianych przy losowaniu w grach dziecinnych. Obszerny dział krytyki, bibliografii i różnych wiadomości, odnoszących się do nauk, któremi się „Wisła“ zajmuje, uzupełnia ten zeszyt czasopisma, które czytelnikom naszym gorąco polecamy. Wspomniéć wreszcie winniśmy, że p. J. Karłowicz nietylko umiejętném kierownictwem przyczynił się do ożywienia „Wisły“, pomieścił on tu bowiem „podanie lotaryńskie o królu Stanisławie“, notatkę o znaczeniu wyrazu „folklore“, o „chacie“ polskiéj, wreszcie kilka recenzyi.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wstęp o rezygnacyi. —Wiosna i wojna w ginącej Francyi i u nas.—Podążamy za Europą. Jak zapobiedz powrotowi do stanu dzikiego.—Co podoła zrobić opinia publiczna.—Kogo można bić, a kogo nie.—Zdanie o tém jednego z tygodników.—Sędzia waryat.—Jaką powinna być zasada.—Czy bojaźń jest hańbą.—Plotki i reporterya.—Cześć dla zmarłego pedagoga.—Zniknięcie kaczki z ogrodu zoologicznego.—Sensacyjna wiadomość z pewnego źródła.—Najbogatszy dar najbiedniejszych panienek klasztornych.—„Pawiem narodów byłaś i papugą."

Byłem już zupełnie zdecydowany rozpocząć niniejszą pogadankę od „węża morskiego", a skończyć na wyprawie australczyków do bieguna. Bo co—myślę ja sobie—będę łamał głowę nad tém co trefne, a co koszerne, będę wybierał i strzegł się wypadków, kiedy psychologia nie umié jeszcze tak przepowiadać zaćmień jak astronomia, i znowu się narażę na to, że ja napiszę biało, a czytelnicy patrzą.... stoi czarno. Ale okazuje się, że nie jestem zdatny na posadę radykała. Zanim mogłem przystąpić do wykonania aktu literackiéj rezygnacyi, już mi głowę trapić poczęły różne refleksye: Nie godzi się—myślę sobie znowu—wywieszać białéj chorągwi, brr...—Więc o czém pisać, o pogodzie?

Poprowadź sobie czytelniku spór ten daléj, łatwo znajdziesz różne z a i p r z e c i w; jeżeli zaś byłbyś bliski wniosku, iż machnięcie ręką jest skutecznym środkiem na jaką niedolę, to sobie przeczytaj dokończenie „Pana Wołodyjowskiego", tylko, zanim weźmiesz gazetę do ręki, zaopatrz się w białą chustkę—nawet męskie oczy zaszklą się łzami.

Ja tymczasem zaczynam kronikę.

Wojna! Nie zawiedliśmy się, wiosna wojnę przyniosła.

Promienie spóźnionego i nieśmiałego ciepła zdołały już we wszystkich krajach rozpalić namiętności walki. Królowa Wiktorya rozmawiała z dwoma cesarzami: austryackim i niemieckim, a przedtém z królem włoskim, przystępuje do ligi pokoju, a więc będzie

wojna; dzienniki już grają larum. Ks. Wilhelm pruski wywołuje w Berlinie entuzyazm, spacerując sobie po ulicach miasta na czele pułków i dywizyj. Austryacy podobno aż się trzęsą z pośpiechu w uzbrojeniach. Dwa zaś narody najbardziéj krewkie, nadsekwańczycy i nadwiślanie już się biją. W Paryżu chodzi o zasadę formy rządu, walczą z sobą radykalni republikanie, oportuniści i zwolennicy napoleońskiego cezaryzmu; jednostka wydrzéć pragnie władzę dwu izbom prawodawczym. Rozognił się na nowo spór, wiek cały toczony, wybuchnęły płomieniem tradycye, żywszym blaskiem zajaśniały ideały i marzenie pokoleń wielu. Nic więc dziwnego, że kiedy odzywa się głos z mogił ojców, serca synów kołaczą mocniéj, pragną walki, byle ziścić lub obronić moralną spuściznę.

W Waszawie zaś prócz niedzielnych zapasów przy drzwiach zamykanych szynkowni, bójki zaczynają stawać się zwyczajem, czy prawem w świecie literackim... Chodzi o honor! Jedni go plamią atramentem na papierze, inni czyszczą kijem lub ręką na grzbiecie lub głowie. Możemy sobie w każdym razie powinszować, dążymy za Europą. Ona wre, ona gotowa jest toczyć wewnętrzną walkę, chociażby kułakami na ulicy—i my! Studenci w Paryżu przeciągają tłumami po bulwarach, wołając: Precz z Boulanger'em, on kraj zgubi! W Warszawie pewni panowie robią awanturę w redakcyi pewnego tygodnika. Za przykładem młodych idą starsi. Recenzya, drukowana w jedném z czasopism, staje się przyczyną tak wielkiego rozjątrzenia między krytykowanym a krytykiem, że w końcu doprowadza do bójki ulicznéj, bójki nocnéj, pomimo że jeden z zapaśników towarzyszy kobiecie. Zkąd taka zawziętość, taka n i e p r z y t o m n o ś ć? Zrozumiéć można uniesienie, ale najgłówniejszym uszlachetniającym wpływem cywilizacyi jest to, iż człowiek, przez nią przetworzony, n i g d y w najwyższém uniesieniu nie dopuści się pewnych czynów, a do takich niewątpliwie należy napaść na towarzysza kobiety. Kto wiedziéć może, jakie węzły łączą tę kobietę i tego mężczyznę; a jak okropne jest położenie siostry, żony, narzeczonéj, gdy przy niéj biją, kaleczą brata, męża, czy kochanka. Pomocy dać ona nie może, do walki na pięści się nie wtrąci,—musi patrzéć tylko, drżéć z trwogi i cierpiéć.

Tego rodzaju wypadki mają potężną siłę zaraźliwości, możemy więc żywić nadzieję, że nową rozpoczniemy epokę literacką: mieliśmy niegdyś złotą, teraz będziemy mieli drewnianą,—k i j o w ą. Może nawet „kuryery“ będą musiały zaprowadzić oddzielną rubrykę, pod tytułem: „dziś zostali obici... przez...“

Zwracaliśmy niejednokrotnie uwagę na fatalne skutki karczemnéj polemiki w pismach; musiała ona doprowadzić do tego ro-

dzaju skutków. Nie ma wyrazu, którego by dziś nie było można użyć w prasie, który faktycznie nie byłby używany w pewnych pismach. Żadnych skrupułów, żadnych względów, wszelka wiadomość, zaczerpnięta z najniższego źródła plotek miejskich, jest dobrą dla omazania błotem jakiegoś przeciwnika; prywatne niechęci, pokątne rachunki załatwiają się obecnie za pośrednictwem prasy. Cóż nareszcie ma robić człowiek już nie unurzany w błocie, ale stale i nieustannie nurzany? Pozwać do sądu? To znaczy zrobić krok, przez połowę przynajmniéj opinii publicznéj z góry potępiony, narazić się na drugą szykanę, równie głośną tylko innego rodzaju, bodaj czy nie przykrzejszą... i w dodatku jeszcze przegrać może sprawę. Żądać honorowéj satysfakcyi? Jedni odrzucają ją w zasadzie i wyzwania nie przyjmują, inni, przyjąwszy, wykręcą się (bywały takie wypadki), nareszcie jeszcze inni po satysfakcyi postępować będą tak samo jak i przedtém (i to praktyka stwierdziła). Zresztą zadosyćuczynienia honorowe między literatami w Warszawie to przecie farsa, która nie zadowolni człowieka, istotnie do głębi duszy wzburzonego i skrzywdzonego. Więc co robić?.. Uciekać się do przemocy fizycznéj?.. To powrót do najdzikszych czasów barbarzyństwa.

Czyż wam, koledzy, wstyd nie pali czoła, że dzięki nam, dzięki „kierownikom opinii," przewodnikom jéj moralnym, społeczeństwo zajmować się musi takiemi drobnemi, marnemi, plugawemi częstokroć sprawkami! Czyż was nie przejmuje zgrozą ten widok, dziecinnego, nieświadomego wprost oddawania się z zapałem waśniom prywatnym, z używania na to czasu, talentu, dowcipu, wobec tragicznego tła. Czy nie czujecie upokorzenia, gdy wam wypadnie opowiadać czytelnikowi o napaściach, o zjeżdżeniach, wymysłach, insynuacyach itp. ozdobach prasy, które się robią jedynie tylko dla zadowolenia autora, a jeżeli są czytane i podobać się mogą, to tylko osobnikom z dość niewybrednym smakiem? Zamiast podnosić, my demoralizujemy ducha.

Oba wspomniane wyżéj wypadki związane są z pismami, których polemiczny ferwor oddawna już wywołuje skargi.

Rozprzężone obyczaje prasy niewątpliwie demoralizować i psuć będą społeczeństwo całe. Opinia publiczna całego ogółu, a szczególniéj opinia wśród dziennikarzy nie powinna tolerować nieprzyzwoitości w druku. Jestto jedyny środek ukrócenia złego.

Niestety u nas na stanowczość opinii rachować nie można. Przeciętny czytelnik i przeciętny literat wtedy dopiero zastanowić się zechce nad moralną treścią czynu jakiegoś, objąć jego wpływy, przejrzéć do głębi intencye i skutki, kiedy sam został dotknięty, ale wtedy znajduje dokoła siebie obojętność zupełną. Kiedy znowu

inny potrzebuje i wymaga, aby ogół w jakikolwiek sposób potępił krzywdziciela—wtedy ten sam, co wczoraj doświadczył skutków dotknięcia ludzkiéj złości, dzisiaj uważa, że to wszystko jest bagatelą. I toczą się daléj sprawy po dawnych gościńcach, błoto chlapie—ale to nic, przyzwyczailiśmy się do niego.

Parę naraz wypadków kułakowych zajść budzi słuszne obawy, iż proceder ten wejdzie w modę i szeroko praktykowany będzie. Należało by położyć tamę zaraz z początku, dopóki złe się jeszcze nie zakorzeniło głęboko. Znając nieco moich ziomków, obawiam się, iż wszyscy przyjaciele napastników, a szczególniéj wszyscy nieprzyjaciele napastowanych dadzą pewien poklask smutnemu zuchostwu. Słyszę już sentencye, używane w takich wypadkach zamiast argumentów: Dobrze mu tak, doigrał się! Dawno mu się to należało! Co tam żałować takiego... Kiedy kilka miesięcy temu wskutek pogłoski o napaści młodzieży szkolnéj, czy rzemieślników lwowskich na p. Masłowskiego, wystąpiłem z potępieniem takiego czynu, życzliwi koledzy po piórze skorzystali zaraz z tego, aby mnie wciągnąć w cień, padający od osoby ex-radykała. Jak by to trudno było zrozumiéć, że nie dlatego, iż ofiarą zajścia (wedle pogłoski) był p. Masłowski, ale pomimo, że to on był, zdanie moje wypowiedziałem. O polityczném nawróceniu się p. Masłowskiego słyszałem ze stron różnych jednozgodne potępianie. Sądu żadnego wydawać nie chcę, bom jego głosu nie słyszał, ale uprzedzony jestem nie przychylnie; to jednak przeszkodą do potępienia czynu napaści być nie mogło. Jeden z tygodników, nie zadawalniając się wtedy sponiewieraniem mojéj osoby, zapragnął jeszcze dowieść, że sprawa, przezemnie broniona, zasadniczo była złą. Ze względu na kwestyę, którą uważam za doniosłą, potrącam o ten artykuł, choć był bardzo brutalny i ubliżający. Na moje domaganie się, aby każdy mógł brać udział w obradach nad wspólną dolą i aby go za poglądy nie ścigały ulicznikowskie napaści, odpowiedziano mi, „żem w zapale bezstronności zapomniał, iż udział w obradach koniecznie powinien być rozumny i uczciwy, a nie przekraczać granicy, po za którą stać się może szkodliwym“. W danym wypadku znaczyło to: jeżeli uznam, iż człowiek innego zdania jest nieuczciwy i wkracza w granicę, po za którą panuje już nieuczciwość, to mogę mu zamknąć usta kułakiem, nie usuwam go zaś zupełnie dla tego tylko, że Bastylii nie mam. Wyznanie bardzo budujące. Dalej znowu czytamy: „bić porządnych ludzi—nie wypada, ale jeżeli porządny człowiek nas bije, wtenczas tylko taki bezstronny umysł jak pana (znaczy mój) może znaleść różnicę między tém, co wypada, a co nie wypada.“ Każdy śmiertelnik w rozdrażnieniu i to w rozdrażnieniu tak wielkiém, że-

go chętka bierze do awantury ulicznéj, skłonny jest przeciwnika swego uważać za wyrodka, za wcielenie wszelakich wad i przewrotności. Wyjątkowi tylko ludzi potrafią być w gniewie sprawiedliwi, a nie ma chyba takich filozofów, którzyby wroga swego uważali za porządniejszego od samego siebie. Stawić zasadę, która pozwala bądź fanatykowi, bądź człowiekowi w stanie nieprzytomnym z irytacyi, być sędzią najwyższym, to znaczy prawie toż samo, co upoważnić waryata do chodzenia wśród stodół z pochodnią, a z mieczem po ulicach. Gdyby takie prawa rządziły światem, bilibyśmy się wszyscy ze wszystkimi, każdy uważałby siebie za powołanego do wykonywania sprawiedliwości. Zdanie owego tygodnika jest zbyt ryzykowném i zbyt się sprzeciwia logice powszechnie obowiązującéj, aby je warto było przy zwykłych warunkach zbijać; ale dziś, kiedy umysły są zajęte faktami, kiedy spory wywołują różne argumenty, ludzie staną na rozmaitych punktach widzenia, ktoś w gorączce dysputy może i w ten sposób bronić się na zagrożoném stanowisku.

Powinna być zasada jedna, stała, niedająca się zmieniać, wykręcać, w miarę zmiany osób: używanie przemocy fizycznéj plami tego, kto się do niéj ucieka. Zdarzyć się może, iż ktoś dotknięty do żywego zapomina o téj zasadzie, tak jak zdarzyć się może człowiekowi uczciwemu popełnić zabójstwo; ale niechże on sam wie i rozumie, że popełnił czyn zły i niech go za to karze opinia. Taki jedynie stosunek do występków wszelkich sprzyja hygienie obyczajowéj.

Jestem pewny, że ktoś mi powie: gardłujesz tak, bo się boisz o swoje plecy. Tak mi powiedziano niegdyś, kiedy chodziło o Masłowskiego. A przytém jestto zbyt łatwy, zbyt tani dowcip, aby ktoś nie uległ pokusie popisania się nim. Złe świadectwo daje o sobie człowiek, co w bliźnim nie przypuszcza popędów obywatelskiego charakteru. Ale, mniejsza z tém; b o j ę s i ę, rzeczywiście się boję. Ludzkość cała lęka się psów wściekłych, stąd taki zapał dla Pasteur'a. Ludzkość cała boi się napastników, dla tego w całym ucywilizowanym świecie istnieją stróże porządku publicznego. Boję się awantury na ulicy i każdy się jéj boi, a jednak stanie się ona rzeczą powszednią, jeżeli ta część prasy, malutka zresztą, która wojuje skandalem i obelgą, nie uspokoi się; niedługo żaden z nas żony nie będzie mógł zaprowadzić do Saskiego Ogrodu bez narażenia jéj oczu i nerwów na widowisko bijatyki.

Zaraza awantur ma tém większe prawdopodobieństwo rozwoju, że pracuje dla niéj p l o t k a, wszechpotężna w naszém miasteczku. Miluchna ta istotka ma wszystkie cnoty dobrego reportera,

o wszystkiém się dowié i wszystko przekręci, ozdobi. Z jednéj bójki zrobi ona dwie, trzy; każdą rozwinie, wysubtylizuje; takim urokiem otoczy i rzecz i uczestników, że rozbudzi chęć do awantury, jak powieści Maine Reyde'a budzą w dzieciach ochotę do zaoceanowych wycieczek.

Znowu rady niema. Twórcy i samodzielne a pomysłowe echa plotek bawią się w tę grę widocznie wskutek wewnętrznéj, nieprzepartéj potrzeby jakiejś. Już wszyscy powtarzają w Warszawie, myśmy także parę razy pisali, jaką klęską są reporterzy, każda instytucya dostała od nich najszkodliwsze cięgi, każdy pomysł, każde usiłowanie bywało narażone przez ich naiwną lekkomyślność, przez niepojmowanie zupełne tego, co robią i jakie są ich obowiązki. Odzywano się do redaktorów. Wszystko na nic. Reporterzy — to jedyny stan w Warszawie, który można najzupełniéj bezkarnie, bezpiecznie lżyć, bo nikt nie przyzna się, aby doń należał. I ten, i ten, i ten jego kolega to reporter, ale on — literat, gotów więc jest potakiwać twierdzeniom o szkodliwości reporterskiego wyuzdania i zrobić nawet z tego jakąś drobną wiadomość, albo artykulik reporterski. Redaktorom widocznie nie chce się zadawać sobie kłopotu, krócéj wziąć w ręce swoich sylfów; zatykają uszy na wszelkie żale i wołania.

Niedawno uczczony został gorącém pożegnaniem pewien pedagog, którego jedyną zasługą było, że zostawił po sobie najfatalniejszą siłę czynną, nieustannie działającą, w postaci gramatyki. Pomiędzy ludźmi, znającymi rzecz, dwu zdań co do tego utworu niéma: zostaje on w jawnéj sprzeczności z zasadniczymi poglądami pedagogicznymi. Nietylko wśród ciała nauczającego, ale nawet pomiędzy dziatwą szkolną istnieje zrozumienie tego i oburzenie; gramatyka ta w pewnych wypadkach podawaną bywa jako przykład upadku moralnego, jako kres, niskiego charakteru. I tu jednak reporterya znalazła sposobność do wybuchnięcia gorącemi słowami uznania!!

Teraz znowu świeżo obiegła poważne i mniéj poważne dzienniki wiadomość o tém, że niedźwiedzie z Ogrodu Zoologicznego wyłamały kraty w klatce, przedostały się za parkan; jednego schwytano i sprowadzono, drugiego uduszono. Taki wypadek, gdyby istotnie zdarzył się, niewątpliwie zaszkodziłby instytucyi, cieszącéj się powszechną sympatyą. Można sobie wyobrazić z tego powodu popłoch, niezadowolenie i utyskiwania wśród mieszkańców téj okolicy miasta. Władze policyjne miały najzupełniéj słuszny powód do wystąpienia ze śledztwem. Na ilość zwiedzającéj publiczności to także oddziałać musiało. Co za klatki, co za dozór? Dziś się

wyrwały niedźwiedzie, jutro wyskoczy pantera o téj porze, kiedy publiczność napełnia zwierzyniec. Tymczasem cała epopeja niedźwiedzia była od *A* do *Z* fałszywą, nie istniała nawet mucha, z któréj słonia zrobiono. Zarząd ogrodu rezesłał z tego powodu zaprzeczenie, które ze względu na dobro instytucyi uważamy tu za potrzebne powtórzyć: „W kilku pismach codziennych podaną została w tych dniach niedokładna wiadomość o ucieczce niedźwiedzi z Ogrodu Zoologicznego. Wobec tego czujemy się w obowiązku kategorycznie zapewnić, iż żadna krata w któréjkolwiek klatce wyłamaną nie została i w danych warunkach wyłamaną być nie mogła i, że prócz jednéj kaczki, która rzeczywiście uciekła i dotąd odszukaną nie została, żadnego innego zwierzęcia w ogrodzie nie brakuje. W godzinach rannych lub wieczornych, gdy ogród dla publiczności jest zamknięty, podczas porządkowania, przesiedlania zwierząt z klatki do klatki, lub wyprowadzania niektórych z nich na przechadzkę, zdarzyć się musi w każdym zwierzyńcu od czasu do czasu wypadek, niegrożący jednak żadnem niebezpieczeństwem, przy zawczasu obmyślanych i będących zawsze w pogotowiu środkach zaradczych. Zarząd ogrodu czuwa troskliwie nad bezpieczeństwem tak zwiedzającéj publiczności, jak i służby miejscowéj. Klucz od klatek zwierząt drapieżnych jest wyłącznie w ręku inspektora, który tém samém musi być zawsze obecny przy każdéj czynności, otwarcia klatek wymagającéj, a tym sposobem kontroluje zachowanie wszelkich środków ostrożności ze strony służby niższéj“.

Skąd więc wziął się alarm, kto utworzył plotkę? Dla czego redakcye nie sprawdziły rzeczy zanim puściły w kurs taką fałszywą wieść? P. Jan Maurycy Kamiński, zarządzający ogrodem, mieszka w środku miasta, kilka tramwajów ze wszystkich punktów za dziesiątkę zawiezie do samych rogatek, czyż tak trudno było pchnąć „sylfa“? Ale co tam: uciekł niedźwiedź, nie uciekł, to dla redakcyi wszystko jedno, a szkoda wyrządzona samemu istnieniu instytucyi nie przyszła na myśl wobec ważności zarobku kilkunastu kopiejek.

Powiedziałem wyżéj, że nie pozostajemy w tyle po za Europą, teraz widzę, żem mało powiedział—my się odznaczamy. We wszystkich wypadkach stoimy na krańcu, wszystkie określenia przymiotnikowe w zastosowaniu do nas muszą się zaczynać od *naj*. Nietylko *naj*pierwsi rozpoczęliśmy wraz z wiosną walkę. Wziąwszy do ręki statystykę porównawczą, przekonywamy się, żeśmy w Galicyi *naj*biedniejsi, *naj*mniéj produkujemy, *naj*gorzéj się odżywiamy, *naj*mniéj oszczędzamy i t. d. i t. d. Litania długa i bolesna. A obok

tego *naj*bogatszy dar na jubileusz papieski złożyło *naj*uboższe ze zgromadzeń zakonnych żeńskich w Galicyi, P. P. Felicyanki.

Sensacyjnéj téj wiadomości nie podawałbym, gdyby nie poważne źródło — czerpię ją z „Przeglądu Katolickiego“. Chyba podejrzenie o plotkę. o intrygę, o niedokładność istnieć nie może.

Dar ten jest to obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj, pędzla hr. Rostworowskiego. Siostry uszyły według własnego pomysłu: aksamitny jasno szafirowy płaszcz, sukienki jasno i ciemno pąsowe i szaty te, jak równie korony, przyozdobiły perłami, brylantami, szmaragdami i innymi drogimi kamieniami, jakich im dostarczyły pobożność pań i ofiarność dwu jubilerów krakowskich, pp. Wojciechowskiego i Głowackiego. Czynny udział w téj sprawie wziął ks. Polkowski, który ofiarował srebrną złoconą blachę do obrazu. Bogato rzeźbione ramy dębowe wyszły z pracowni p. Majerskiego w Przemyślu. Prócz tego, tenże „Przegląd“ opisuje bardzo wspaniały dar Tercyarzy galicyjskich.

Czyż to nie ironia? Nie posuwaliśmy się nigdy tak daleko, aby żądać od kraju katolickiego, od gorliwych religiantów obojętności względem jubileuszu głowy kościoła. Żadne polityczne względy nie mogą w masie zagłuszyć pobożności, troski o zbawienie i wierności dla kościoła. Ale tu nie o to chodzi. Nieszczęśliwi rodacy nasi porozrzucani są we wszystkich krajach, nieraz setki i tysiące ich zmuszone są wyciągać ręce do obcych o jałmużnę, po prostu o jałmużnę. I oto teraz cudzoziemcy oglądać mogą w Watykanie dar od *naj*biedniejszego zgromadzenia w Galicyi. Cóż za bogactwo w tym kraju, kiedy ślubujące ubóstwo zakonnice takie królewskie dary składać mogą? W Wiedniu koło polskie nie chce i nie może dopuścić, aby Galicya dźwigała też same ciężary, co inne prowincye, bośmy nędzarze; w Wielkiém Księstwie z nędzy sprzedajemy ziemię, a sadzimy się na najkosztowniejsze podarki. Słyszeliśmy o krociach, składanych przez magnatów francuskich, monarchowie posyłali dary niesłychanéj wartości, ileż więc pochłonął podarunek siostr Felicyanek? Przebija w tém taka parafiańszczyzna: — śmieszna w małych rzeczach, bolesna w większych. Szlachcic rujnował się zawsze, żeby sprostać wojewodzie, pani sekretarzowa wciąga męża w długi, byle przyjąć tylu gości i dać taką kolacyę jak obywatelka okoliczna. Panienki ze zgromadzenia muszą sobie wystawiać papieża jak kancelistę ze starostwa, albo jak wschodniego satrapę, do którego bez złota i brylantów zbliżać się nie ma sposobu. Nam się zdaje, że ojcu świętemu byłaby równie miłą jakaś skromna robota ręczna biednych zakonnic. Jeżeli podarki sprawiały mu przyjemność, to ta przyjemność nie była chyba wprost proporcyonalną do wartości brylantów i rubinów?

Cieszyła go chyba sama pamięć wiernych. Trzeba nie mieć serca, żeby widząc dokoła siebie nędzę, myśléć o zadowoleniu próżności własnéj i wysadzać się na monstrualnie kosztowne prezenty.

Sądzimy, że „Przegląd Katolicki“ zgadza się z nami.

Bibl. Jag

Ludwik Straszewicz.

Pielgrzymka Polaków do Rzymu.—W kwestyi pomnika Mickiewicza.—Gospodarka zarządu Muzeum Pszczelniczego.—Pomyślny stan Towarzystwa ubezpieczeń od ognia.—„Ostatni koncert“ Andriollego.—Opodatkowanie wody wodociągowéj.—Słówko do p. Posła Prawdy.

Kolega mój z kroniki „Ateneum“ omówił obszernie w zeszłym pisma naszego zeszycie dodatni objaw z życia społecznego w Galicyi, a mianowicie pojawienie się pracy p. Szczepanowskiego p. t. „Nędza Galicyi w cyfrach“.

Jeżeli jednak książka wzmiankowana jest rzeczywiście niejako zwiastunem nowego, a pożądanego w tak nazwanéj przez Lama „Golicyi i Głodomeryi“ kierunku, to jednocześnie mamy do zanotowania—wśród wielu innych—nowy objaw ujemny. Chcemy mówić o przeprowadzonéj za pomocą forsownéj propagandy pielgrzymce jubileuszowéj do Rzymu. Że z innych krajów podobne pielgrzymki podążyły złożyć swą czołobitność i nieść ofiary Leonowi XIII, to dla Galicyi za miarę służyć nie może, gdyż ta ostatnia w całkiem odmiennych znajduje się warunkach. Kraje bogate i szczęśliwe mogą pozwalać sobie bezkarnie na różne zbytki. Ale biedny, wyczerpany ekonomicznie, ubogi umysłowo, fizycznie i moralnie kraik powinien być ze szczególną starannością przez swych przodowników od wszelkich ofiar na zewnątrz powstrzymywany. Dla tego téż nie możemy podzielać zachwytów wobec takich np. faktów, że biedne służące zastawiały się i zapożyczały, byle zabrać potrzebne na podróż kilkadziesiąt guldenów, albo że ci, którzy tak źle są odżywiani, iż to aż obawy o zwyrodnienie rasy powoduje, od ust sobie odejmowali, by do nieprzebranych darów jubileuszowych dorzucić garść jedną więcéj jeszcze. Ci, którzy swym wpływem zjawiska podobne wywoływali, lub przynajmniéj potęgowali, powinni się byli zastanowić, iż ofiara przez nędzarza z uszczerbkiem swego zdrowia, a może czasem i życia złożona, podobna już jest nieco do bałwochwalczych ofiar z ludzi, w paszczę Molocha wrzucanych, albo przypomina tych fakirów wschodnich, którzy się rzucają dobrowolnie pod koła tryumfalnego wozu swego bóstwa, który ich miażdży i życia pozbawia. Takich okrutnych ofiar Chrystyanizm nie żąda i nie uświęca. Mógłby mi kto z historyą pierwszych wieków kościoła w ręku

powołać się na przykłady męczenników, aleć to podobieństwo pozorne tylko. Pierwsze wieki kościoła to chwila walki w imię nowéj, postępowéj zasady etycznéj ze starym, niższym moralnie porządkiem społecznym.

Pierwsi chrześcianie składali w ofierze swe życie — idei, ale nie wywyższenia pojedyńczéj osobistości, lub wzbogaceniu jéj kosztem ubogich; ponosili śmierć nie dla nasycenia bezcelowego krwiożerczości bóstwa, lub jego przedstawicieli, kapłanów, ale ginęli w walce o tryumf nowych zasad, którym téż wcielenie w życie wywalczyli. Następnie, w historyi kościoła katolickiego i wogóle chrześciańskiego, widzimy rozwijające się równolegle i przeważające kolejno dwa prądy. Jeden—to usiłowanie wyrobienia w wyznawcach podniosłych zasad etycznych; drugi—nadanie blasku potęgi i bogactwa hierarchii kościelnéj. Kierunek pierwszy spotyka uznanie ze strony wszystkich głębszych badaczy społecznych, bez względu na wiarę lub niewiarę w nadprzyrodzone źródło podchodzenia instytucyi kościelnych. Dotychczas żadna instytucya nie umiała zastąpić skutecznie kościoła w oddziaływaniu na umoralnienie społeczeństwa i w takim właśnie oddziaływaniu kościół racyc swego istnienia czerpie. Wzbogacenie zaś i wywyższanie zewnętrzne hierarchii kościelnéj jest, co najmniéj, dla społeczeństwa obojętne, po za pewną zaś granicą nawet wprost szkodliwe, gdyż historya nas uczy, że tam, gdzie blask hierarchii na pierwszym został postawiony planie, tam cele zasadnicze bywają zaniedbywane.

W polityce obecnego papieża tym celom zewnętrznym poświęcono bardzo wiele—skądinąd zręcznych i szczęśliwych — starań. Czy jednak, prowadzona przez Leona XIII polityka oportunistyczna, osiągająca nieraz widoczne dla hierarchii kościelnéj korzyści, nie jest polityką na krótką metę;—czy obniżając poziom moralny swych zasad kierowniczych, nie podkopuje ona podstawy istnienia kościoła, wiary i przywiązania wyznawców, a zatém, czy na dłuższą odległość nie wyda szkodliwych dla samego kościoła skutków, to przyszłość dopiero pokaże. Takie, lub inne zresztą rozwiązanie tego problematu ma dla nas obecnie akademickie przeważnie i uboczne znaczenie. W każdym razie, my mamy cele bliższe, ważniejsze, mamy potrzeby bardziéj palące, mamy zbyt wiele nędzy w domu, żeby nam się godziło ponosić wydatki na pielgrzymki i na dary potężnemu i bogatemu, który nas biednych nie obdarzył dotąd niczém dobrém.

*

Sprawa pomnika Mickiewicza nie może dojść do pomyślnego rozwiązania. Komitet ściślejszy czyli tak zwany komitet pięciu po-

minął nagrodzony przez większe koło delegatów projekt Godebskiego i zatrzymał się na pominiętym projekcie Rygiera.

Ta uchwała komitetu pięciu wywołała surową naganę wielu organów prasy warszawskiéj, które pominięcie pracy Godebskiego za zbrodnię nieomal, a już z pewnością za bezprawie poczytały. Tymczasem ze stanowiska prawnego—komitet pięciu działał w granicach, przysługujących mu atrybucyj. Jeżeli ze stanowiska artystycznego projekt Godebskiego—zwłaszcza co do części architektonicznéj—przedstawia się niezwykle okazale, to zsunięcie figury Mickiewicza ze stanowiska górującego i połączenie na jednéj podstawie figury rzeczywistéj z symboliczną, może licznym z logicznego—że tak powiem—punktu widzenia ulegać zarzutom. Górować powinna postać tego, ku uczczeniu czyjemu pomnik ma być wystawiony, a więc w danym wypadku postać Mickiewicza. Figury symboliczne mają to do siebie, że różnie mogą być rozumiane, nawet przez ludzi wykształconych.

Co zaś do mass mniéj oświeconych te zpewnością dopatrywałyby w postaci niewiasty, wieńczącéj Mickiewicza, jakiejś konkretnéj, a bliskiéj wieszcza osobistości. Oto dla czego nam by się zdawało, że na najwyższéj płaszczyźnie pomnika powinna wznosić się jedna tylko postać Mickiewicza, i że postać ta w stojącej pozie bardziéj imponujące i estetyczniejsze niż w siedzącéj sprawiałaby wrażenie. Nie roszcząc sobie zresztą pretensyi do szczególnego znawstwa artystycznego, zaznaczamy tylko, że, po dokonaniu zamierzonych poprawek projektu Rygiera, pożądaném by było, żeby Warszawa — licząca w swych murach wielu ofiarodawców na pomnik — miała przesłaną jego podobiznę. Jeszcze zaś pożądańszem byłoby przyśpieszenie rozwiązania sprawy, która zbyt długo trwa w stanie zabagnienia.

*

Sprawa „Muzeum pszczelniczego" podobną jest nieco do sprawy muzeum w Rapperswylu. Tu, jak tam, na czele instytucyi stoi założyciel, prowadzący rzecz samowolnie, podług swego widzimi-się i nie poczuwający się do obowiązku, albo zaniedbujący obowiązek informowania dokładnego najbliżej zainteresowanych i publiczności całéj, w jaki sposób jest administrowany grosz zbiorowy. Różnica tylko w tém, że skutek takiéj gospodarki co do Muzeum w Rapperswylu dotąd niewyjaśniony, co do Muzeum zaś pszczelniczego widoczny, a smutny. Znaczne pieniądze utopione bez śladu, Muzeum, prowadzone nie jako instytucya publiczna, pożytek społeczny głównie mająca na celu, lecz raczéj jako geszefcik spekulacyjny i prywatny, perspektywa zupełnego upadku, który tylko nowe

mi ofiarami da się zażegnać — oto skutek kilkoletniéj tajemniczéj i niedość pilnie kontrolowanéj administracyi funduszów Muzeum pszczelniczego. Na szczęście ostatnie zebranie ogólne spółki pszczelniczéj, wybrało komisję rewizyjną z szerokiemi pełnomocnictwami, a ta znów zabrała się energicznie do czynności. Jest więc nadzieja, że byt Muzeum zostanie uratowany.

*

Mamy pod ręką sprawozdanie Dyrekcyi Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia za rok 1887 i protokół odbytego w d. 15 Marca r. b. siedemnastego zebrania akcyonaryuszów tegoż towarzystwa. Ile razy przeglądaliśmy sprawozdania tego Tow., lub w jakikolwiek sposób zetknęli się z jego działalnością, tyle razy utrwalało się i wzmagało w nas przekonanie, że jest to instytucya, prowadzona rozumnie i uczciwie. Ta wiara w rozumne a uczciwe prowadzenie gospodarstwa finansowego, a co więcéj w poczucie obywatelskie względem kraju obowiązków Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń nie została w nas zachwianą i w tym roku. Ze sprawozdania widzimy, że kapitał zapasowy rośnie, i dziś jest już tak znaczny, iż z jednej strony pozwala na udzielanie 12%-owéj dywidendy, w większéj połowie z procentów od kapitału zakładowego powstałéj, z drugiéj zaś strony nie zachwiała pomyślnego stanu towarzystwa nawet po tak niepomyślnym roku, jak 1886. Obok tego pomyślnego stanu finansowego widzimy w Tow. Warszawskiém, dążność do popierania i rozwijania kółek ubezpieczeniowych, które to kółka pod względem ekonomicznym i — że tak powiemy—auto-pedagogicznym za bardzo pomyślny objaw społeczny uważać należy.

Na dwie tylko pozycye chcielibyśmy zwrócić uwagę Tow. Ubezpieczeń. Oto od lat już kilku spostrzegamy stale, że ubezpieczenia w guberniach południowo-zachodnich dają procentowo nieomal najmniéjsze względnie do wysokości płaconych premij—straty. Czyby to nie powinno wywołać sprawiedliwéj obniżki premij dla kraju południowo-zachodniego?

Drugą uwagę wywołuje w nas porównanie strat i premij w dziale nieruchomości miejskich i w dziale rolnym. Dział rolny w y j ą t k o w o tylko, jak samo sprawozdanie ostatnie zaznacza, i jak to ze sprawozdań dawniéjszych widzimy, w tym roku strat nie przyniósł, dział zaś asekuracyi budowli miejskich stale przynosi znaczne korzyści towarzystwu. Czy to nie powinnoby służyć za wskazówkę, że premią w obu tych działach bardziej z wysokością ryzyka ustosunkować należy.

*

Zróbmy sobie przyjemność pomówienia o ostatniém dziele rysowniczém Andriollego: „Jankiel grający na cymbałach.“ Niestety, nie może już z was nikt, łaskawi czytelnicy, nabyć tego niepospolitéj wartości artystycznéj kartonu, gdyż został on kupiony. Szczęśliwi wybrańcy, którzy wspaniały ten obraz w pracowni artysty oglądali, albo téż u jednego z właścicieli — dzięki stosunkom prywatnym—obejrzyć będą mogli. Reszta musi się zadowolnić reprodukcyami, gdy te będą gotowe, a tymczasem poprzestać na wysłuchaniu relacyi o utworze, który z pewnością będzie u nas jednym z najpopularniejszych, dzięki wybranemu przedmiotowi i artystycznéj iście formie. Główna figura obrazu, mistrz Jankiel, to idealnie piękna twarz starca-semity z ascetycznym wyrazem. Kto pamięta rabina Majzelsa, niech sobie go jeszcze wyidealizuje co do wyrazu twarzy, niech mu przedłuży i wybieli brodę, a będzie miał niejakie wyobrażenie o tym, przed którym żaden z cymbalistów usiąść nie śmiał. A wojski, a klucznik, a Dąbrowski, a Zosia, a Telimena, cóż to za wspaniałości każda w swoim rodzaju. Zarzucają wprawdzie surowi krytycy — i nie bez pewnéj słuszności może — iż twarz Tadeusza jest bez wyrazu, hrabia konwencyonalny i dziwacznie upozowany, że Kniaziewicz nie odpowiada opisowi o jego powierzchowności, że wojszczanki młodsze i piękniejsze niż poeta mieć je chciał.... Ale cóż znaczą te drobne usterki wobec ducha wiejącego z całego utworu, wobec możności rozpoznania każdéj figury poszczególe i tego, co się w jéj duszy, poruszonéj dźwiękami wzniosłych pieśni, dzieje. Stanowczo Andriolli przewyższył ostatnim obrazem wszystko, cokolwiek dotąd stworzył.

*

W „Kuryerze Warszawskim“ jeden z prenumeratorów, a prawdopodobnie zarazem i właścicieli domów użala się na rozporządzenie magistratu co do pobierania podwyższonych opłat za wodę nietylko z domów, leżących przy nowych rurach wodociągowych, lecz i z domów leżących przy rurach starych, wówczas gdy stare rury, chociaż połączone z nową siecią wodociągową nie dostarczają jakoby wody na wyższe piętra posesyj. Wypowiada jeszcze w gorącym tonie p. prenumerator i inne magistratowi w sprawie wodociągowéj zarzuty. Szanowny pan prezydent miasta, w zwykłéj swéj dbałości o poinformowanie opinii publicznéj, wyświetla rzecz w liście do Kuryera nadesłanym. O ile jednak list ten — podług naszego zdania — usuwa cały szereg zarzutów p. prenumeratora, o tyle zdaje się nam, że kwestya czy stare, połączone z nową wieżą ciśnień rury dostarczają wody na wyższe piętra (teoretycznie należałoby wnosić, że dostarczać muszą) nie została w odpowiedzi

p. prezydenta wyjaśnioną. Jeżeli zaś niedostatek podobny istnieje, to sprawiedliwość chyba nakazuje nie pobierać, aż do usunięcia wady, od właścicieli niedokładnie obsłużonych domów płacy równie wysokiéj, jak ta, którą się pobiera od domów obsłużonych najlepiéj.

*

P. „Poseł Prawdy" rozumié postęp tylko pod warunkiem, żeby on, tj. p. Poseł, sprawował funkcye arcykapłana idei postępowych, żeby tłum kornie przed nim schylony kadził mu nieustannie, i żeby każdy, kogo on zechce kopnąć, ułatwiał mu ten miły zamiar podstawieniem swego grzbietu pod jego nogę, z Beranger'owskiemi słowami: *„quel honneur, quel bonheur, je suis Votre humble serviteur"*. Od czasu jednak do czasu znajduje się taki niepokorny, który nie umié ocenić zaszczytu kopnięcia go własną nogą arcykapłana i chcąc się obronić przed tą nieproszoną łaską, powstrzymuje wyciągniętą ku niemu kończynę, a wówczas p. arcykapłan traci równowagę i padając nieraz się potłucze. Naturalném następstwem takiego wypadku arcykapłana jest wyłączenie niepokornego z liczby postępowców, oskarżenie go o wszystkie przewidziane i nieprzewidziane przez kodeks zbrodnie i zasypanie epitetami, w dosadności i elegancyi, których p. „Poseł Prawdy" wyrobił sobie miłą specyalność. Podobna historya powtórzyła się i ze mną. Śmiałem (o zuchwalstwo!) być innego, niż p. Poseł zdania w kwestyi pojedynków, a zaczepiony przez niego osobiście, śmiałem (o zbrodnio!) odpowiedzieć mu bez należytéj pokory. Za to zostałem „podrabiaczem" „strzelającym z po za płotu znaczków drukarskich", „wiszącym na nici Meletusowéj", słowem zakałą redakcyi Ateneum, dziennikarstwa postępowego, a nawet zakałą piśmiennictwa polskiego wogóle (1). Redakcya zaś Ateneum za umieszczenie moich bluźnierstw mianowaną została „hasającym benedyktynem", któremu się radzi coprędzéj wytrzeźwić i... no i oczywiście złożyć hołd p. Posłowi Prawdy. Takie wyrażenie, jak „pląsający benedyktyn" właściwie nic nie mówi i jest tylko okrzykiem bolejącego po potłuczeniu... serca. Zostawimy więc to wyrażenie bez odpowiedzi. Zarzut strzelania z po za znaczków drukarskich, ma dotyczyć mego kryptonimu. Szczególnym jednak jest zarzut podobny ze strony felje-

---

(1) Część ustępu, który wzbudził gniew srogi ze strony p. „Posła Prawdy", jest właściwie cytatą z innego pisma, wypadkowo tylko co do formy nieco zmienioną. To jest jednak sprawa między nami a tém pismem, do któregośmy posłali odpowiednie wyjaśnienie, wobec zaś p. „Posła Prawdy" przyjmujemy całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co w ustępie wzmiankowanym jest umieszczone.

tonisty, który sam nie podpisuje swego nazwiska, lecz pisze pod pseudonimem. Pseudonim czy kryptonim, jedna maska równie dobra jak druga. Mógłby mi p. „Poseł Prawdy“ powiedziéć, że są maski bardzo znane. To już kwestya niedyskrecyi ludzkiéj, okoliczności zewnętrznych, ale zasada jest ta sama.

Zresztą o téj stronie sprawy nie warto dłużéj mówić. Zostaje zarzut „podrabiania.“ „Podrabianie“ może być tam, gdzie jest cytata. Otóż cytaty żadnéj ze sławetnego artykułu o Meletusach ja nie przytaczałem, zarzut więc o „wyskrobaniu“ wyrazu „nie“—o ile był zrobiony z dobrą wiarą — jest po prostu dziecinny. Co zaś do ogólnego tonu owego artykułu, toć chyba każdy zrozumie, że Meletus ma racyę istnienia tylko przy Sokratesie, inaczéj Meletusem być przestaje. Skoro więc ktoś bliźniego swego, w stosunku do siebie, zwie Meletusem, to prosta już logika wskazuje, że siebie uważa za Sokratesa. Choćby więc w jakimś ustępie wstydliwie zaprzeczał swych praw do podobnego porównania, to zaprzeczenie podobne jest tylko konwencyonalném, pozorném; bo jak kokietce, która się użala, iż źle wygląda, wypada powiedziéć: „ależ przeciwnie, wygląda pani czarująco“, tak téż i autor, który przeciwników swych do Meletusów porównywa, chociażby powiedział: „nie jestem Sokratesem“, żąda widocznie odpowiedzi: „ależ przeciwnie, jesteś pan Sokratesem“, albo téż: „co tam Sokrates, to karzeł w porównaniu z panem.“

W tych warunkach frazes, zaprzeczający sobie praw do tytułu Sokratesa i wzdraganie się w téj mierze p. „Posła Prawdy“ przypomina ową babę, która zaczęła krzyczéć wobec przechodzącego żołnierza. — „Czego ty babo krzyczysz?“ — „A bo się boję, że chcesz mię.... pocałować.“ — „Kiedy masz dziecko na ręku.“ — „Przecież ja dziecko mogłabym położyć na ziemi....“ Wszak i ta baba się wzdragała. No, już teraz czuję, że w przyszłém „*Liberum veto*“ redakcya „Ateneum“ będzie zaawansowaną z pląsającego benedyktyna na jezuitę utrzymującego lupanar. Mnie zaś osobiście prawdopodobnie spotka coś jeszcze gorszego. P. „Poseł Prawdy“ jest przecie co do pomysłów w tym kierunku niewyczerpany!

Cokolwiek jednak mię spotka, nie przeszkodzi mi to odróżniać wartości postępu w zasadzie, od wartości osobistéj pojedyńczych jego apostołów i nie powstrzyma od reagowania przeciwko nieprzyzwoitym zaczepkom.

(— X —)

NEKROLOGIA.

† **Emilian Czyrniański** urodził się r. 1824 we wsi Florynce, obwodzie sądeckim; nauki kończył w akademii technicznéj we Lwowie. W r. 1847 mianowany był adjunktem przy katedrze chemii w tymże zakładzie, a w 1851 profesorem chemii w uniwersytecie jagiellońskim, w r. 1859 otrzymał stopień doktora filozofii. Działalność naukową rozwijał na katedrze do końca życia, a i literaturę umiejętną wzbogacał swemi rozprawami i dziełami. Główniejsze z nich są: „Ueber die nicht flüchtigen Säuren der Wurzel von Valeriana officinalis“ 1849 (w *Annalen der Chemie und Pharmacie*), „Słownictwo polskie chemiczne“ (Kraków, 1853), „Wykład chemii nieorganicznéj zastosowany do przemysłu, handlu i medycyny“ (Warsz. 1857, wyd. 2-ie Krak. 1866), „Rozbiór chemiczny wód siarczanych lubieńskiéj i swoszowickiéj“ (Krak. 1860), „Chemia nieorganiczna“ (Krak. 1874). „Theorie der chemischen Verbindung auf der rotirender Bewegung der Atome basirt“ (4 wydania od 1863 do 1873), „Mechanisch chemische Theorie der sinnlichen Welt“ (Krak. 1875), „Teorya mechaniczno-chemiczna oparta na ruchach wirowych niedziałek“, (Krak. 1876). Był członkiem akademii Umiejętności w Krakowie. Zmarł tamże 14 kwietnia.

† **Romuald Wszeteczka** zmarł w Krakowie 19 Kwietnia w 21-ym roku życia; był studentem wydziału prawnego w uniwersytecie jagiellońskim, a dał się już poznać z dwu rozpraw historycznych, które nań zwróciły uwagę uczonych; były to „Rady Kalimachowe“ i „Zabiegi Polski o Węgry w r. 1526“. Nadmiar pracy i złe warunki materyalne przyczyniły się do skrócenia życia uzdolnionego młodzieńca.

† **Jakób J. Baranowski** zmarł w Londynie w połowie Kwietnia r. b. Był on autorem kilku prac gramatyczno-słownikarskich i między innemi napisał: „Vademecum de la langue française...“ (Paryż, 1879), słownika podręcznego angielsko-polskiego.

† **Bolesław Spausta**, dziennikarz lwowski, który razem z Czerwieńskim przez czas jakiś wydawał r. 1882 czasopismo literackie pod naz. „Ziarno“, i był współpracownikiem „Kurjera lwowskiego“, w początkach kwietnia zginął samobójczo przez utopienie się.

† **Bronisław Białobłocki** zmarł 14 kwietnia w Warszawie, dożywszy zaledwie 29 roku życia. Ukończywszy studya uniwersyteckie, oddał się zawodowi nauczycielskiemu i pisywał sprawozdawcze artykuły w „Przeglądzie Tygodniowym“. W „Ateneum“ pomieścił r. 1883 życiorys powieściopisarza rosyjskiego Jana Turgeniewa.

Wspomnienie o **Zygmuncie Wróblewskim** podamy w przyszłym zeszycie.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu pierwszego kwartału 1888 r.

---

1. **Czarna godzina**. Powieść *J. I. Kraszewskiego.* Warsz. nakł. S. Lewentala 1888, 8-o. tom. I, str. 195; tom II, str. 211.
2. **Rocznik Towarzystwa Ogrodniczego** warszawskiego za rok 1887, (**Rok. III-ci**). Warsz. 1888, 8-o, str. 79.
3. *Eliza Orzeszkowa.* Powieści wiejskie. **Niziny**. Powieść. Warsz. nakł. S. Lewentala 1888, 8-o. str. 220, z illustracyami E. M. Andriollego (Taniego zbiorowego wydania powieści E. Orzeszkowej tom. XXXVII).
4. *Michał Bałucki.* **Za winy niepopełnione**. Powieść. Warsz. nakł. S. Lewentala, 1887, 8-o. str. 367 (Powieści Michała Bałuckiego tom VIII).
5. **Panowie bracia**. Szkic z życia szlachty zagonowej przez *Klemensa Junoszę* Warsz. nakł. S. Lewentala, 1888, 8-o, str. 233.
6. **Swiatła i cienie**. Zbiór nowel i poezyi (Bożydar, Dygasiński A., Gawalewicz M., Kaszewski K., Konopnicka M., Leliwa J., Łętowski J., Marrené W., Or-Ot, Pług A., Rawita Fr., Sęk A. J., Stebelski Wł., Ursyn. W. Jadwiga, Wężyk Z. St.. Zapolska-Snieżko. Zielińska M (M...a), Zieliński Wł. K.). Warsz. nakł. Nowej Warszawsk. Współki Wydawniczej, 1888, 8-o, str. 268.
7. **Mechanika** przez *J. Lubieńskiego*, Inżyniera. Warsz. nakł. drukarni Zawiszewskiego, 1888. 8-o, Zeszyt 8 tomu I-go od str. 337 do 384; Zeszyt 9 od str. 385 do 432.
8. **Piękna żydówka**. Szkic psychologiczno-społeczny przez *Wilhelma Feldmana* (W. F. Zbaraskiego). Warsz. nakł. Michała Ziemkiewicza, 1888. 8-o, str. 213.
9. **Pamiętnik fizyograficzny** (wydawcy: *E. Dziewulski* i *Br. Znatowicz*). Tom VII (z 37 tablicami rysunków litogr. i 18 drzeworyt. w tekscie) Warsz. 1887, 4 o, kart. nlb. 5 Dział I. Meteorologija i Hidrografia (str. XIX i 216). Dział II, Gieologija z Chemią (str. 103). Dział III. Botanika i Zoologija (str. 286). Dział IV. Antropologija (str. 28). Spis rzeczy (3 karty nlb.).
10. **Zasady meteorologii** w sposób dostępny przedstawione przez *H. Mohna*... Przełożył z czwartego wydania niemieckiego *Stanisław Kramsztyk* (z 24 tabl. litogr. i 43 drzeworyt.). (Biblioteka przyrodnicza Wszechświata. Wydane z zapomogi Kasy pom. dla osób prac. na polu nauk im. D-ra Józefa Mianowskiego). Warsz. 1888, 8-o, str. XVI + 317 + VI.
11. **Zupełny kurs języka światowego** „Volapük“ bez pomocy nauczyciela z uwzględnieniem uchwał konkursu międzynarodowego w Monachium 1887, opracował *S. Kornmann.* Lwów, nakł. księg. J. Leona Pordesa, 1888, małe 8 o, str. 92 i III.
12. *Alfred Nossig* **Poezje**. Lwów, nakł. czasopisma „Ruch“, 1888, 8-o, str. 237.
13. *Jarosław Vrchlicki.* **Do życia**. Komedya w jednym akcie. Przełożył z czeskiego *Zenon Przesmycki.* Warsz. nakł. księg. Teodora Paprockiego i S-ki, 1888, małe 8-o, str. 60.
14. **Nad Niemnem**. Powieść w trzech tomach przez *Elizę Orzeszkową.* Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1888, 8-o, Tom I. str. 260; II, str. 284; III, str. 345.
15. **Sprawozdanie** Wydziału towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów politechniki we Lwowie za rok administracyjny 1886/7. Lwów, 1887, 8-o, str. 34.
16. *D-ro Espranto.* **Dua Libro de l'lingvo internacia**. Kajero N. 1. Kosto 25 kopekoj. Varsovie 1888, 8-o, str. 50. Przytem: „Słownik międzynarodowo-polski. Vortaro por Poloj. na jednym arkuszu.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Апрѣля 1888 г.